

Tom CCXXXIV
SERYA 7.

De. II. 1.
ROK 59
ZESZYT 699

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

• L I P I E C .

1899

TOM III. — ZESZYT 1.

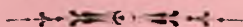
WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr 14.

—
1899

LITERATURA, NAUKI, SZTUKI PIĘKNE, SPRAWY
SPOŁECZNE I EKONOMICZNE, KRONIKI MIEJSCOWE I ZAGRANICZNE,
KRYTYCZNY I BIBLIOGRAFICZNY PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
CHOPIN I FONTANA, — przez Ferdynanda Hoesicka	1
MIRAŻE, powieść (dalszy ciąg) — przez Marionę	42
PRZYMIERZE POLSKO - PRUSKIE. IV. Zerwanie, — przez d-ra Szymona Askenazego	65
GIMNAZYUM, — przez Kazimierza Kaszewskiego	91
KRONIKA RZYMSKA, — przez A. Darowskiego	110
ZACZAROWANE KOŁO. Baśń dramatyczna w pięciu aktach wierszem (dalszy ciąg) — przez Lucyana Rydla	138
POGADANKA ARTYSTYCZNA. Wystawa pośmiertna prac Juliusza Kossaka w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, — przez Stefana Popowskiego	167
PIŚMIENICTWO:	
„Pamiętnik Fizyograficzny“. Tom XV. Str. 592. Cztery mapy i trzy tablice. 1858. Wydany z zapomogi Kasy Mianowskiego, — przez W.	177
Zygmunt Kramsztyk: „Szkice krytyczne z zakresu medycyny“. Warszawa, 1899, — przez d-ra A. Ż.	181
KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Zwolnienie pulsu życia wielkomicjskiego. — Bilanse czterolecznej pracy. — Książka: „Pomnik Mickiewicza w Warszawie“. wydana nakładem Komitetu budowy pomnika. — Siedemnaste sprawozdanie z czynności Komitetu Zarządzającego Kasą pomocy d-ra Mianowskiego. — „Poradnik dla samouków“	183
WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	194



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Tom III

Wydawnictwo Biblioteczne Biblioteki Warszawskiej

ARON ASERAW ARKUCIENIC

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 234.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1899. — Tom III.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

1899.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава 9 Июля 1899 года

Chopin i Fontana.

Z Julianem Fontaną łączyła Chopina serdeczna przyjaźń prawie od dziecka. Tytus Wojciechowski, Jan Matuszyński i Julian Fontana, to ze wszystkich przyjaciół młodości sercu jego najdrożsi. Którego z nich kochał najbardziej, trudno orzec stanowczo. Pewnem jest, że w roku 1840, gdy stał u szczytu sławy, dedykował Fontanie dwa przepyszne Polonezy, A-dur i C-moll, przypisując je wyraźnie à moi ami Jules Fontana. W listach do niego pisanych (a do żadnego z przyjaciół nie napisał tylu listów, co do Fontany właśnie) nazywał go zawsze swoim „kochaniem“, a w jednym z nich, ostatnim, pisanym na krótko przed śmiercią, tak określał wzajemny ich stosunek do siebie: „Ty liczysz się jeszcze, jak widzisz, do najstarszych moich wspomnień i ja do twoich, boś ty młodszy podobno (jak to dziś wiele znaczy, który z nas ma dwie godziny więcej!)“

I.

Jakkolwiek rzecz się miała istotnie, różnica wieku pomiędzy nimi była bardzo niewielka, obaj bowiem przyszli na świat w 1810. Urodzony w Warszawie, gdzie też, jako młody chłopiec, kształcił się w miejscowym Liceum, poznał się Fontana z przyszłym twórcą *Nocturnów* na szkolnej ławie, a że podobnie, jak i młodziutki Frycek (znany już jako „najlepszy w całym mieście fortepianista“), rwał się do muzyki, do której okazywał znaczne zdolności, więc niebawem koleżeńska znajomość przeszła w zażyłą przyjaźń. Gdy Chopin zaczął uczęszczać do konserwatoryum, gdzie pod kierunkiem Elsnera wtajemniczał się w naukę harmonii i kontrapunktu, Fontana poszedł za jego przykładem ¹⁾. Jednocześnie bywał prawie codziennym gościem w domu Chopinów, co mu dawało możność śledzenia rozwoju kompozytorskiego i wirtuozowskiego talentu Fryderyka. Ten ostatni ogromnie cenił swego rówieśnika i kolegę w sztuce, Fontana bowiem, nie tylko był mu oddany całą duszą, ale i jako fortepianista-wirtuoz wyróżniał się zaszczytnie. Jakoż niemало grywali razem... Gdy w r. 1827 ukończyli szkoły, Fontana wstąpił na wydział prawny warszawskiego uniwersytetu ²⁾, co mu zresztą nie przeszkadzało z zapalem oddawać się muzyce, której tymczasem 17-letni Fryderyk poświęcał się wyłącznie. Że się z sobą przyjaźnili w dalszym ciągu, tego dowodzi choćby Chopinowskie Rondo na dwa fortepiany, napisane w roku 1828, a napisane

¹⁾ Zob. przedmowę Fontany do wydania dzieł pośmiertnych Chopina. „C'est sous ce savant compositeur (Elsner) que le jeune Chopin, déjà très remarquable comme pianiste, a fait un cours complet de contrepoint et de composition. Nous avons eu le précieux avantage d'y être son condisciple, et depuis lors s'est avec bonheur que nous nous sommes soumis à son influence artistique“.

²⁾ Sowiński, *Les Musiciens polonais et slaves*, cyt. u Niecksa, II, 25.

dla Fontany¹⁾. O Rondzie tem tak pisał Chopin d. 27 grudnia 1828 r. w liście do mieszkającego na wsi Tytusa Wojciechowskiego: „Osierociałe Rondo na 2 fortepiany znalazło ojczyzna w osobie Fontany (możesz go kiedy u mnie widział, chodzi on na uniwersytet), przeszło miesiąc się uczył, ale się nauczył i niedawno u Buchholtza²⁾ doświadczyliśmy efektu, jaki sprawić-by mogło. Mogło, dlatego, iż zupełnie strojne były instrumenta, nie zawsze dopisywały palce i te wszystkie drobnostki, co wiesz, ile odcienia nadają każdej rzeczy.“ Rondo to projektowali sobie zagrać razem na koncercie w Resursie, ale jakoś nie przyszło do tego. W ciągu r. 1829 pisały się w oczach Fontany³⁾ pierwsze znaczniejsze kompozycje Chopina i zacieśniał się coraz bardziej przyjacielski stosunek pomiędzy nimi: Chopin, ceniąc inteligencyę i smak artystyczny Juliana, zasięgał w czasie pisania jego rad i wskazówek, a że je brał pod uwagę, na to nie brak dowodów..⁴⁾ Pod koniec r. 1830 rozstali się z sobą: Chopin wyjechał na czas dłuższy za granicę, Fontana został w Warszawie z zamiarem dokończenia studyów uniwersyteckich. Gdy wybuchła rewolucya listopadowa, wstąpił do wojska, w którym wkrótce dosłużył się stopnia oficera artylerji.. Po upadku powstania emigrował wraz z innymi jego uczestnikami za granicę: naprzód do Paryża, gdzie znowu miał sposobność częstego widywania się z przebywającym tu od paru miesięcy Chopinem, a następnie do Londynu, gdzie utrzymywał się z dawania lekcji gry na fortepianie. Wogóle, odkąd zamieszkał w Angli, poświęcał się całkowicie muzyce.. W roku 1835 występował kilkakrotnie w stolicy Francji ze znacznem powodzeniem na estradzie koncertowej, a jedno-

1) Zob. przedmowę Fontany do wyd. dzieł pośm. Chopina. „En 1828 il composa pour nous le Rondo à 2 pianos qui forme la 8-me livraison de ce recueil..“

2) Buchholtz był podówczas najlepszym w Warszawie fabrykantem fortepianów.

3) Przedmowa Fontany do dzieł pośm. Chopina. „Bientôt après nous l'avons vu écrire dans moins d'une année (1829) La ci darem, le Krakowiak, le Concerto en fa mineur, les Airs polonais et le Concerto en mi mineur, tous morceaux à grand orchestre, sans compter le Trio avec Violon et Violoncelle et d'autres compositions moins importantes.“

4) Okaże się to z listów Chopina do Fontany, np. z listu w sprawie dedykowanego Fontanie Poloneza A-Dur, którego część środkową, jako nie zadawalnąjącą przyjaciela, Chopin, dla dogodzenia mu, przerabiał kilkakrotnie...

czesnie oddawał się pracy kompozytorskiej, wydając w Paryżu cały szereg kompozycji fortepianowych, *Walców, Etiudów, Fantazji, Kaprysów, etc.*

Pomimo nadzwyczajnego przejęcia się kulturą Anglików, co sprawiło, że w kołach polskich cieszył się opinią zdeklarowanego Anglomana, po kilkoletnim pobycie nad Tamizą wrócił znów w roku 1837 na bruk paryski. Zdecydowany pozostać tu przez czas dłuższy, zamieszkał w najbliższym sąsiedztwie Chopina przy *Rue de la Chaussée d'Antin*. Na życie zarabiał najwięcej lekcjami muzyki, co także było głównym źródłem dochodów jego genialnego przyjaciela, a jako człowiek wytwornych manier towarzyskich, intelligentny i wykształcony, wszędzie podejmowany był chętnie. Wszyscy cenili w nim prawdziwego gentlemiana, w którego piersiach, pod angielskim, sztucznie przyswojonym sobie chłodem, biło gorące szczero-polskie serce... Z Chopinem widywał się ciągle, należąc do jego domowników, a żywiąc dlań nieklamany kult, jako dla chluby całego narodu, posuwał swoją bezinteresowną skwapliwość do świadczenia mu przyjacielskich usług tak daleko, że stał się nawet do pewnego stopnia jego totumfackim. Przepisywał mu na czysto jego kompozycje, pośredniczył w stosunkach z wydawcami, wyręczał go w chodzeniu za różnymi interesami. Chopin mieszkał razem z „Jasiem“ Matuszyńskim, ale nieprawdą jest, jakoby stosunek jego z Fontaną mniej był serdecznym i poufnym, aniżeli z Matuszyńskim. Przypuszczający to Niecks zapomina, lub nie wie, że Chopin, kiedy bawił w Nohant lub na Majorce, stale pisywał tylko do Fontany, czem Matuszyński nie mógł się pochwalić w równym stopniu... Taki stosunek trwał cztery lata blisko. W roku 1841 udał się Fontana do Ameryki, gdzie osiedliwszy się w Havanie, znowu trudnił się głównie dawaniami lekcji. W Havanie ożenił się, zaślubiając bardzo bogatą Kreolkę, której majątek pozwalał mu żyć odtąd bez troski o jutro... Żle znosząc klimat Havany, przesiedlił się z żoną do Nowego Jorku, gdzie raz po raz występował z koncertami, między innymi ze sławnym skrzypkiem Sivorim. Przez cały czas pozostawał w korespondencji z Chopinem... W roku 1850, w kilka miesięcy po śmierci Fryderyka, powrócił z rodziną na stały pobyt do Europy. Osiadł w Paryżu. Tu żył z całą emigracją, szczególnie przyjaźniąc się z Mickiewiczem. Z książki Władysława Mickiewicza o ojcu dowiadujemy się, że lato z roku 1853 spędził twórca „Pana Tadeusza“ w zamku starego generała Rotemburga w Mongeron, w połowie drogi do Fontainebleau. „W parku zamkowym osobny pawilon zajmowali państwo Fontanowie, radzi sąsiadować z Mickiewiczami. Synka ich Adam trzymał do

chrztu z panią Karoliną Sienkiewiczową¹⁾. Co do Fontany samego, którego piękna gra—zwłaszcza utworów Chopina—niejedną pewno chwilę uprzyjemniała wieszczowi „Dziadów“, to rozmiłowany w Anglii i Anglikach, robił z Paryża częste wycieczki do Londynu, gdzie nawet wydał zbiór pieśni narodowych polskich p. t. *P o l i s h n a t i o n a l m e l o d i e s*. Występował tam też niejednokrotnie z koncertami w czasie letniego sezonu, zawsze z powodzeniem, u tych zaś synów Albionu, którzy, jak A. J. Hipkins np., mieli sposobność zbliżyć się do niego osobiście, cieszył się opinią „człowieka bardzo wykształconego i zasługującego na najwyższy szacunek“. Zdania tego byli zresztą o nim wszyscy, nietylko nad Tamizą. W roku 1855, uproszony przez rodzinę Chopina, wydał w Berlinie u Schlesingera zbiór dzieł pośmiertnych swego niezapomnianego przyjaciela, opatrzywszy je pięknie napisaną przedmową²⁾. Pomimo, że od tylu lat przebywał wciąż na obczyźnie, nie zobojętniał nigdy ani na chwilę dla spraw krajowych... W r. 1866 ogłosił w Lipsku *Kilka uwag nad pisownią polską*, a w trzy lata później wyszło w Poznaniu ciekawe jego dziełko o *Astronomii ludowej*. W tymże czasie umarła mu żona.. Niepocieszony po jej stracie, zaczął zapadać w rodzaj melancholii: samotny i opuszczony, nie wystarczał sam sobie. Życie przestało go nęcić... O śmierci jego, która nastąpiła w roku 1870 w Paryżu, tak opowiada Edward Siwiński: „Zapadłszy na lekki ból uszu, skarżył się właścicielce domu, w którym mieszkał. Naiwna kobieta poradziła mu t. zw. babskie lekarstwo, a mianowicie, izby, kładąc się do łóżka, włożył sobie w uszy watę nasyconą eterem. Nieogłębny, rady tej usłuchał. Obudziwszy się z rana i spostrzegłszy, że jest już po dziewiątej, zdziwił się wielce panującą dokoła ciszą. Przystąpił do okna i wyjrzał na ulicę: przechodnie mijali się, jak zwykle, wozy i powozy przesuwały się ustawicznie, ale żadnego nie sprawiały turkotu. Zaniepokojony tem niewytłómaczonym dla siebie zjawiskiem, zasiadł do fortepianu i grać zaczął. Klawisze uginały się pod jego palcami, ale nie wydawały najlżejszego tonu. Coraz to więcej przerażony, zaczął grać mocniej i mocniej, wreszcie tłuc w fortepian... Instrument upornie milczał, a gdy kilka strun pękło, nie wydawszy najmniejszego jęku, pozwał do-

1) Żywot Adama Mickiewicza, IV, 361.

2) *Oeuvres postumes pour le piano de Fred. Chopin publiées sur manuscrits originaux avec autorisation de sa famille par Jules Fontana.*

piero z rozpaczą, że całkiem słuchu pozbawionym został. Żadnych środków ratunku nie było, i nieszczęśliwy muzyk, głęboką melancholią dotknięty, wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie.“¹⁾

II.

Po śmierci Fontany wszystkie pisane do niego, a skrzętnie zbierane przezeń, listy Chopina, wraz z mnóstwem autografów utworów muzycznych mistrza, dostały się w spuściźnie pani Joannie Lilpopowej w Warszawie, obecnie zaś są w posiadaniu syna jej, p. Karola Lilpopa. Listów tych było 51. W 1881, gdy Karasowski pisał swą książkę o Chopinie, pozwolono mu z korespondencji tej zrobić stosowny użytek.

Skorzystał z niej w sposób bardzo prosty, mianowicie: z użytych sobie listów wydrukował niektóre i *n e x t e n s o* w drugim tomie swego dzieła. Niestety, okazał się w tym wypadku, jako wydawca, wielce nieścisłym. Pomimo, że mówiąc o listach Chopina, wogóle podnosił ich „wyborną i jędrną polszczyznę“ i „zwroty swobodne, naturalne, a dziwnie czasem niespodzianej humorystycznej oryginalności“²⁾; to jednak, zdecydowawszy się powiększyć wartość swej książki przytoczeniem kilkunastu listów nieśmiertelnego twórcy *P o l o n e z ó w* do Juliana Fontany, przytoczył je nie w dosłownem brzmieniu, tak, jak zostały rzucone na papier, ale im nadał formę, wielce różniącą się od oryginalnej. Co najgorsza, że o tem dowolnem ich sparafrazowaniu ani słówkiem nie uprzedził czytelnika, choć może wypadało zaznaczyć, że przytoczone w książce listy „Aryela fortepianu“ zostały przez autora jej wygładzone i przerobione stylistycznie, że mnóstwo wyrazów i wyrażeń zastąpiono w nich innemi (gdyż użyte przez Chopina uznano za nieodpowiedne), słowem, że ani jednego listu nie wydrukowano tak, jak był napisany, lecz z licznymi opuszczeniami i... dodatkami (których wcale niema w autografach). Nadto, z porównania ogłoszonych przez Kara-

¹⁾ Gazeta Warszawska Nr. 48 z d. 20 lutego 1897. Garść wspomnień.

²⁾ Karasowski, Fryderyk Chopin, Życie — listy — dzieła Warszawa 1882.

sowskiego listów z oryginałami (które dzięki uprzejmości p. Karola Lilpopa miałem przez czas dłuższy do dyspozycji), okazuje się, że w przepisywaniu ich powodowano się dziwną—najpobłaźliwiej się wyrażając—opieszałością: gdzie tylko zdarzył się jakiś wyraz mniej czytelny (choć wogóle charakter pisma jest nadzwyczaj poprawny), tam nie zadano sobie nawet tyle trudu, by go odcyfrować należyście, lecz zastąpiono go wyrazem pierwszym lepszym na chybił trafił; gdzie zaś Chopin w pośpiechu oznaczył znajomych swych jedną lub dwiema początkowymi literami, tam wszędzie wydrukowano całe ich nazwiska *en toutes lettres*, co nie było-by jeszcze nie do darowania, gdyby te inicjały dopełniono trafnie, nazwiskiem tej osobistości, którą piszący istotnie miał na myśli. Na nieszczęście da się to powiedzieć nie o wszystkich konjekturach; w większości wypadków trzeba rzeczywiście podziwiać nadzwyczajną nieznaną ludzi i stosunków danej epoki, choć do jej poznania tyle istnieje łatwo dostępnych źródeł. Prócz tego (co już Niecks wytyka w swem dziele) listy z r. 1840 i 1841 odniesiono mylnie do roku 1838 i 1839, pomimo, że przy niektórych wystarczało baczniejszą zwrócić uwagę na znajdujący się po odwrotnej stronie stempel pocztowy z datą i miejscem wysłania. Co najkarygodniejsze jednak, to, że poprawiając i upiększając styl oraz polszczyznę Chopina, całkiem zatarto wszelkie właściwości i odrębności jego języka; język ten zaś jest niezmiernie charakterystyczny przez to szczególnie, że Chopin posługiwał się w swych listach gwarą emigrancką, że mieszał francuskie wyrazy z polskimi, że w zdania polskie wplatał różne wyrażenia specjalne francuskie, że do słów francuskich dorabiał polskie końcówki, etc. etc., czyli, że pisał tak, jak się mówiło na emigracji. Z tego wszystkiego w listach ogłoszonych przez Karasowskiego nie zostało ani śladu. Owo arcyciekawe piętno, które na nich wycisnęło życie emigracyjne wśród francuskiego otoczenia, Karasowski uważał za stosowne zatrzeć, ukryć przed polskimi czytelnikami. Jakoż przedstawił im Chopina nie takiego, jakim był naprawdę, ale jakiegoś Chopina à la Karasowski, stylizującego swe listy, dążącego niesłychanie o poprawność wyrażeń i zwrotów, piszącego językiem gładkim, ale pozbawionym indywidualnego charakteru i wszelkiej oryginalnej cechy. Chopina-emigranta, któremu często francuskie zwroty nasuwały się równocześnie z polskimi, Chopina, który miał „trudne pióro“ i wogóle pisywać nie lubił, a gdy pisał, to czynił to niedbale i bezprezjonalnie, bez myśli o stylu, Chopina, który, korrespondując ze swymi przyjaciółmi, nie myślał o tem (jak np. Mendelssohn-Bartholdy), że te bazgroty mogą być z czasem ogłoszone drukiem po jego śmierci: takiego Chopina niema zupełnie w tych kilkunastu listach do Fontany, które w swej książce pomieścił Karasowski. To też, porównywując te

stylizowane parafrazy z oryginałami, mimowoli myśli się o dziełach Szekspira w słodko-konwencyonalnych przeróbkach Ducisa ¹⁾.

⁹⁾ Oto parę wymowniejszych próbek metody, jakiej Karasowski trzymał się przy cytowaniu listów Chopina:

Chopin pisze:

...W dzień słońce, wszyscy letnio chodzą, i gorąco: w nocy gitary i śpiewy po całych godzinach... Przejdź się do Pleyela, bo fortepian jeszcze nie przyszedł. Jakim traktem go posłali?.. Oddaj moich rodziców listy Grzymale i co tylko masz mi przesłać: on wie najpewniejszy adres. Uściskaj Jasia! Jakby on tu wyzdrowiał! Powiedz Pl(eyelowi), że dostanie niedługo manuskrypta. Mało mów znajomym o mnie. Wiele ci napiszę potem... Powiedz, że po zimie wrócę. Poczta tu raz na tydzień odchodzi. Piszę przez konsulat tutejszy. Poślij mój list rodzicom tak, jak jest. Sam wrzuc na pocztę.

Leo żyd? Nie mogę preludii ci posłać, bo nieskończone; lepiej się mam i pośpieszę, i Żydowi list otwarty krótki odpiszę z podziękowaniem, aż mu w piąty pójdzie (niech mu pójdzie, gdzie chcesz). Szelma! A byłem wigilią wyjazdu u niego, żeby do mnie przysyłał. Schlesing(er) jeszcze większy pies, żeby moje walce w Album kłaść!! i Probstowi sprzedawać, kiedy na jego zebraniu dla Gycamu do Berlina dałem. Wszystkie te w s z y mnie teraz mniej kają. Niech się Leo wścieka. Żal mi tylko ciebie, ale ty za miesiąc najdalej czysty bę-

U Karasowskiego czytamy:

...W dzień słońce, więc ciepło; wszyscy chodzą w letnich ubiorach. Podczas nocy słychać wszędzie gitary i śpiewy po całych godzinach... Kochany Julianie, udaj się do Pleyela, bo fortepian jeszcze nie przyszedł, i zapytaj, jakim traktem go posłali? Listy d o moichrodziców oddaj Grzymale i co tylko masz mi przysłać. Uściskaj Jasia. Jakby on tu prędko wyzdrowiał! Powiedz Schlesingerowi, że dostanie niedługo manuskrypt. Mało mów znajomym o mnie. Gdy się kto zapyta, powiedz, że na wiosnę wrócę... Piszę przez tutejszy francuski Konsulat. Załączony list poślij rodzicom tak, jak jest; sam, bądź ła-skaw, wrzuc na pocztę.

Leo żyd, szelma! A byłem w wigilią wyjazdu u niego i mówiłem, że by do mnie nie przysyłał. Preludii nie mogę Ci posłać, bo niedokończone; obecnie mam się lepiej i pośpieszę z robotą. Napiszę ja mu list z podziękowaniem, aż mu w piąty pójdzie! Ale i Schlesinger jeszcze gorszy pies — żeby moje Walce do Albumu kłaść i Probstowi sprzedawać! Kiedy na jego zebranie dla ojca do Berlina mu dałem. Wszystko to mię irtuje. Żal mi tylko ciebie; ale za miesiąc najdalej będziesz na czysto z Leo i z moim gospodarzem. Z pieniędzmi

Wobec takiego sposobu wydawania czyjejs korrespondencyi, i to korrespondencyi „najśmielszego i najdumniejszego ducha poetycznego swojej epoki“ (jak Chopina nazwał Schumann), trudno nie ubolewać nad tem... Na szczęście Karasowski nie ogłosił wszystkich 51 listów Chopina do Fontany, które mu dano do rozporządzenia: krępując się

dziesz z Leonem i z moim gospodarzem. Użyj Wessla pieniędzy, jak potrzeba. Służący co robi? Daj portierowi 20 fran. odemnie noworocznego, jak pieniądze odbierzesz, i zapłać fumistę, jeżeli przychodzi.

Pomarańcze darmo, a guzik do portek sumny bajońskie. To wszystko grano piasku przy tem niebie, przy tej poezyi, którą wszystko tu oddycha, przy tej barwie miejsc najcudniejszych, jeszcze oczami ludzi nieotartej. Jeszcze mało kto ploszył te orły, co codzień nad naszymi głowami bujają! Pisz na Boga, zawsze frankuj i Palma de Mallorca dodawaj. Posyłam ci weksel i list do moich. Jasia Kocham i żałuję, że nie ukształcił się zupełnie na dyrektura dzieci dobroczynności w jakim Nürenbergu albo Bambergu. Niechże mi przecie napisze, że człek... To zdaje mi się 3-ci czy 4-ty list, co ci do Rodziców posyłam. Albrechta uściskaj, ale mało mów...

Ballada à Mr Robert Schumann. Polonezy tobie, jak są. Kesslerowi nic. Jeżeli Pleyl nie będzie chciał opuścić Ballady, to Preludia dedykuj Schumannowi. Gaszyński był z Aix u mnie wczoraj, jedyna osoba, com przyjął.

na weksel postąpi, jak potrzeba. A służący mój co robi? Daj portierowi odemnie 20 franków na Nowy Rok...

Naprzykład pomarańcze dadzą ci darmo, lecz za guzik od surduta żądają sum bajońskich. Pod tutejszem niebem, przejmuję Cię jakieś poetyczne uczucie, którem, zdaje się wszystko oddychać; orły, niepłoszone przez nikogo, bujają majestatycznie codzień nad naszymi głowami. Pisz na Boga, frankuj zawsze i do Palmy dodawaj zawsze Valdemosa. Jasia Kocham i żałuję, że nie ukształcił się zupełnie na dyrektora dzieci jakiego zakładu dobroczynnego w jakiej Norymbergii, albo Bambergu. Niechże mi przecie napisze choć kilka słów... Załączam list do moich. Zdaje mi się, iż to jest trzeci czy czwarty, co ci do rodziców posyłam.

Balladę Robertowi Schumannowi. Polonezy tobie, jak są, a nie Kesslerowi. Jeżeli Pleyl nie będzie chciał odstąpić od dedykacji Ballady, to Preludye dedykuj Schumannowi. Garczyński był u mnie wczoraj, wracając z Aix; jedyna to

rozmiarami książki, był zmuszony ograniczyć się do wydrukowania ich połowy za ledwie, i to nie całej!

Dzięki tej okoliczności, wszystkie przytoczone poniżej listy Chopina ukazują się w druku po raz pierwszy.

Szkoda tylko, że z tych 51 listów, będących pierwszorzędem źródłem do charakterystyki naszego „Rafała muzyki“, jako człowieka, zaginęło pięć, i że w tej chwili zbiór ich ogranicza się do liczby 46-ciu tylko. Gdzie się podziała reszta?..

III.

Wśród tych 46-ciu listów Chopina do Fontany, pisanych pomiędzy rokiem 1836 a 1848, znajdują się: 1) dwie kartki (z tych jedna pisana ołówkiem), które, rzucone na papier w Paryżu, zdają się pochodzić z przed roku 1837, z czasów, gdy artysta nie był się jeszcze poznał z panią Sand, 2) pięć listów z końca roku 1838 i początku 1839, wysłanych z miasta Palmy na wyspie Majorce, 3) cztery listy z Mar

Bo drzwi zamknięte dla wszystkich amatorów muzyki i literatury.

osoba, którą przyjąłem, bo drzwi trzymam szczerze zamknięte dla wszystkich amatorów muzyki i literatury“.

Nadmienić nadto wypada, że Karasowski ani jednego z przytoczonych przez siebie listów nie umieścił pod właściwą datą, że listy z roku 1841 poumieszczał pod rokiem 1838 lub 1839, a co gorsza, że ponadpisywał w nagłówkach całkiem fałszywe i wyssane z palca daty. Nad pierwszym naprzykład listem Chopina z Palmy napisał zmyśloną datę: „Palma, 15 listopada 1838 roku“, gdy tymczasem list ten w oryginale jest bez daty zupełnie i bez stempla pocztowego, tak, iż absolutnie domyślić się nie można, którego dnia mógł być pisany lub wysłany. Co gorsza, to, że Karasowski stawia fikcyjne daty nad listami, o których wiemy skądinąd, iż były pisane kiedyindziej i wysłane z innego miejsca. Tak naprzykład nad listem, o którym wiemy napewno, że był pisany z Nohant w sierpniu roku 1841, pisze Karasowski najspokojniej: „Palma, 17 listopada 1838“. Rzeczywiście, że są rzeczy na ziemi i niebie o których się nie śniło filozofom...

sylii, z pierwszych miesięcy roku 1839, 4) jedenaście listów z Nohant, pisanych w ciągu lata i jesieni roku 1839, 5) dwa listy z roku 1840, jeden z Paryża, drugi z Nohant, 6) dwadzieścia listów z roku 1841, wszystkie z Nohant, i 7) dwa listy z roku 1848, jeden z Paryża, drugi z zamku Calder House w Szkocyi.

Co się tycze owych dwóch kartek, które zdają się być najwcześniejszemi pod względem daty, choć dokładnie czasu ich napisania oznaczyć niepodobna, to o jednej zarówno, jak i o drugiej, powiedzieć można, że są odbiciem tego pogodnego nastroju umysłu Chopina, z którego artysta był znany w kołach emigracyjnych, a który sprawiał, że poza godzinami pracy, t. j. poza 5-ciu godzinami lekcyi, więcej, aniżeli o komponowaniu nowych dzieł fortepianowych, myślał o zabawie, o wizytach w wielkim świecie, którego był ulubieńcem, o koncertach i spektaklach teatralnych, którym poświęcał wszystkie wolne od obowiązków towarzyskich wieczory, i wreszcie o wesołych śniadankach i obiada-kach, które tak lubił urządzać dla swoich bliższych przyjaciół, a na których najczęściej nie obchodziło się bez muzyki, i to najprzedniejszej, jaką można było usłyszeć w Paryżu.

Pierwsza z tych kartek, pisana ołówkiem, odnosi się do jakiegoś przedstawienia w operze, na które Chopin, pomimo, że obiecał być na niem, w ostatniej chwili pójść nie mógł. Ażeby tym sposobem nie zmarnować biletu, posłał go Fontanie, z taką charakterystyczną instrukcją:

Posyłam ci stalle ¹⁾ na Musarda, ale, bądź łaska w nie siadaj, bo to moi znajomi, z którymi ja być obiecałem, a być nie mogę.

Kochający Cię

Fr. Ch.

Prawdopodobnie czuł się nie zdrow, co mu się nawet już i przed rokiem 1837 zdarzało tak często. Bądź co bądź, pomimo tych raz po raz powtarzających się niedyspozycyi, nie tracił animuszu ani dobrego humoru, a gdy urządzał przyjęcia w swem wykwintnie umeblowanym mieszkaniu przy Rue de la Chaussée d'Antin, czynił wszystko możliwe ze swej strony, by zaproszeni goście nie skarżyli się na nudy,

¹⁾ Fotel w pierwszych rzędach teatru.

szczególniej, gdy tymi gośćmi byli jego ziomkowie - emigranci, o których zawsze troszczył się bardziej, aniżeli o najznakomitszych cudzoziemców.

Że na takich wieczorkach u niego, obok muzyki, uprawiano także i tańce niekiedy, bo bywała na tych zebraniach i płeć piękna, tego między innymi dowodzi następująca kartka do Fontany, w której Chopin prosi Juliana, by doń przyszedł wieczorem, ale przy tej sposobności ściągnął paru kompanów.

Przyjdź sam i **gwałtem** przyprowadź mi Węgiera ¹⁾ wieczorem. Freppa będzie śpiewać, a może poskaczemy.

Złap tam Sadowskiego za... ²⁾, ale koniecznie żeby był. Idź na klub ³⁾ i zwerbuj Skarzyńskiego generała.

W roku 1837 nastąpiło poznanie się Chopina z panią Sand, a choć słynna autorka Lelii nie podobała mu się w pierwszej chwili, to jednak po upływie bardzo niedługiego czasu dał się opętać jej demonicznemu urokowi. Skończyło się na tem, że zawiązała z nim nie pierwszą w swem wolnem od wszelkich przesądów społecznych życiu i nie ostatnią bynajmniej liaison (jak sama nazywała swe nieplatoniczne romanse z wielu współczesnymi sobie poetami i artystami), i że stosunek ten, wyłącznie na wzajemnym pociągu zmysłowym oparty, zaczął wcale nie wychodzić na zdrowie wątlemu i delikatnemu twórcy Mazurków. Błady i wycieńczony, poprostu niel w oczach, a jednocześnie zapadł na

¹⁾ Być może, iż ma tu Chopin na myśli Liszta, który, gdy bawił w Paryżu, należał do stałych gości na Rue de la Chaussée d'Antin.

²⁾ Chopin, gdy był w dobrym humorze, używał niekiedy w listach swych do przyjaciół wyrażen bardzo dosadnych, a niezawsze takich, które były-by możliwe do powtórzenia w druku. W tem miejscu znajduje się właśnie takie wyrażenie, bardzo śmieszne, ale w wysokim stopniu... nieparlamentarne...

³⁾ Mowa tu o Klubie Polskim, „pełnym dymu i różnorodnych opinii“, założonym w roku 1836, a mającym swą siedzibę przy Rue Godot de Mauroy. Prezesem jego był Kasztelan Ludwik hr. Plater. Członkowie jego, emigranci, nazywali go w potocznej mowie kasynem, albo cercle'm. O klubie tym zob. moje: „Życie Juliusza Słowackiego“, tom III, str. 14 — 15.

dotkliwą chrypkę, która, połączona z uporczywym kaszlem i bólem gardła, nie dziw, że mocno zaniepokoiła jego przyjaciół. Z nadzieją wiosny roku 1838, stosując się do wskazówek lekarzy, doradzających mu pobyt na świeżem powietrzu i zupełną zmianę warunków codziennego życia, skorzystał z zaproszenia pani Sand, która go namawiała do spędzenia z nią lata w jej letniej rezydencji w Berry, i pojechał do Nohant. Okazało się jednak, że mu tym razem i wieś nie pomogła... Wróciwszy po paru miesiącach do Paryża, pod wrażeniem przerażającego upadku sił i w przewidywaniu rychłej śmierci z suchot, sporządził testament i napisał swego przecudnego Marsza żałobnego... Tymczasem lekarze radzili spędzić zimę w południowym klimacie, a że i pani Sand, ze względu na cierpienia reumatyczne swego syna, wybierała się na wyspę Majorckę, więc zdecydował się pojechać tam z nią razem...

Po kilkomiesięcznym pobycie na Majorce i w Marsylii, dnia 3-go czerwca 1839 roku znaleziono się z powrotem w Nohant. Do Paryża wybierano się dopiero późną jesienią: taki był zamiar pani Sand, a więc i Chopina, ten bowiem, choć nie ślepy na różne wady swej ukochanej, nie chciał się z nią rozstawać, przywiązywał się coraz bardziej. Powróciwszy z południa prawie całkiem zdrów, po kilku tygodniach w Nohant wydobrzał zupełnie. Ze zdrowiem odzyskał i humor, a korespondując ze swymi paryskimi przyjaciółmi, w listach do nich puszczał często folgę swemu wrodzonemu dowcipowi. Najwięcej, jak zwykle, pisywał do Fontany, jako do swego pośrednika w stosunkach z nakładcami, z którymi temi czasy był w ciągłych interesach, bo, mieszkając na wsi, nie ustawał w pracy kompozytorskiej.

Pierwszy z dochowanych listów wysłany był dnia 10 sierpnia 1839 roku (co nie przeszkadza Karasowskiemu odnosić go do... czerwca tegoż roku, choć stempel pocztowy wskazuje wyraźnie datę wysłania listu). Bardzo długi, kończył się niekrótkim także *post scriptum*, z którego nie od rzeczy będzie przytoczyć na tem miejscu następujący wyjątek, opuszczony przez Karasowskiego, a wielce charakterystyczny, bo miemałe rzucający światło na ówczesne położenie Chopina... Ponieważ z powodu jego pożycia z panią Sand opowiadano sobie w Paryżu różne historie, więc Fontana nie omieszkał donieść o tem przyjacielowi, ten zaś odpiisał mu w tej kwestyi, co następuje:

Nie dziwię się baśniom rozmaitym; możesz miarkować, zem wiedział, że się na nie wystawiam. Wszakże i to minie, i pogniją nasze języki, a duszy nie naruszają. Nie zapomnij mi

trzewików... Przyślij przez Grz(ymałę) ze 3 albo 4 pary, choć starych; to na wieś na rano najdoskonalsze. Pisz mi o sobie tyle, ile ja ci o sobie...

W kilka tygodni po wysłaniu listu, a pewno już po wyjeździe Grzymały z Nohant, około 20 września mianowicie, napisał Chopin znówu pełen „różnych kommissów“ list do Fontany. Komissy te dotyczyły szczególnie kwestyi mieszkania, za którym już od niejakiego czasu chodzili jego przyjaciele paryscy z Fontaną na czele. Była to kwestya, która obecnie absorbowwała niezmiernie Chopina, ile że chodziło tu właściwie o dwa mieszkania: dla niego i dla pani Sand. Ogromnie mu zależało na tem, ażeby mógł mieszkać, o ile się da, jak najbliżej swej przyjaciółki..

Otrzymałszy wiadomość od Fontany, że ze wszystkich mieszkań, które dla niego oglądali, on za najlepsze uważa lokal przy Rue Tronchet, odpowiedział mu Chopin w rzeczonyj kwestyi — na papierze pani Sand — następującym listem:

Sobota ¹⁾.

Moje kochanie.

Weź mieszkanie Rue Tronchet № 5, tylko widź Grzym(ałę), czy czasem po moim ostatnim liście nie wziął którego w Ambasadzie. Bardzo mi się z opisu twojego podoba. Jeżeli go już niema, to daj preferencyę Rue Lafitte mimo schodów, które mnie nie zenują. Żałował-bym, żeby które mieszkanie w Ambasadzie było zamówione dla mnie, i gdyby to Tronchet było wolne, wolał-bym coś stracić, jak być w dziurze na całą zimę, mając coś lepszego do wyboru. Nawet Lafitte wolę. Ściskam cię. Rób, żeby było do-

¹⁾ Prawdopodobnie 20 września, gdyż stempel pocztowy na odwrotnej stronie tego listu nosi datę: 21 września 1839 roku.

brze. Jak cię zobaczę, to cię uściskam za wszystkie twoje dobre dla mnie uczynki. Jesteś pocziwiec i kwita. Kocham Cię po staremu. Jasia i Grzymałę duszę.

Twój

C.

Pośpiesz się i pisz, moje życie.

W miarę, jak się zbliżała chwila wyjazdu z Nohant, stawał się Chopin coraz skorszym do pisania listów, a że wszystkie kreślone są na papierze z literami G. S., więc pozwala się to domyślać, że gdy chodziło o załatwianie korespondencji, czynił to najczęściej w buduarze pani Sand, przy jej biurku.

Oto np. jeden z takich jego listów do Fontany:

4 Octobre ¹⁾.

Moje kochanie.

Jesteś nieocenione stworzenie. To mieszkanie zdaje się wyborne, tylko dlaczego takie tanie? Czy nie masz tam jakiego ale bardzo nieprzyjemnego? Na Boga Cię proszę, nie trać czasu, idź do P. Mardela Rue la Harpe № 89, ale zaraz; znieś się z nim, czy on czego już nie znalazł jeszcze może lepszego; jeżeli nie, weź go z sobą (on wie o tobie), idźcie razem, weź i Grzymę, jeżeli można, i skończ. N. B. trzeba koniecznie, żeby nie było au nord; zważ les conditions, jakie Ci w przeszłym liście dałem ²⁾. Jeżeli la majorité jest w mieszkaniu,

¹⁾ Na odwrotnej stronie, oprócz zwykłego adresu Fontany, 26, Rue de la Chaussée d'Antin, stempel pocztowy: 5 oct. 1839.

²⁾ Charakterystycznym było post scriptum tego przeszłego listu, w którym głównie chodziło o kapelusz i spodnie. „Czekam listu od ciebie. Kapelusz zaraz, żeby za parę dni był, i portki zaraz obstaluj, moja Julisio!“.

bierz. Jeszcze raz, czy porządnie, czy nie śmierdzi, czy nie brudno, czy sąsiadów nie taka moc, że się na przechód bez nich pójść nie może? Czy niema korneta a pistou w domu i tym podobnych rzeczy? Odpisz przez odchodzącego kuryera, choć nic nie zrobisz. Odrysuj mieszkanie. Mój towarzysz miał dobre przeczucie, że znajdziesz, i podoba mu się, co piszesz, tylko na Boga, czy porządnie? Miarkuj, że dla niej byle jak nie można. Zważ to wszystko i pośpiesz się. Kontrakt na rok, a nie, to najwięcej na 3 lata. Rób i Bóg z tobą. Kochaj mnie i natchnieniem się własnem kieruj. Zważ i niech się stanie.

Twój

Ch.

Czy takie mieszkanie, jak czyje N-go? Czy Mardelle lepszego nie ma? Ale jego sąd niech cię nie influje.

Po wysłaniu tego i jeszcze paru innych (ogłoszonych przez Karasowskiego) listów, przyszła w kilka dni wiadomość z Paryża od Fontany, że znalazł tuż nieopodal Rue Tronchet dwa pawilony przy Rue Pigale, poprostu wymarzone jak na mieszkanie dla pani Sand. Są do wynajęcia zaraz. Czy je wynająć? Po rozmówieniu się z „Jutrzenką“ (Aurorą), która zdecydowała się zamieszkać w proponowanych przez Fontanę willach, odpisał mu Chopin — na papierze listowym swej przyjaciółki — krótko i węzłowato: „Jesteś nieoceniony. Bierz rue Pigal oba domy, ani się pytaj... Za trzy dni wyjeżdżamy z pewnością“.

Wróciwszy po całorocznej niebytności do Paryża, powitany tu przez liczne grono przyjaciół i ziomek, kiedy się rozgościł w swem nowem mieszkaniu przy Rue Tronchet, wkrótce wciągnął się znowu do zwykłego trybu życia, jakie przedtem prowadził był w Paryżu. Pięć godzin dziennie zajmowały mu lekcye, poza tem zaś, o ile nie przesiadywał na Rue Pigal, w mieszkaniu pani Sand, o tyle spędzał czas na wizytach, na odwiedzaniu swych przyjaciół i znajomych, na koncertach, teatrze, przejażdżkach powozem po Lasku Bułońskim, i t. d., i t. d. Jakkolwiek nazywało się, iż wrócił zdrowszy, niż był wówczas, gdy wyjeżdżał na Południe, to jednak stan jego zdrowia pozostawiał mimo to niezmiernie wiele do życzenia. Jeden z jego ówczesnych uczniów, Brinley Richards, powiada o nim, że był nadzwyczaj blady i osłabiony, że podczas lekcyi rzadko sam grywał, bo go to męczyło, i że zawsze robił wrażenie, jakby chciał powiedzieć: „Wolał-bym, iżbyś pan przyszedł innym razem“. Pomimo tego ani myślał oszczędzać się i uważać na siebie. Wracanie do domu późno po północy należało u niego do rzeczy zwykłych... Z przestróg lekarzy nic sobie nie robił. Komponował także niezmiernie mało, bo zbyt był poza swemi zajęciami obowiązkowemi zaabsorbowany życiem towarzyskiem. Odkładał to na wakacye, na czas pobytu w Nohant. Jakoż z nadziejściem lata wybrał się tam znowu...

Na krótko przed tem rozłączył się na czas jakiś z Fontaną, ten bowiem wybrał się z wiosną w podróż artystyczną po Francyi. Koncertując w różnych miastach, raz po raz dawał choć kilku słowy znać Chopinowi o sobie. Kwiecień zastał go w Bordeaux. Bawiąc w tem mieście, odebrał następujących kilka słów od Fryderyka, pisanych tym razem nie na papierze z literami G. S.

Posyłam ci list od Wessla, zapewne za moim dawnym interesem. *Troupenas* ¹⁾ kupił moje 7 kompozycyi i z Wesslem interesa prowadzić prosto będzie, więc ty się nie troszcz. Cóż robisz? Jak ci idzie? Ja kaszlę, nic nie robię. Liszt przyjechał, jedzie do Londynu. Albrechty Per-

¹⁾ Jeden z pierwszorzędných nakładców muzycznych paryskich.

thuisy zdrowe. Świecone było w klubie ¹⁾. Wodzyński zawsze brudny na ciele, a czysty na duszy. Kocham Cię, ale wiesz, że pisać nie umiem. Pisz, jeśli masz czas. Mam nadzieję, że Ci dobrze.

Twój

Ch.

Paryż, 23 b. m. ²⁾.

Zdaje się, iż do tej samej epoki, mianowicie do wiosny roku 1840, da się odnieść także i króciutka kartka, dołączona przez Chopina do trzech listów polecających, które mu dali znajomi jego, państwo Marliani, dla wybierającego się w świat Fontany. Nawiasem mówiąc, jest to jedyny list Chopina, pisany na jego własnym papierze listowym z inicjałami gotyckiem: F. C.

Czwartek.

Moje kochanie. Posyłam Ci 3 listy, 2 od pani Marliani, 3-ci od Marlianiego. List do pana Saluces jest bardzo dobry. Jest tam córka, której radzą od ciebie profiować. Czekalem na list Agugado do Pana Balgueri, ale jeszcze go nie mam. Ten ostatni Pan jest wielki tamtejszy bogacz. Jak dostanę, zaraz Ci go pošlę. Niech Ci Bóg szczęści.

Twój

Ch.

Pisz.

Z nadejściem jesieni roku 1840 znalazł się znów Fontana z powrotem na bruku paryskim. Dowiedziawszy się o tem Chopin, miał dla niego zaraz niemało kommissów, a gdy mu wypadło zjeżdżać do

¹⁾ W Klubie Polskim, o którym patrz wyżej.

²⁾ Na odwrotnej stronie: „Monsieur Monsieur J. Fontana à Bordeaux, Rue d'Anghien, N° 5“. Stempel pocztowy: Paris, 24 Avril, 1840; Bordeaux, 26 Avril, 1840.

Paryża, napisał na kilka dni przedtem następujący list, prosząc w nim Julię o wyświadczenie jemu i pani Sand całego szeregu drobnych przysług koleżeńskich.

Środa.

Moje kochanie.

Przyjeżdżamy z pewnością w poniedziałek, to jest 2-go o godzinie 2-giej z południa, a może i o 5-tej, albo 6-tej, na nieprzewidziane rachując rzeczy. Ofiarowałaś mi twoją pomoc wedle urzędzenia rue Pigal. Tego nie chcę, dziękuję ci, ale za wiele-bym po twojej dobroci wyciągał; ale o co Cię będę prosił, to żebyś był w poniedziałek od 2-giej rue Pigal. Także zajrzyj tam wprzód, widź Pelletana, i jak rzeczy stoją. Jest tam Moreau i jego żona, służyć ci pani Sand, których ona odprawiła stąd i do Paryża odesłała z pozwoleniem mieszkania na Rue Pigal póty, póki oni sobie miejsca albo mieszkania nie znajdą. Jeżeli jeszcze tam są, widź koniecznie Pelletana, któremu pani Sand otempisała, żeby oni koniecznie przed poniedziałkiem, nawet niedzielą, to lepiej, wyprowadzili się. Jeżeli on, Pelletan, zatrudniony bardzo (bo on nowy dziennik le 19 siècle wydaje), przypilnuj, zniósłszy się z nim, aby okna pootwierać (jeżeli nie deszcz) i przewietrzyć pawilon P. Sand szczególnie. Żeby parę dni wprzód na kominach i w piecu ognia zrobić. Jeżeli Moreau, którego pani Sand może na przyjeździe zatrzyma na parę dni (n. b. jako przychodzącego bez żony, ale nie jako mieszkającego, o czem mu Pelletan miał powiedzieć). Jeżeli ten Moreau jest disponible, on zna dobrze service P. Sand, więc tylko go dopilnuj, żeby okna otworzył, kominy napalił. Jeżeli zaś ów Moreau (o czem ci Pelletan powie) nie disponible, to portier M-r Armand i jego żona (bardzo pocziwa) niech się tem zajmą, a ty dopilnuj, n. b. zniósłszy się z Pelletanem, który biedak może ze swoim journalem no-

wym głowę traci i nie ma materyalnie czasu przypilnowania. Mów mu o jego journalu, to poczciwy człowiek i uczony, i znies się z nim po przyjacielsku, i nie gniewaj się ani na mnie, ani na niego, ani na siebie, ani na nikogo. Co się lokaja tycze, miej napiętych, żadnego nie zatrzymuj, bo ja nie wiem, czy się podoba; bo to chociaż to mój, ale obok mieszkając, to tam rozmaicie. En tout cas na przyjazd, portierzy dobre ludzie i usłudzi: menażuj ich i daj do zrozumienia, albo jeszcze lepiej daj w łapę, jeżeli oni mają się apartamentem zajmując, a nie Moreau. Jednakże, jeżeli ci to subiekcyi nie robi. Będzie to jakoś. Moje stare przysłowie. Zresztą, czas ucieka, świat mija, śmierć goni i moje manuskrypta cię gonią. Z t e m się nie śpiesz, kochanie, bo wolę, żeby w Lipsku czekali na nie, jak żeby na Rue Pigal zimno na przyjeźdźnym zastali, albo kurz, albo zaduch, albo wilgoć. O moje apartamenta się nie troszcz, ani o moje legowisko, ani o nic. Nazajutrz zajmę się tem sam i ciebie nie będę więcej męczył. To na r e v a n c h e, jak kiedy podobnych potrzeba ci będzie dowodów przyjaźni. Stara łysa głowa twoja niech się spotka ze zwiędniałym zgrzybiałym nosiwem moim, i zaśpiewajmy sobie: Niech żyje Krakowskie Przedmieście! na nutę Bogusławskiego, tenorem Krzysztofowicza, akompaniamentem ś. p. Lenza.

Twój stary

Ch.

Pisz, albo dziś, to jest w piątek, albo wcale.

Moje życie. Idź do mojego kapelusznika Dupont, № 8 rue du Montblanc, i każ mu zrobić kapelusz na poniedziałek. On zawsze mi kapelusze robi. Znają mnie tam i nie potrzebują miary, ale koniecznie na poniedziałek.

Każ portierowi Rue Pigal, żeby mi żadnych już listów nie przysyłał tutaj.

W Paryżu miały Chopinowi przejść koniec roku 1840 i początek 1841 w sposób wielce urozmaicony. Choć zawsze wyglądał bardzo mizernie, czuł się nieco silniejszym, tak, iż nawet w kwietniu 1841 roku zdecydował się po długiej, bo sześcioletniej przerwie, wystąpić z własnym koncertem w sali Pleyela. Koncert ten powiódł się doskonale, pod artystycznym zarówno, jak i materyalnym względem, a bawiący wtedy nad Sekwaną Franciszek Liszt napisał o nim w *Gazette musicale* entuzyastyczne sprawozdanie... Rzecz charakterystyczna, że Chopin, kiedy się dowiedział, iż Liszt ma pisać o jego koncercie, wcale się na wiadomość tę nie ucieszył. „Il me donnera un petit royaume dans son empire“, rzekł z tego powodu do Ernesta Legouvé, a Niechś słuszną czyni uwagę, że tych kilka słów lepiej określają stosunek Chopina do Liszta, niż całe tomy. Innego zdania jest Karasowski, utrzymujący, iż „między tymi dwoma wielkimi artystami nigdy cień nawet zazdrości lub zawiści nie powstał“, że przeciwnie, „najżyczliwsze względy przyjaźni wspólnie sobie zawsze okazywali“. Że sobie *okazywali* względy przyjaźni, a szczególnie, że Liszt bardzo się lubił chwalić przyjaźnią Chopina, to nie jest nieprawdą; że jednak Chopin niebardzo był zakochany w Liszcie, na to, między wieloma innymi, znajduje się wymowny dowód w jednym z jego listów do Fontany... Co się tycze tego ostatniego, to przez cały rok, gdy Chopin przebywał w Paryżu, widywali się ciągle, zdaje się nawet, że Fontana mieszkał razem z Chopinem, tak, jak z nim ciągle mieszkał Matuszyński. Co pewna, to to, że gdy z nadejściem lata Chopin przeniósł się do Nohant, wówczas Fontana wprowadził się do jego mieszkania przy *Rue Tronchet*. Tutaj też, od lipca do października, odbierał wszystkie listy swego genialnego przyjaciela, ten zaś, choć wogóle na list zdobywał się bardzo trudno, miał w ciągu tego lata wyjątkowo „łatwe pióro“; nietylko bowiem, że komponował więcej, niż kiedykolwiek, ale i do korespondowania ze swymi paryskimi przyjaciółmi, a zwłaszcza z Fontaną, był skorszym o wiele, niżeli poprzednich wakacji. Najlepszy dowód, że z tych trzech miesięcy zachowało się samych listów do Fontany aż dwadzieścia...

Pierwszy z nich, pisany na papierze pani Sand, a wysłany niezawodnie w kilka dni po przybyciu artysty do Nohant, jest z końca lipca:

Moje kochanie. Bądź, proszę Cię, u Pleyela z tym listem, mów z *nim samym*. Piszę mu o fortepian lepszy, bo mój

niedobry. Przeczytaj list jego i zapieczętuj. Dowiesz się z niego, że Ciebie proszę o odpowiedź. Odpisz mi zaraz, *kiedy* może go w gotowości trzymać do wystania, żebym mógł *z posłańcem z Chateauroux* rzeczy urządzić. Wątpię, żeby mi odmówił, albo na później odłożył. Gdyby jednakże tak było, nie daj mu kułaka, tylko mi napisz. Jeszcze raz Cię przepraszam za kommissa, ale to *nie ostatnie*, nie bój się.

Twój

Ch.

Pisz.

Środa ¹⁾).

Bezwzględnie po otrzymaniu odpowiedzi na ten list, pisał Chopin znowu w te słowa do swego wiernego druha:

Moje kochanie. Posyłam Ci list do Pleyela dla *Buchholtza*, o którym mi ojciec istotnie w swoim liście pisał. Także piszę Pleyelowi, że prosiłem Ciebie, abyś był u niego *o loyer*. Jeżeli u Ciebie Grudzień, tutaj nie pięknie; dziś w nocy wiatr drzewa ogromne z korzeniami powyrywał, ale Ś-ty Medar, to jest owe 40 dni jutro się kończą, więc nadzieja na pogodę. Między nami o czasie mowa!!! Moje kochanie, stary bracie, zagram Ci kiedyś jeszcze może po ciemku na przeprosiny, jeżeli będziesz jeszcze dysponowany słuchać podobnej mojej justyfikacji. Ściskam Cię najserdeczniej, mój poczciwy Julianie. Pisz.

Ch.

Jasio niech mi poczciwiec słowo napisze.

Niedziela w nocy ²⁾).

¹⁾ Adres: „Monsieur Jules Fontana, 5, Rue Tronchet, Paris“ (Stemple pocztowe: „La Châtre, 23, Juill. 41; Paris, 25 Juill. 41“.

²⁾ Stempel pocztowy z lipca 1841 roku.

Bardzo charakterystyczny jest następny list, pisany w początkach sierpnia, a pełen różnych kommissów, między innymi i takich, które trochę dziwią w takim człowieku, jak Chopin:

Moje kochanie. Posyłam Ci sto fr. na rozmaite wydatki, z których najprzód odbierzesz sobie na szarywary ¹⁾, dodasz za komorne (owe światło), zapłacisz w domu listy odzwrotnemu, bukieciarkę, co się o sześć upomina. Kupisz mi u *Houbigaud Chardin* na faub. St. Honoré mydło *binsoin*, 2 pary rękawiczek szwedzkich (znajdziesz gdzie w szafie starą na miarę), flakon *patchouli*, flakon *bouquet de Chantilly*. W Palais royal w galeryi, po stronie teatrów, prawie we środku, jest duży sklep galanteryi (jak u nas mówią); ma dwa okna z wystawami rozmaitych szkatuł, figlów i nicości, świecących, eleganckich i drogich. Tam się spytasz, czy nie mają rączki ze słoniowej kości do drapania sobie głowy. Musiałeś widzieć podobny figiel nieraz: mała rączka, zakrzywiona zwykle, biała na czarnym kijku osadzana. Zdaje mi się, że tam taką widział, spytaj się, a powiedzą Ci. Otóż wyszukaj ten figiel i przyślij, jeżeli *n. b.* nie drożej, jak 10, 15, 20 albo i 30. Niech Ci Pleyel da exempl. moich *preludjów*, a od Schl.(esingera) weź moje wszystkie etudy. Jeżeli *mój biuścik Dantana* ²⁾ jest u *Sussa*, kup 2 i każ dobrze na drogę zapakować; jeżeli nie, idź, proszę Cię, do Dantana, co mieszka na St. Lazaree, tam, gdzie Alkan (którego uściskaj, jak zobaczysz), i spytaj się, czy można je mieć i gdzie dostanie (za jedną drogą przypomnij mu mój brązowy, co miał kazać ulać). Znajdziesz w szafie u góry butelkę blaszaną płaską, obszytą we flanelę, co się na brzuch przykładą z ciepłą wodą, także poduszkę ową nową nadymaną, co to na drogę kupilem. Dodasz do tego jeszcze *Kastnera* i przyślesz, zapako-

¹⁾ *Le Charivari*, pismo humorystyczne paryskie, stale prenumerowane przez Chopina.

²⁾ Rzeźbiarz Dantan, zaprzyjaźniony z Chopinem.

wany (a raczej masz emballera naprzeciwko): każ zapakować w pakę stosownej wielkości, dobrze opakować, i przyslij par Lafitte et Cayard, adresowane do mnie tak, jak listy. Uwiń się, bardzo Cię proszę. Resztę pieniędzy zachowaj na inne przesyłki. Schlesingera nie płac i nie opóźniaj dla niego, gdyby Kastnera nie miał, ale Cherubiniego *traité* zdaje mi się du *contrepoint* (nie wiem dobrze tytułu) przyslij koniecznie. Jeżeli Ci Cherubiniego nie będzie chciał dać bez pieniędzy, to zapłać, bo może to sam Cherubini wydał, a on tylko komisyjner. Do Troupenasa za parę dni przez Ciebie napiszę. Ściskam Cię, bo poczta odchodzi. Wybacz mi, mój stary, ale w niedzielę list odbierzesz. Wyślij w poniedziałek.

Ch.

Poza Chopinem-elegantem, który jak angielski *petit-maître* ogromnie zwracał uwagę na swoją toaletę, i poza Chopinem-chorym, któremu zawsze coś dokuczało, odezwał się w następnym liście Chopin-artysta, którego cisza wiejska dobrze usposabiała do pracy. Jakoż tak było w istocie. Od chwili, gdy zjechał do Nohant, odrazu wziął się do komponowania. Pierwszym utworem, który wykończył, była *Tarantella*:

Niedziela ¹⁾.

Posyłam Ci tarantellę. Bądź łaskaw, przepisz, ale wprzód pójdz do Schlesingera, albo do Troupenasa, i zobacz *Receuil Rossiniego śpiewów* lepiej przez niego wydany, gdzie jest *tarantella* (en la), nie wiem, czy na $\frac{6}{8}$, czy na $\frac{12}{8}$ pisana. Piszą i tak, i tak, ale wolał-bym, żeby tak była, jak Rossiniego. Więc jeżeli na $\frac{12}{8}$, albo, co może być, na *C* z trójka-

¹⁾ Karasowski w nagłówku tego listu (z którego ogłosił zaledwie połowę) pisze: „Nohant, niedziela, 1838“. Już Niechś zaprotestował przeciwko tej dacie.

mi. Przepisując, zrób jeden takt z dwóch. Rozumiesz, kochanie. Będzie więc:

(nuty)

Także proszę Cię, zamiast znaków powtarzania, wypisz wszystko. Pośpiesz się i oddaj Leonowi z moim listem do Schuberta. Wierz, że przed 8-ym przyszłego wyjeżdża on z Hamburga, a 500 fr. nie chciał-bym stracić. Co się *Trupenasa* tycze, to masz czas, i jeżeli takt niewłaściwy mojego manuskryptu, to go nie dawaj, tylko jeszcze przepisz, a prócz tego jeszcze 3 raz przepisz dla Wessela. Znudzi Cię to paskustwo przepisywanie, ale mam nadzieję, że nic gorszego tak prędko nie napiszę. Także, proszę Cię, zobacz numer *ostatniego dzieła*, to jest numer mazurków ostatnich, czyli też *walca*, co wyszedł u Pacciniego, i następny numer daj tarantelli. Spokojny jestem, bo wiem, żeś mi chętny i sprawny. Myślę, że żadnego, podobnie obarczonego poleceniami, odemnie listu nie odbierzesz. Gdyby nie to, że jedną nogą tylko w domu być mogłem przed wyjazdem, nie miał-byś tej nieprzyjemności. Jeszcze nie koniec. Charles zapomniał blaszanej, we flanelę obszytej, butelki do gorącej wody *na brzuch*. Wygląda tak:

(rysunek)

Jeżeli ją w szafce znajdziesz, przyślij, proszę Cię. Także kup mi *Witwickiego* ¹⁾, bo go nie mam. Idź także do Palais Royal, kup mi pod № 37 (zdaje mi się) w galerii po stronie teatru bluzę *en toile ecru* za 14 fr. blouse de chasse fermé par dezant forme de chemise. Jeżeli nie 37, to 47, albo 27, krawiec taki tuzinowy. Forma sklepu taka:

(rysunek z objaśnieniami: galerya, wchód,
korytarz i t. d.

¹⁾ *Wieczory pielgrzymia.*

Jeden jest, co ma bluzy takie. Kupiłem u niego temu tydzień: guziczki z perłowej macicy, porządnie szyta, dwie kieszonki na piersiach i t. d. ¹⁾. Nie trzeba, kochanie. Zreflektowałem się. Jeżeli mi potrzeba będzie, to ci napiszę. Więc zatrudnij się tarantellą, oddaj ją Leonowi. Powiedz Leonowi, żeby pieniądze, które odbierze, u siebie zatrzymał do mego przyjazdu. Jeszcze raz Cię przepraszam za moje natręctwo. Odebrałem dziś jeden list od moich, któryś mi przysłał. Powiedz portierowi, żeby Tobie wszystkie moje listy oddawał. Nie zapomnij o mnie,

Twój

Ch.

Tymczasem nie mógł się doczekać fortepianu, o który już przed paroma tygodniami pisał do Pleyela. Ażby możliwie nadejście jego przyspieszyć, bo nie go tak nie drażniło, jak zły instrument, wysłał do Fontany długi list w tej sprawie z takim zakończeniem:

..Uwiń się i napisz mi słowo pocziwe. Teraz do naszych interesów. Jeżeli Ci Pleyel nie dogadza, a myślisz, że Erard lepiej będzie, to zmień, ale nie rób lekko tego: przekonaj się, czy istotnie Erard będzie usłużny. Nie wiem, dlaczego-byś miał się trzymać Pleyela, jeżeli tamten usłużniejszy, nawet selon toutes les probabilités powinni być tam grzeczni dla Ciebie. Co się Tarantelli tycze, zapieczętuj i poślij ten list do Hamburga.

Bojąc się, żeby nie spóźnić tego listu, jutro Ci jeszcze napiszę o innych rzeczach, wedle Troupenasa i t. d., a teraz ściskam Cię

Ch.

¹⁾ Cały ten ustęp, począwszy od wyrazów: „Jeszcze nie koniec..“ przekreślony przez Chopina.

Antosiewi podziękuj za dobre chęci. Ale nie będę go obciążał żadnymi komissami. Życz mu dobrej drogi. Jasia uściskaj i powiedz, żeby pisał.

Pleyelowi powiedz, że mu z podziękowaniem napiszę ¹⁾.

Po upływie kilku dni nadszedł oczekiwany fortepian do Chateauroux, a kiedy nareszcie, po dopełnieniu całego szeregu formalności, znalazł się pod dachem zameczku pani Sand, uradowany samym widokiem jego Chopin, jeszcze przed ostatecznym rozpakowaniem instrumentu, w te słowa, w nocy z dnia 10 go na 11-ty sierpnia, pisał do Fontany:

Moje kochanie. Dziękuję Ci za wszystkie twoje dobre komissa. Dziś, t. j. 9-go, odebrałem fortepian, a tamte rzeczy 2-go dnia. Biuściku mego do domu nie posyłaj, tylko w szafie zostaw, bo-by się przelękli. Jasia uściskaj za list. Napiszę mu kilka słów wkrótce. Jutro zapewne odeślę mego starego służącego, który głowę tutaj traci. Jest to poczciwy człowiek i umie służyć, ale maruda i niecierpliwi tutaj ludzi. Odeślę go zapewne, powiedziawszy mu, żeby na mnie w Paryżu czekał. Więc jeżeli Ci się pokaże w domu, nie zląknij się: jest to jedyny sposób pozbycia go się, powiedzieć mu, żeby na mnie w domu czekał, a za tydzień, albo dwa napisać mu, że albo później wrócę, jakem myślał, albo co innego, i dać mu krzyżyk na drogę. Zresztą tutaj jaka taka pogoda. 3 dni czekał w Chateauroux człowiek na fortepian, którego wczoraj odwołać kazałem, odebrawszy Twój list; a fortepian jaki głos ma, jeszcze nie wiem, bo nieodpakowany: dopiero jutro ma być ten wielki wypadek. Co się z poszukiwaniem na rulażu tycze, daj pokój, bo nie warto się kłócić. Zrobileś, jak mogłeś najlepiej; parę kropel złej krwi i kilka dni straconych na oczekiwaniu nie warte

¹⁾ Karasowski pisze w nagłówku tego listu: „Palma, 17 listopada 1838“.

tylko nos porządnie sobie utrzyć po skończonej sprawie. Więc zapomnij i moje komissa i twoją sprawę. Drugi raz, da Pan Bóg doczekać, lepiej będzie. Późno w nocy Ci piszę te kilka słów. Jeszcze Ci raz dziękuję za twoje sprawunki, którym nie koniec, bo teraz affera Troupenasa Ci będzie wisieć na karku. O tem Ci obszerniej kiedyś napiszę, a dziś dobrej nocy Ci życzę, i niech Ci się nie śni, jak Jasiowi, zem umarł, tylko niech Ci się śni, że się rodzę, albo coś podobnego... W istocie teraz tak łagodny czynię się, jak dziecko w pieluchach, i żeby mię kto na paskach chciał wodzić, bardzo-bym się cieszył, n. b. z bardzo dobrze owatowaną czapką na łepocie (?), bo-bym się — czuję — co moment potykał i przewracał. Na nieszczęście, zamiast pasków, zapewne mię czekają szcudła, czy kule, jeżeli się ku starości dzisiejszym krokiem dostanę. Niegdyś śniło mi się, zem umarł w szpitalu, i tak mi to w głowie utkwilo, że zdaje mi się, że wczoraj. Jeżeli mnie przeżyjesz, dowiesz się, czy w sny wierzyć trzeba; temu kilka lat, co innego mi się śniło, ale się nie wysniło. I teraz śnię na jawie, szalki opalki, jak to powiadają; Dlatego Ci takie głupstwo piszę. Nie prawda? Przyslij mi rychło list z domu i kochaj starego

Ch. ¹⁾.

Nuit porte conseil. Że Chopin już następnego dnia miał sposobność przekonać się o trafności tego francuskiego przysłowia, dowodzi następnym list, pisany nazajutrz, a świadczący, że artysta, wahając się w wyborze możliwie delikatnego sposobu odprawienia lokaja, który mu działał na nerwy, ostatecznie uciekł się do mniej delikatnego, ale radykalnego.

¹⁾ Na odwrotnej stronie: „Monsieur Monsieur Jules Fontana, 5, Rue Tronchet, Paris“. Stemple pocztowe: „La Châtre, 11 Aout 1841: Paris, 12 Aout 1841“.

Moje kochanie. Mój sługus dziś *zupełnie* odprawiony. Odjeżdża i zapewne będzie w domu, to jest u ciebie, razem z listem tym. Jeżeli ma rzeczy jakie w domu, to mu oddaj, czyli, niech je sobie weźmie. *Zapłacony zupełnie*, żadnych pretensyi mieć nie może. Proszę Cię, nie chciał-bym tylko, żeby przypadkiem w domu mieszkał. On dobrze z portyerm, więc może-by mu pozwolił. Proszę Cię, nic z nim już nie mam, ty go nie bierz za żadne pieniądze, bo Ci więcej wyekspensuje, jak co warto. Wczoraj pisałem w nocy jeden, dziś drugi Ci piszę list, że go *zupełnie a zupełnie* odprawił(em). Żebyś go nie trzymał w domu przypadkiem.

Twój

Ch.

Tymczasem rozpakowano fortepian, na który Chopin czekał z takim upragnieniem, i okazało się, że Pleyel wcale się nie postarał o dostarczenie możliwie dobrego instrumentu: przeciwnie, dał pierwszy lepszy, co oczywiście Chopinowi nie mogło nie nasunąć pewnych złośliwych refleksyi na temat francuskiej przyjaźni: gdzie tylko w grę wchodził interes, tam nawet w takim przyjacielu artysty, jak Pleyel, brał górę—kupiec! I dziwić się potem, że Chopin nigdy nie był bardzo wylanym w stosunku do swych niepolskich przyjaciół, że im — według trafnego wyrażenia Liszta — oddawał wszystko, prócz siebie. Jacy przyjaciele, takim też i on był ich przyjacielem. Tyle tylko, że i w takich razach zawsze bywał delikatniejszym od nich. Podobnie miała się rzecz i w tym wypadku z Pleyelem: choć niezadowolony z fortepianu, jednak uważał za stosowne nie okazać tego swemu przyjacielowi z Rue Rochechouard, a pisząc do Fontany, nie omieszkał mu dać wyraźnej instrukcyi pod tym względem. List ten, wysłany z Chatre dnia 16 sierpnia, brzmiał w jednym miejscu, jak następuje:

...Także Pleyelowi się pokłoń, którego zobaczysz, skoro ci bilet pomieszkanny Portales przyśle (jak wiesz ty i Pleyel). Powiedz mu (Pleyelowi), żeby mi wybaczył, iż do

niego nie piszę (nie mów mu, że mi bardzo kiepski fortepian przysłał)...

Fontana, po otrzymaniu tego i jeszcze paru innych listów od Chopina, załatwił wszystko, o co go tenże prosił, a załatwiwszy, zdał mu pisemną relację w formie listu. W liście tym, obok innych nowin z domu, donosił swemu przyjacielowi w Nohant, że jeden gipsowy biuścik jego, według rzeźby Dantana, podarował na pamiątkę udającemu się właśnie do Poznania, do rodziny, Antoniemu Wodzińskiemu. Przekonany, że Chopin nie będzie miał nic przeciwko temu, nie przypuszczał nawet, że go mimowoli postawi w dwuznacznem położeniu, gdyż Antoni Wodziński był bratem Maryi Wodzińskiej... Były to już dawne dzieje, ale za świeże jeszcze, by ich nie brać w rachubę! Fontana wiedział przecież, że gdyby to od Chopina zależało, to Marya Wodzińska byłaby dziś jego żoną, że jeśli ten maryaż nie przyszedł do skutku, to nie dlatego, by Chopin zerwał z Wodzińskimi, lecz że Wodzińscy zerwali z Chopinem, choć już był po słowie z czarnobrewą panną Marynią... Kto wie, jaki-by obrót wzięło jego życie, gdyby się byli pobrali, gdyby nie natrafili na nieprzejednaną opozycję ze strony ojca Maryi! Cóżkolwiekby, Fontana, jako wtajemniczony w te sercowe sprawy Fryderyka, postąpił nietaktownie, jeśli z jego biuściku zrobił prezent Antoniemu Wodzińskiemu. Rodzina Maryi, nie wyłączając jej samej nawet, mogła to sobie najopaczniej wytłómaczyć, posądzić go o chęć ponownego nawiązania zerwanych stosunków, a jemu ani się śniło coś podobnego... To też, gdy przeczytał list Juliana, miał przez chwilę szczerzy żal do niego, wiedział bowiem, jak ludziom niewiele potrzeba, by uknuć plotkę. W tem uczuciu skreślił następujący list do Fontany, list, który, choć spokojny na pozór, jednak pozwala się domyślać, że Chopin, pisząc go, był mocno podrażniony tą kwestyą biuściku...

Wtorek.

Moje kochanie. Odebrałem dziś Twój list, w którym mi donosisz o Troupenasie. Dziękuję Ci. 300 się należało. Także dziękuję Ci za Albrechta. Zapewne jużes dostał list mój do Bonnota. Zapewne jużes się dowiedział, czy się *frankują* listy do Wiednia? Albo jeżeli Dessauer przyjechał, poradź się, jak oddać na pocztę mój list do Mechettego. Jest to interes pieniężny; więc nie chciał-bym, żeby list gdzie

w Austrii zaginął; bo wiesz, jak lubię pisać. Proponuję mu nowy manuskrypt (rodzaj poloneza, ale to więcej fantazya). To raz. Teraz drugie. Bądź u Rotha z listem, który przeczytaj i zapieczętuj. Mieszka on na ulicy *Neuve de Muthu-rins* (obok Ciebie), w jednym z nowych domów *przy ulicy Montblanc*. Wiesz, *na lewo*, od siebie idąc, i w dom, co to *brama suta*, w którą się *ukosno* wjeżdża, numer 6-ty, czy 10. Otóż pierwsza sień po bramie w *antresolu* mieszka doktor Roht. Jeżeli Ci powie, że może mi Tokaya się wystarać spytaj się, *po czemu*, i zaraz mi napisz. Poślę Ci pieniądze z instrukcją wysłania owego Tokaya do Marsylii. Sprawny jesteś i poczciwy; dlatego Cię komissami obarczam. Wszystko dotychczas ślicznieś mi sprawił. Dziś tylko jedną rzecz przeczytałem w liście Twoim, co mi *szczerze* nieprzyjemną była (aleś się tego domysleć nie mógł!!), to jest, że Antkowi mój biuścik dałeś. Nie dlatego, że on go ma; nie dlatego, żeby mi był potrzebny, albo żebym o niego stał (nawet nie trzeba Dantanowi innego obstałowywać); ale dlatego, że jeżeli go Antos do Pozn. wziął, to tam będą kakety nowe, a ja już ich za wiele mam. Jeżeli Antosia żadnymi komissami nie obciążył, to nie dla czego innego; bo czyż można mi lepszej okazji? Ale widzisz, Antos *nie zrozumiał!!!* A jeżeli jeszcze Pannie swojej powiedzą! Może ty zrozumiesz! A Rodzicom jak się *dziwnie* zdawać będzie, że nie oni pierwsi mają ową krydę. Nie będą wierzyć, że nie ja mu dałem. Jestem ja w domu Antka inaczej zapisany, jak fortepianista. Będzie to inaczej niektórym osobom się zdawać. Ty ich nie znasz! Tu mi wszystko przyjdzie retro w innym kolorze. Są to rzeczy bardzo delikatne, których ruszać nie trzeba. Stało się. Proszę Cię, kochanie, nie mów nikomu tego, *com tu napisał*; niech to między nami zostanie. Jeżeli nie zmażał, to dla tego, że mnie pojdziesz. Sobie żadnych wyrzutów nie rób. Kochaj mnie i pisz. Jeżeli Antek nie pojechał jeszcze, proszę Cię, zostaw rzeczy jak są, bo będzie gorzej; on powie pannie de Roz(ière) to wszystko, bo on poczciwy, ale słaby! a ona niedyskretna i chętnie pokazująca swoją *inte-*

mité z nim, i chętnie wpierająca się w interesa nie swoje, rozmaże i z niczego zrobi *wolu*, jak to nie pierwszy raz. Jest to (między nami) świnia nieznośna, która mi się *dziwnym* sposobem do mojej zagrody wkopała i ryje, i szuka trufi i pomiędzy różami. Jest to osoba ani do ruszenia, bo co tknie, tak niedyskretność niesłychana. Słowem, stara panna. My, stare *kawalery*, daleko lepsze. Spytaj się *Charla* poczciwego, od kiedy u mnie przystał, i że mu chętnie bardzo zaświadczenie dam. Daj mu dobre słowo. Jasiowi napiszę. Uściskaj go. Kochaj mnie.

Twój

Ch.

List ten, z którego szczególnie panna du Rozière była-by niezadowoloną, gdyby go przeczytać i zrozumieć mogła, został wysłany z Chatres dnia 25 sierpnia ¹⁾. Tegoż dnia, po otrzymaniu nowych wiadomości od Fontany, wysłał do niego Chopin kartkę tej treści:

Moje kochanie. Dziękuję Ci za sprawunek u Rotha. 200 butelek za wiele dla mnie. Przepraszam Cię za Twoje kursa i posyłam certyfikat *Charlowi*, który się zowie *Louis*. Zapewne już masz odpowiedź z Hamburga. Jeżeli Wessłowi posyłasz, pisz mu za jedną drogą, czy chce Poloneza nowego, tego, co do Wiednia poślę. Pisz mi słowo, także, co Jasio robi. Napisz mu. Niech i on pisze. Uściskaj Albrechta, Leona, jeżeli zobaczysz, Alkana także.

Twój

Ch.

Środa.

¹⁾ Na podstawie stempla pocztowego.

Niezmiernie ciekawym i charakterystycznym był następujący list, świadczący: 1) że w Nohant bawiono się bardzo dobrze, 2) że Chopin nadzwyczaj interesował się wszystkim, co tymczasem działo się w Paryżu, wśród emigracji, 3) że bynajmniej nie zatykał sobie uszu, gdy chodziło o ploteczki emigracyjne, i 4) że wcale nie należał do bezwzględnych wielbicieli Fr. Liszta, jako człowieka.

Moje kochanie. Odebrałem wszystkie Twoje listy i pakiet Dessauera. Hasslinger kiep. Chce drukować, a raczej wydrukował, i chce dziś publikować rzeczy, które mu darmo dałem w Wiedniu temu 12 lat. Jak Ci się to podoba. Nic mu nie odpiszę, albo *solony list*, który, jeżeli mu pošlę, nie zapieczętuję, żebyś przeczytał. Co się *illuzji* Dessauera o Mechettem, drugim editorze Wiedeńskim, tycze, to miałem ja list od panny Miller, która mi pisze, że *Mendelsonowi* nie dać nie chciał za rzecz do tegoż samego Albumu, do którego mu owego Poloneza proponowałem. Liszta artykuł z koncertem na *katedrę kolonjską* bardzo mnie zabawił, i 1,500 ludzi porachowanych, i prezydent, i wice-prezydent, i sekretarz towarzystwa Phil (harmonicznego?), i owa kalesza (wiesz, jakie tam fiakry), i ów port, i ów statek. Będzie on jeszcze kiedyś deputowanym, może nawet królem w Abissynii, albo w Kongo; ale co się motywów z jego kompozycyi tycze, będą one spoczywać w dziennikach razem z owemi dwoma tomami poezyi niemieckiej. Medal Szlesingera z portretem Królowej, przysięgnę, że gwinea. Co się Antka ¹⁾ tycze, jestem przekonany, że jego choroba exagerowana. Ale coś mi pisał, to już zapóźno było, bo jego kwoczka natychmiast tutaj czuły, desperacki list z powierzeniami do Pani domu napisała: że jedzie do niego, że brawuje konwenanse, owe srogie konwenanse! że jego familia, to niegodziwi, dzicy barbarzyńcy! że tylko Nakw. wyjmując, w której znalazła przyjaciółkę, i która jej paszport swojej guwernantki

¹⁾ Wodzińskiego.

daje, żeby śpieszyła go ratować; że tak krótko pisze (3 ćwiartki nabite), bo nie wie, czy żyje; że się tego spodziewała po okropnych pożegnaniach i nocach, które on we łzach strawił i t. d., i t. d. Kijem! kijem! starej łodyce... A co mnie najwięcej gniewa, to że wiesz, jak Antka kocham, i nie tylko że mu pomódz nie mogę, ale mam minę *podawania temu ręki*. Późnom się spostrzegł i, nie wiedząc, co się święci, i nie znając ichmościanki, prezentowałem ten *wiecheć* P. Sand na metressę do fortepianu dla córki, której się w kołnierz wszyła, i *wiktime* miłości swej udając i *świadomą mojej przeszłości* przez polonią, którą w rozmaitych pozycjach widywała, gwałem się w *intimité* wpija P. S. (i nie uwierzysz, jak zgrabnie, jak szczwana doskonale, i ile umiała korzystać z moich z Antosiem stosunków). A możesz miarkować, jak mi przyjemnie, tembardziej, iż (tak, jak i ty uważać mogłeś) Antek jej inaczej nie kocha, jak tylko jak kogoś, co się do niego przyczynił, i nic go nie kosztuje. Antos z całą swoją dobrocią apatyczny i da się osiodłać, szczególnie tak zgrabnej intrygantce, która ma na niego, możesz sobie wystawić, jaki apetyt. Ona się nim wszędzie ogania, a par *ricochet* mną (co mniejsza), a co gorsza Panią Sand. Jej się zdaje, że ponieważ ja z Antkiem od dzieciństwa intymie, więc i... (szereg wyrazów przekreślonych i kropki). Dosyć już, nieprawda?! Teraz do smaczniejszych rzeczy. Przegrałem w zakład pasztet *Strasburski*... 50 franków Ci posiłam. Idź, proszę Cię do Chereta w Palais Royal, i kup jeden za 30 fr. Powinien być duży. Przychodzą mu one w pndłach drewnianych okrągłych ze Strasburga. Zaadresuj do mnie i dileranssem przyslij co prędzej. Jeżeli-by zaś za 30 (fr.) był mały, daj 35, albo 40. Ale suty niech będzie. Złości mię biorą, że na pasztet tyle pieniędzy trzeba, szczególnie, kiedy ich na co innego potrzeba. Oddaj mój list do editora Niemca. Uściskaj Jasia. Opisz mi mieszkanie na 1-szem piętrze z *numerem* i detaliami: czy schody jakie? czy trzeba koło stajni wchodzić? czy zmęczyć się trzeba wchodząc? czy *lieu* na drodze? czy wysokie? czy dymi się? czy ciemno? i t. d. Radb-ymgdzie

na Montblanc, albo na Mathurins, albo na bulwarze koło Chaussé d'Antin. Z tych 50 fr. zachowaj na przedłużenie Szarywary, który, ile mi się zdaje, w tych dniach się kończy. Pisz do mnie prędko. Czy jeszcze wracamy do kraju?! Czy już zupełnie powaryowali?! O Mick(iewiczza) ani Sob(ańskiego) się nie boję, bo tęgie głowy i mogą jeszcze kilka emigracyi przetrwać, nie potracić rozumu ani energii. Niech Ci P. Bóg odplaci za twoją dobrą przyjaźń. Pisz i kochaj starego, jak on Ciebie, stary Angliku.

Ch.

Niedziela.

Jaś niech mi co napisze.

Nie posyłam Ci dziś listu do Lipska ¹⁾.

List ten pisany był 13 września. Nazajutrz, w nocy z poniedziałku na wtorek, kreślił Chopin na papierze listowym pani Sand następujących kilka słów do Fontany;

3-cia w nocy — gwiazdy.

Moje kochanie. Poślij ten list do Niemiec. Wrzuć prosto na bursę. Odebrałem dziś rano twój list i panny Müller. Pisze mi o manuskryptach dla Mechettego. Opisz mi także, proszę Cię, mieszkanie Place Vendôme. Schody³ czy mansarda? Wyrusuj. Albrechta uściskaj, żal mi go bardzo poczciwca. Także mi opisz, do kogo *dom* obok należy? czy nie do Tamburinięgo? Pasztet przyslij duży. Na końcu tego miesiąca ja Ci moje pasztety z zadymionej kuchni mojej przysię. Trzeba-by kuchnię wybielić, ale wapno w okolicy zaginęło. Dla innego kuchty biała kuchnia, dla mnie zakopcona. Kochaj

¹⁾ Do wydawców Breitkopfa i Härtla.

mnie, jeżeli Ci to subiekty nie robi. Ja Cię ściskam, mój stary.

Ch.

Jasiowi tam wiele powiedz odemnie. Myślę tak, jak ty a propos mieszkania, że owo obok siebie wezmę. Pisz, chociaż nie będziesz zdecydowany.

Poniedziałek ¹⁾,

Następny list pisany był w przystępie złego humoru, który nerwowego i nadczonego Chopina nawiedzał częściej, niż się to może здаwać niejednemu wielbicielowi mistrza. Najmniejsza rzecz, nie będąca w zupełności po jego myśli, wprawiała go w gniew, rozdrażniała, denerwowała. „Z ludźmi był tak uprzejmy i miły,—opowiadała o nim St. Tarnowskiemu księżna Marcellina Czartoryska—tak dobrze wychowany, że nawet rozdrażnione nerwy, nawet cierpienia fizyczne, nawet gwałtowne antypaty, które, jak wszyscy ludzie nerwowi, miewał często i od pierwszego razu, nie brały góry nad wykwinną uprzejmością w obejściu. Jeżeli kto zdołał ją czasem pokonać, to chyba ludzie głupi, którzy go niecierpliwiłi nad miarę, a zwłaszcza uczniowie tępego i ciasnego pojęcia; wtedy zdarzało się czasem, że *latały po powietrzu kartki z muzycznych kajetów, a nawet nieprzyjemne słowa, wtedy ta ręka wiała, delikatna, kobieca, łamała ołówki, a nawet krzesła, jak trzcinki*; ale gdy ujrzał łzy w oczach takiej nieszczęśliwej uczennicy, gniew jego uśmiechał się natychmiast, a dobroć szukała sposobu, jakby wynagrodzić przykrość, którą wyrządził“. Co go też często doprowadzało do passyi, to głupota, a zwłaszcza chciwość jego wydawców. Małą próbką tego jest następujący list do Fontany:

Sobota.

Proszę Cię, przeczytaj i temu durniowi pošlij natychmiast list. Pasztetu mi żadnego nie przysyłaj, kiedy Strasburskich niema. A co mieszkania się tycze, ponieważ na

¹⁾ Stempel pocztowy; „La Chatre, 15 sept. 1841“, Adres: „Monsieur Jules Fontana, Rue Tronchet, 5, Paris“.

Mathurinus zupełnie *au Nord*, nie jestem dziś zdecydowany, i chce mi się opisu tego *I-szego piętra na Tronchet*. Nie piszesz mi, *który numer Tronchet?* Napisz-że mi i przygotuj się na przepisanie owego Poloneza dla Mechettego. Szelma Wessel, już mu, temu *Agrements au salon* nic nie pošlę nigdy. Może nie wiesz, że moje Impromptu drugie, czy któregoś walca tak przewał. Uściskaj Jasia. Dziś w nocy obszernie Ci opiszę. Nie trać czasu z Wesslem. Zaadresuj i napisz na wierzchu, że w przypadku Pana Wessla nieobecności, żeby Pan Stapelton, czy Stapleton otworzył, jeżeli sądzisz, że to potrzebne. Jasia i Ciebie ściskam. Widzę, że nie stworzony do pieniędzy.

Ch.

Mick(iewicz) źle skończy, jeżeli z was nie kpi.

Ta wzmianka w *post scriptum* o Mickiewiczu została spowodowana wiadomościami z Paryża, których Chopinowi dostarczał obficie w listach swoich Fontana, a które w tym razie miały za przedmiot ukazanie się na widowni emigracyjnego życia Andrzeja Towiańskiego. Była to chwila bowiem, że o niczem i o nikim nie mówiono tyle wśród naszego wychodźstwa, co o Towiańskim i Mickiewiczu, o cudownem uzdrowieniu przez „mistrza“ żony autora *Dziadów*, o pierwszych „uczniach“ Towiańskiego, Sobańskim i Góreckim, o uroczystem nabożeństwie w katedrze *Notre Dame* w dniu 27 września, będącem według Mickiewicza i Towiańskiego „zapowiedzią sprawy Bożej na ziemi“ i t. d., i t. d. Chopin, dowiedziawszy się o tych wystąpieniach Towiańskiego, wcale niemi zbudowany nie był, a choć wierzył w rozum i geniusz Mickiewicza, to jednak w danym razie obalać się nie dał. Zarówno teraz, jak i później, ile razy rozmowa zeszła na temat Towiańszczyzny i Towiańczyków, zawsze sobie żartował z tych „mystycznych kierunków“¹⁾, a kiedy komu chciał dać do zrozumienia, że dostrzega w nim pewien zanik intelligencji, wtedy posądzał go o sprzy-

¹⁾ Zob. Cypryana Norwida: *Czarne kwiaty*, w dodatku do *Czasu*, z roku 1856, str. 654.

janie Towianizmowi... Tymczasem, zajęty wykończaniem całego szeregu kompozycji, w tej liczbie *Poloneza F^{is} moll* Op. 44, pisał do Fontany:

Moje kochanie. Grzym(ała) Ci powie co do mieszkania. Co do *Poloneza*, obiecuję. Ściskam Cię. Dziękuję Ci za list, I niedługo się zapewne zobaczymy. Pisz do mnie choć o pogodzie. Jasia uściskaj; zapewne zdrowszy. Raz jeszcze Ci dziękuję za trzewiki, nuty i t. d., i t. d.

Pod koniec września zdarzyło się Chopinowi, że na kilka dni wydalil się z Nohant. Dokąd? Zdaje się nie ulegać prawie wątpliwości, że do Paryża, w celu osobistego porozumienia się z nakładcami w sprawach świeżo napisanych kompozycji. Co pewna, że już około 29 września był z powrotem w Nohant, że zaś bezpośrednio po przyjeździe tutaj wziął się do pisania małej kompozycji dla Schlesingera, więc domyślać się wolno, że tenże Schlesinger był powodem — a przynajmniej jednym z powodów — owej domniemanej wycieczki do Paryża. Napisaną kompozycją było *Preludium C^{is} moll* Op. 45, które w końcu listopada 1841 roku miało wyjść u Schlesingera... Tymczasem nadszedł październik, a Chopin wciąż bawił jeszcze w Nohant. Stosował się pod tym względem do swej przyjaciółki, której nie śpieszyło się z powrotem do Paryża, a powtóre, że i jemu ten przedłużony pobyt na wsi wielce był na rękę: choćby dla tego tylko, że tu, w dali od wielkomięjskiego gwaru, miał pożądaną spokoj do pracy, w której tego roku nie ustawał ani na chwilę. Obecnie wykończył już tylko napisane w ciągu lata kompozycje, ale i do tego lepiej go uspasabiała cisza zameczku pani Sand. Że tak było, dowodziły dwa listy Chopina, jeden pisany dnia 9 października 1841 roku (co Karasowskiemu bynajmniej nie przeszkadza odnosić go do roku 1838!!!), drugi zaś w tydzień później. W pierwszym z nich donosił artysta przyjacielowi swemu między innymi co następuje:

...Syn Pani Sand będzie około 16-go w Paryżu; pošlę Ci przez niego manuskrypt koncertu ¹⁾ i nokturnów ²⁾. Pisz.

1) Allegro de Concert, Op. 47.

2) Deux Nocturnes, Op. 48.

Tutaj deszcz i błoto. Jasia uściskaj. Co się Antka ¹⁾ tycze, zdaje mi się, że ci mówił, że jego choroba nie tak okropna, i że wiele tam czego innego. Niedługo zapewne go zobaczymy, a on swoich nie będzie widział. Kochaj mnie po staremu, pisz słowo.

Twój

Fryc

Sobota rano ²⁾.

Gdy Maurycy Dudevant wyjechał po kilku dniach do Paryża, dał mu Chopin dla doręczenia Fontanie dwa swoje, ukończone właśnie *Nokturny*, załączając do nich jeszcze i list tej treści:

Moje kochanie. Dziękuję Ci za list Masseta. Zapewneś już *powiedział*, a jeśli nie, to powiedz, żeś mi pisał, i że ja bardzo żałuję, ale nie mogę *żadnym sposobem*. Więc niech mi *za złe* nie weźmie, że z *innym* będę *musiał* wejść w stosunki. Co się tycze preludium do Albumu Schl(esingera), mówiłem *Pani Masset* ostatnim razem, ale nie podnoś *owego lievra* (zająca). Posyłam Ci *dwa nocturna*, a resztę we środę. Spóźniony mój wyjazd stąd, a więc w Paryżu może dopiero koło 6-go — 8-go będę. Przepisz, proszę Cię, bo zima nadchodzi. Resztę dostaniesz po jutrze.

Twój stary.

Pisz kochanie.

Jasia uściskaj.

Lokaja mi znajdź. Marchanda znam, ale to nie dla mnie (i *entre nous pije*).

Może tam jeszcze bemolów, albo krzyżyków brak.

¹⁾ Antoniego Wodzińskiego.

²⁾ Całego tego zakończenia listu nie przytacza Karasowski.

Koniec października zastał już Chopina w Paryżu. Wkrótce potem Fontana udał się do Ameryki. Ponieważ Chopin „miał trudne pióro“ i wogóle listów pisywać nie lubił, więc jest wielce prawdopodobnem, że Fontana, przez cały czas swego pobytu na drugiej półkuli, nie często miał sposobność oglądania pisma Chopina. Co innego, gdy mieszkał nad Sekwaną, gdzie był wykonawcą wszystkich dyspozycji Chopina, który, uszczęśliwiając go listami z Nohant, pisał wtedy jedynie, gdy miał do niego interes: a co innego, gdy ich dzielił Atlantyk, gdy Chopin nie mógł mieć żadnego interesu do swego dawnego Totumfackiego. Jakoż istnieje tylko jeden list Chopina do Fontany, wysłany za ocean... Było to w marcu roku 1848, po wybuchu rewolucyi w Paryżu, po wypędzeniu Ludwika-Filipa, po spaleniu „tronu króla episierów“ na placu Bastylli, po ogłoszeniu we Francyi Rzeczypospolitej z Lamartinem, jako prezesem rządu, na czele. Gdy wybuchły rewolucye w Berlinie i Wiedniu, gdy Metternich musiał uciekać z Austrii, a zrewolucjonizowana Europa obiecywała złote góry, co oczywiście wśród naszej emigracyi nie mogło nie wzbudzić różnych nadziei, i kiedy zaczęło się organizować powstanie w Poznańskiem, Fontana zdecydował się powrócić do Europy. W tym celu, ażeby zasięgnąć bliższych informacji co do przebiegu spraw na emigracyi, napisał list do Chopina, z zapytaniem, jak on się na jego powrót zapatruje... Chopin stanowczo był zdania, że w tej chwili przyjeżdżać jeszcze nie było po co, i w tym duchu odpisał Fontanie, radząc mu cierpliwe wyczekiwanie na razie, a jednocześnie polecając mu jednego ze swych przyjaciół paryskich, któremu właśnie wypadało jechać do Ameryki.

Paryż, 4 kwietnia 1848.

Moje kochanie. Przyjmij, jak mojego ojca, brata starszego, więc lepszego, kochanego Herbaut, który był moją pierwszą znajomością w Paryżu, jak z domu tu przyjechałem. Zaklinam Cię na Liceum, bądź z nim, jak on tego wart,

jak najpocziwiej. Jest on godny i świątły, i dobry, i wszystko, i Ciebie pokocha, mimo Twojej łysiny. Jesteś tetryk bestya, słowa mi pocziwego w żadnym liście swoim nie dałeś; ale to nic nie szkodzi, w duszy tam gdzieś mnie kochasz, tak, jak i ja Ciebie. A może teraz więcej jeszcze, bośmy obadwa większe sieroty polskie, i Wodzyński, i Witwicki, i Platerzy, i Sobański nam ubyli. Jesteś pocziwy, mój stary Julian, i kwita.

Ściskam Cię serdecznie mój drogi

Ch.

Całuję Cię serdecznie i mam wielką ochotę osobiście Cię malować w Ameryce.

T. Kwiatkowski.

W niecałe trzy tygodnie potem, znalazł się już Chopin w Anglii, w Londynie: uciekł z Paryża, bo mu rewolucyjna atmosfera stolicy Francji zbyt dokuczliwie działała na nerwy. W Anglii zresztą, gdzie miał tylu przyjaciół i wielbicieli, były widoki koncertów podczas sezonu, a więc możność zarobienia czegoś, na czem Chopinowi bardzo zależało w tych czasach. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem ¹⁾.

FERDYNAND HOESICK.

¹⁾ Z Anglii, z zamku szkockiego Calder House, napisał Chopin dnia 18 sierpnia 1848 roku jeszcze jeden list do Fontany, zdaje się ostatni już, jaki doń wogóle napisał. List ten ogłosił w swoim czasie w *Tygodniku Ilustrowanym* Maryan Gawalewicz.

MIRAŻE.¹⁾

POWIEŚĆ.

Dzień koncertu zastaje ją bardzo spokojną. Nie czuje zdenerwowania. W miarę, jak zegar bije, skraca coraz o godzinę termin, ogarnia ją kamiennosc. Dnia tego nie gra wcale, aby nie forsować ręki. Leży na kanapie i powtarza:

— Zasypię się... Zagram jeszcze fatalniej niż wtedy...

O pół do siódmej zajeżdża po nią Kazimierz. Jest śliczny dzisiaj, a ma w oczach tyle miłości i troskliwości o nią, że Tunia uczuwa dla niego ogrom słodyczy i wdzięczności. Czemu ona Kazia pokochać nie może?

Byłby taki spokój, taka cisza, przystań. I przypomina sobie wiersz o żaglu, który szuka burzy, jak gdyby w niej spodziewał się znaleźć spokój... Ah, i ona czuje we krwi ten burzliwy, niepohamowany zarodek! Czuje, że gdyby związała sobie życie, zostawiwszy

¹⁾ Patrz zeszyt czerwcowy.

choć jedną kartkę nieprzeczytaną, choć jedno wrażenie niedoczytaniem— „nieznane“ to piekłoby ją i prześladowało do grobu...

— Po manowcach szerokich, stepach wolnych, po rozłogach górnych a chmurnych snuje w myśli.

Jedzie karetą i do rytmu kół gumowych mającą przed nią obrazy. Widzi przepaść głęboką, bezdenną... aż myśl się cofa... Nad tą przepaścią tańczy w szalonym tempie galopki, nie dotykając prawie ziemi—przy samej krawędzi—i wie, że nie wpadnie! Co za szalona, szalona rozkosz!

Zajeżdza przed gmach, w którym ma się odbyć koncert, tak zajęta, że jak we śnie przesuwają się przed nią szczegóły zewnętrzne. Bez trwogi, drżąc tylko niekiedy, jakby z zimna, wchodzi do zapelnionej szczelnie sali.

Niedaleko estrady niebieszczy się rząd kołnierzy studenckich: wszyscy znajomi stawili się w komplecie. Nawet Warska wpakowała się do pierwszego rzędu. Prawda, że ma darmo bilet od jednego z członków... Graziani chowa się skromnie za innych z bukietem w ręku. Tunia widzi tylko przestrzeń i rozumie, że ta zwarta masa to ludzie, do których od tak dawna już pragnęła przemówić, którym tyle ma do powiedzenia!

A przecież, gdy za jej ukazaniem się wybuchają oklaski, uczuwa nagle, że coś w niej pęka, czy odtaja. Mgła przysłania oczy i zdaje jej się, że po spiralnej linii unosi się coraz wyżej, coraz wyżej i roztopia w dymie i obłokach, na szczycie jakiejś bardzo wysokiej budowli. I już po pierwszej części oklaski zmuszają ją wstać i składać ukłony.

Lecz dusza jej coraz dalej ucieka. Pragnęła-by śnić, patrzeć w gwiazdy i bez ruchu leżeć gdzieś w sienie, zroszonej trawie. Z zapelnionego po brzegi serca wylewa się rzewność... Wbrew programowi zaczyna jeden z Nokturnów Szopena. Rozlega się szmer zadziwienia z krzesel zawodowych melomanów, którzy wiedzą, „co być powinno“. Lecz młodzież i artyści kamienieją—dosłownie w słuch zamienieni. Rzewność, słodycz tak cicha, jak drganie skrzydeł motyli, rozplywa się po sali; każda pierś oddycha lżej, szerzej, i każdemu uśmiechają się przez łyzy jasne duchy dzieciństwa... I gdy pieśń roztopia się w przecudne pianissimo, nikt nie śmie jeszcze spłoszyć czaru. Dopiero po kilku minutach wybucha ryk, tupanie, wycie—szałentuzyzmu i zachwytu. Ludziska na rękach unieść by chcieli artystkę, która im dała chwilę zapomnienia.

Wobec niebywałego powodzenia, mistrze, przestrzegający „porządku w sztuce“, przybierają filozoficzne miny i milczą. Na wszystkie strony cisnie się do niej tłum, wiuszuje, przedstawia, mówi...

Tunia czuje się ogromnie znużoną. Odmawia naleganiom przyjaciół, którzy chcą „oblać“ jej pierwszy tryumf. Powraca z Kazimierzem do domu. Po drodze zbiera doznane wrażenia i aż się dziwi, że tak mało jest niemi upojona. Wtedy, na wieczorze, każdy nerw grał w niej podnieceniem. Dziś zdaje jej się, że weszła z trudem na szczyt bardzo wysokiej góry, i że, oddychając ciężko, upadła na ławkę i nie chce nic, prócz spoczynku... spoczynku...

Po koncercie następuje okres urozmaicony. Jak długo trwa, Tunia nie umiała-by powiedzieć. Żyje bez rachunku. Wchodzi w modę. Zarzucają ją uprzejmościami. Bywa u artystów, literatów, u bogatej burżuazyi. Co dzień poznaje tłumy nowych twarzy, które przewijają się przed nią, jak w kalejdoskopie, pozostawiając wspomnienie mniej lub więcej przystojnego oblicza, poprawnych frazesów, doborowego flirtu. Nie szuka w nich duszy, nie ma na to czasu.

— Szaleć... I w miarę jak szaleje, ogarnia ją pragnienie: jeszcze, jeszcze! Tańczy bez pamięci na balach, flirtuje na rautach, sprzedaje programy, uczestniczy przy wentach rabatowych. Wszędzie nazwisko jej i oryginalna uroda, a jak twierdzi Piszczel, wieść o bogatym dziadku, przyciąga dziesiątki ludzi.

Każdy bierze po częście jej duszy. Ona rozrzuca z niedbałością królowej. „Stać mnie na to“ mówi słowami Piszczela. Czuje w sobie niepożyty zapas żywotności i sił duchowych, nie lęka się wyczerpania. Wkrótce jej „bons mots“ i paradoksy zaczynają krążyć po Warszawie. Odbiera stosy listów wierszem i prozą. Dostaje bezimiennie bukiety. Gdy ukazuje się w publicznem miejscu, słyszy szmer, niby oddalony łoskot fal morskich, rytmicznie wymawiający zatarte sylaby jej nazwiska. Po ruchu ust je poznaje. Na wystawie sztuk pięknych patrzą na nią, więcej niż na nowy obraz. Na operze, gdy śpiewa Graziani, setki spojrzeń kierują się w stronę jej łoży. I to wszystko razem zaczyna krążyć po głowie, omracza świadomość narkotykiem bezgranicznego upojenia...

Królowa z bożej łaski...

Występuje po raz drugi z koncertem i znów zbiera sute żniwo oklasków i pochwał kuryerowych. A przecież czuje sama, że tym ra-

zem było to tylko szablonowe wirtuozowstwo. Jedną czwartą słuchaczów olśniła pieknością uderzenia; trzy czwarte klaskały, bo nazwisko jej wyrobiło sobie markę. Ale nie było na sali tego dziwnego nastroju, który trzymał dusze pod zaklęciem. Tunia to czuje i na parę godzin robi się jej niewyraźnie. Nie ma wszakże czasu długo się martwić. Wciągają ją na „bibę“, urządzaną za miastem..

W obszernej restauracji płoną świeczniki, blaski tańczą po lustrach, po marmurach, po zloceniach... Strzelają korki szampana, syczy woda sodowa... Na powitanie Tuni rozlega się pieśń, wznoszona przez Grazianego i dwóch innych. Otacza ją zaraz rój mężczyźni i ta atmosfera flirtu—nie, więcej niż flirtu: podniecenia, dochodzącego do szaleństwa. Rozrzucone pary toną w odurzającym czadzie chwili. Zdużone śmiechy jęczą, na podobieństwo oddalonego łkania. Świadomość gaśnie w tumanie obłędu, wydzielającym się wszystkimi porami tych organizmów, przenerwowanych i przeczulonych.

Irena, świetna, ożywiona, kokietuje śmiechem, oczami, czarnym plasterkiem na odsłonionej szyi. Czterech czy pięciu młodych ludzi usiłuje odgadnąć, co jest pod tym plasterkiem.

— Domyślajcie się panowie! Domyślność zaszczyt wam przyniesie.

— Krostka!

— Oparzenie!

— ...Ślad pocałunku?..

— ...Ukąszenie nowej plotki naszych kumoszek!

— Nie! nie! nie!—śmieje się artystka, odsuwając ręce, które chcą się naocznie przekonać—jak mówi pewien wzorowy stylistą — co jest pod zasłoną Parrazyusza.

— Panowie, kto da więcej za prawo zobaczenia!

Zaczyna się licytacja, która dochodzi do 50 rubli.

Za tę cenę zwycięzca, młody, syn bogatego ojca, jest obdarzony szczęściem stwierdzenia, że białej szyi Ireny nie kazi żadna plama.

— Coś widział? Coś widział?—szturmują inni.

— Widziałem niebo!—odpowiada tajemniczo.

— Jutro pošemy tę summę do kuryera z napisem: zebrane w kółku towarzyskiem. .

Graziani podchodzi do okrążonej Tuni z wzniesionym puhaem w kszalcie rogu.

— „Na chwałę, na chwałę miłości!“

— Wnoszę toast na cześć mego najdroższego przyjaciela, jedyne-go człowieka, pozbawionego przesądów!—woła Maryan, ciągnąc wiel-

kiego doga, który na rozkaz pana opiera się przeniemi łapami o stół i obwodzi dokoła dużemi, mądrymi ślepiami.

— Prześwietne zgromadzenie! Oto jest Herostrates, jedyna wolna istota na świecie, która robi sobie tyle z opinii i prawa, ile my z nieboszczyka Konfucjusza. Nie wie on wprawdzie, co to sztuka, ale jest porządny facet i szanuję go! Niech żyje!

— Niech żyje!—powtarza się wstrząsający okrzyk i kielich uderza o kielich.

— Podziękuj Hero!

Hero nie dziękuje, ale, ośmielony powodzeniem, wspina się na Irenę i dwukrotnie jej przejeżdża językiem po twarzy.

— Ah, gdybym ja był psem—wzdychają po kątach wielbiciele.

— Hero do kata, za drzwi marsz!—komenderuje właściciel.

— Gdyby pies miał mowę, byłby człowiekiem!—przemawia Grażiani, którego obojętność Tuni nastraja filozoficznie.

— Cicho bądź, bo się Hero obrazi—odpowiada szorstko Piszczel, wyłażąc z kąta.

Kładzie się do nóg jakiejś ładnej panienci i zapewnia ją, że choćby była jak śnieg czysta, nie ujdzie potwarzy. Przy stole długowłosego poeta Zenon kleci coś pracowicie na kawałku papieru. Wreszcie wstaje. Piszczel oznajmia grobowo:

— I stał się cud, i dojrzał płód...

— Słuchajcie!—woła poeta, wyciągając proroczo rękę:

„Idzie ku mnie upiorzyca
Z oplecioną węzem głową,
Zamiast ust ma kość słoniową,
Wpadłe szczęki, trupie lica...

Idzie, żółty blask roznieca,
Dzierży żagiew nadgrobową,
W oczach ma zaświatów słowo...
Chociaż piękna—nie zachwyca...

Chociaż straszna—nie przeraża,
Chociaż wstrętna—nie odpycha,
Płynie z szumem tuj cmentarza,

Z pustelnego szeptem mnicha,
W błędnych ogniach się rozżarza
Straszna, wielka, mroczna, cicha...

Obwodzi zwycięskim wzrokiem dokoła.

— Chodź pani, będziemy razem układać wiersze.

— Pan się myli: ja nie jestem *ta* od literatury, ja jestem *ta* od malarstwa!

Nowa kolej szampana. Piszczel wybiega na środek, podnosi wysoko butelkę i woła z rozwianym włosom:

„Więc naprzód! Cóż jest prócz sławy coś warte?

Evviva l'arte!“

— „Evviva l'arte!“—powtarza chór. Butelki lecą w górę i opadają na podłogę. Szkło rozpryskuje się z brzękiem, każdym odłamkiem wtórzac: „evviva l'arte!“ Szał zaczyna przelatywać po nerwach. Ktoś śpiewa, ktoś improwizuje... Śmiech, okrzyki, pieśni zlewają się w jeden chaotyczny ryk i wybiegają poza mury restauracji, daleko, daleko... Pijani są — nie tą lurą szampańską—lecz własnem szaleństwem...

— Reniu, Reniu—jęczy Maryan—pożerając pocałunkami rękę artystki.

A z drugiej strony Piszczel przypija się ustami do jej lewej dłoni.

Ktoś siada do fortepianu, rżnie szaloną galopkę. I pary lecą po sali, jak liście wichrem porwane. Maryan gasi światła, prócz jednej, jedynej świecy, która rzuca drżące, jakby zdziwione, światło na róg sali. W tem mętne oświetleniu jasne suknie kobiet wyglądają jak duchy, pędzące z górnych stref gdzieś w otchłanie tajemnic... Nadmiar wzburzenia nerwowego skręca taniec w jakieś konwulsyjne ruchy. Tunia przymyka oczy. Włosy jej się rozpuszczają. Ktoś ją wziął za rękę, ktoś przelotnie musnął ustami jej palce, ktoś szepnął: „Królowo z bożej łaski w koronie złocistych włosów“... Traći pamięć. Precz rozwaga, myśl, rozsądek! Czar chwili, haszysz tańca i nie pozna nim!

— Ah!.. rozlega się nagle przeraźliwy krzyk i Irena cofa się, patrząc błędnym wzrokiem za okno.—To ona! to ona! to ona!..

— Co? gdzie? kto?—sypią się pytania.

— Ona... upiorzyca...

— Aaaa!.. zrywa się jeden okropny okrzyk i wszyscy jak za podmuchem, rzucają się do zapalania świec. Gdy jasność powraca, Irene pierwsza wybucha śmiechem, a za nią głośny chór wesołości wlatuje z ulżonych piersi. Ale na każdym czole leży jeszcze widmo bladeści, cień tego czegoś, co przeszło...

— To on winien!.. powiesić go!—wrzeszczy Piszczel, ukazując Zenona.

A poeta tłumaczy się z przejęciem:

— Sonet ośmiozgłoskowy... z cyklu, p. t. „Wizye“, który zamierzam wydać in 8-o...

— Jedźmy na spacer!

Hurra!.. Wysypują się tłumnie, wskazują do sanek, pędzą na oślep przy ogłuszającym brzęku dzwonek. Mróz skrzypi, odbity od kopyt śnieg pryska kawałami. Maryan zaczyna, inni podchwytyją, i spiżowe tony Marsylianki wzbijają się aż pod granatowe, zamrożone niebo.

Lecą długim sznurem; okrążywszy Warszawę, wpadają do miasta. Nieliczni przechodnie żegnają się, stojkowi przeprowadzają ich niepewną miną.

— A teraz do pałacu naszej królowej!—komenderuje Graziani, stojąc w saniach.

— Na rękach wynieść jasnówłosa bohaterkę — woła Piszczel I pomimo oporu, Tunia w powietrzu zajężdza aż do samej bramy...

Na wszystkie zabawy towarzyszy jej Kazimierz, który dla obcych jest jej bratem ciotecznym, aby to jakoś „ładniej wyglądało.“ Niekiedy odwiedza ją długoloki Zenon, który jej odczytuje swoje poezye i każe sąd wydawać. Imponuje bajeczną różnorodnością form, w które zakuwa swoje pomysły, ale ochłonawszy z przygnębienia, w które ją wprawia ta obfitość—Tunia szepcze po cichu:

— Wyrazy... wyrazy...

W niej samej kotłuje się tyle pomysłów, że chwilami aż duszą. Muzyka jest za jednostronna... może być ilustracją, ale nigdy treścią.

Rzuca je najpierw w kształcie luźnych uwag, aforyzmów, fragmentów, nadziewa niemi listy do przyjaciółek. Potem, pod wpływem Ireny, rodzi się w niej kult słowa. Probuje pisać wiersze i, dość zadowolona z tych pierwocin, pokazuje je Zenonowi.

Poeta z ołówkiem w ręce zasiada po profesorsku przy stole i podkreśla każdą usterkę, każde mniej szczęśliwe wyrażenie. Tu rytm nie jest ściśle prawidłowy... tu określenie niejasne... tu myśl rozprasza się i przez to traci na sile. A tu—okropność—porównanie oklepane, zużyte! „Srebrny dzwon!..“ „Aksamitna murawa!..“ Tak się już nie mówi!

— Nadewszystko, widzi pani, trzeba się wystrzegać wytartych frazesów! Niech to wyrażenie będzie złe, dzikie, niesłychane, ale niech będzie „moje“! Wy mówicie: śnieg się bieli wieczorem, a ja mówię, że jest liliowy! wy nazywacie trawę zieloną, a ja siwą, i co mi kto zrobi!..

Przelekła Tunia słucha z szeroko rozwartymi oczyma.

Więc i tu potrzeba ustawicznej pracy? Każdy wiersz gładzić, ciosać, obracać tysiąc razy w myślach, nim go się napisze! Jej się zdawało, że dość mieć ogień w piersi i łatwość rymowania, aby być poetą. A tymczasem, ta najbardziej natchniona ze sztuk pięknych wymaga rzemieślniczego prawie zestawiania słów...

Tak!—mówi Zenon, pokreśliwszy w pocie czoła utwór dziewiczy. I kiedy Tunia pewna jest, że odsądzi go od czci i wiary, on dodaje:

— Masz pani talent niezawodny, ale trzeba pracować!

Talent. Zaczyna teraz wątpić o sobie. Rzecz dziwna! Im więcej osób nabiera w nią wiary, tem bardziej sama ją traci. Chwilami ogarnia ją lęk, czy wogóle nie przerachowała się z siłami...

Spogląda na pozostawiony wiersz swój z podkreśleniami Zenona.

„O dobrze temu, kto na głębiach tonie!

Fala hymnu wielki zagra mu przy zgonie,

Srebrzysta piana osypie go wkoło,

Podwodne kwiaty uwieńczą mu czoło,

I grób się nad nim ruchomy roztoczy,

Tkany z błękitów, świateł i przezroczy!

Lecz biada temu, komu na mieliźnie
 Z trwogą idąca noga się pośliźnie...
 Próżno wstać będzie chciał... bo błoto zdradnie
 Przyłgnie do niego—i znowu upadnie.
 Za każdym krokiem błoto go obmota,
 I skona, mając usta pełne błota...

Napisała to jednym ciągiem, jako odpowiedź samej sobie na pytania, które ją czasami trapią. Jeszcze wczoraj wiersz wydawał jej się dobrym, szczerym. A dziś!.

— Wszystko to już po tysiąc razy widziałam, czytałam, słyszałam. Nie potrafię wydobyć z siebie ani jednej myśli, która-by nie była reminiscencyą... Do obrzydzenia!.

Pewnego dnia Kazimierz podchodzi do niej na ulicy z wyrazem zakłopotania i troski.

— Co ci to?—pyta Tunia.

— Powiedziałbym, ale boję się, że ci będzie przykro...

— O Zosi?—pyta żywo.

— Nie, o Janku Kalińskim.

— Może się zakochał w innej? Nie lękaj się, nie odbiorę sobie życia!

Śmieje się wesoło, Kazimierz wszakże odpowiada bez uśmiechu:

— Janek jest chory... poważnie...

— Na co?

Waha się chwilę, w końcu rzecze:

— Suchoty...

— Co mówisz!

Podnosi na niego pełne przerażenia oczy. Czy być może! Prawda, nie widziała go wcale od powrotu. Pytała kilkakrotnie, zbywano ją ogólnikami: zaziębiony, mamusia go nie wypuszcza... Suchoty! suchoty! taki młody, pełen nadziei!.. Okropne... Jak ona mogła tak zupełnie zapomnieć. Czy doprawdy jest taka płocha?

— Pójdę do uiego—mówi nagle.—Muszę, muszę, to mój obowiązek!—upiera się, jakby w obawie, że ją Kazimierz odwodzić będzie.—Niech, co chcą, prawią konwenanse! To powinność!..

Kazimierz podnosi jej rękę do ust z uwielbieniem.

— Jesteś najlepszą pod słońcem istotą, Tuniu. Czy wiesz, że on z twoją fotografią nie rozstaje się ani na sekundę? Byłem u niego, gdy drzemał... wysunęła mu się z rąk, i w tej chwili się obudził, zły strasznie. Musiałem go upewnić słowem, że nic nie widział..

Co rano stara Kalińska wychodzi do kościoła... Jest to jedyna pora, kiedy opuszcza chorego. Tunia korzysta z tego i dzwoni do eleganckich drzwi na pierwszym piętrze.

Lokaj otwiera z głębokim ukłonem.

— Pani niema...

— Chcę się widzieć z panem Janem...

— Pan Jan chory, leży w łóżku.

— To nic... chcę się zobaczyć.

Lokaj spogląda na nią takim wzrokiem, że przez ciemną wualkę przebija szkarłat, który ją oblewa.

— To niepodobna! Lekarze zabronili wpuszczać obcych. I pan Jan sam nie chce nikogo przyjmować.

— Mnie przyjmie.

— A któż pani jesteś taka?—pyta lokaj, usiłując rozpoznać pod zasłoną rysy nowoprzybyłej. Ma na ustach uśmiech tego rodzaju, że dziewczynę porywa chęć ucieczki, nie zobaczywszy się z chorym.

Drżącą ręką kreśli „Tunia“ i każe zanieść Jankowi. Po chwili lokaj wraca i kłaniając się nisko prosi do środka. Tunia czuje, jak ją świdrują na wszystkie strony te małe oczki nieokreślonego koloru—typowe oczki fagasa. Radby podsłuchać, skombinować, donieść pani... do krośset... mała zamyka drzwi! co oni tam będą robić?..

Janek zarzucił na prędce mundur i podnosi się do połowy. Elegancki pokój pełen flaszek, recept, duszność zeń ziejąca, nieład panujący dokoła, smutnem jest tłem dla tej pobladłej, wychudłej twarzy.

W milczeniu przykłada do ust rękę Tunii i wpatruje się w nią wzrokiem, jakim umierający z pragnienia musi śledzić miraż oazy. Nagle puszcza i odwraca się do ściany.

— Po co pani przyszła?—mówi gniewnie.—Przyszłaś mi urągać zdrowiem... Dobrze! Wiem, że ty należysz do świata, a ja w pół trup... Wiem, żeś bezsilny, złamany, śmieszny... Osiągnęłaś tryumf... dobrze! Idźże sobie teraz.

Tunia słucha i lzy napływają jej do oczu. Nie bierze mu za złe.. tylko coś boli ją bardzo... A Janek nagle porywa się i klęka przed nią.

— Przebacz Tuniu najświętsza moja... Ja taki niegodziwy! Ale gdybyś wiedziała, ile cierpię..

Cisnie jej dłonie, prosi żeby spojrzała, jeszcze raz, jeszcze... To przejdzie, zapewnia, to chwilowe... Nie śmieje się ze mnie...

Wstydzi się, jak grzechu, tej słabości swojej. A Tuni zdaje się wobec niego, że jej zdrowie jest występkiem... Janek patrzy miłośnicie, nasycy się, pochłania. Przyciąga ją bliżej, coraz bliżej.

— Myślałem, że cię już nie zobaczę!—mówi z bezdenną tęsknotą. Tuniu! Tuniu! jakim ja byłem szaleńcem w roku zeszłym! Mogłem być szczęśliwym i dobrowolnie szczęście to odkładałem na później, aż dyabeł sobie z niego zrobił uciechę... Oh, gdyby zdrowi wiedzieli!..

Obejmuje ją, pociąga do siebie na kolana, dotyka ustami jej czoła... A Tunia, omdlewając prawie z bólu, czuje, że zabronić mu tej pieśczoły było-by okrucieństwem...

— Ty moja, Tuniu, prawda? Nie bój się kochanie—szepcze namiętnie—ja nie jestem ciężko chory. Wyzdrowieję... Wszyscy lekarze mi to obiecują. A wtedy zostaniesz moją—na zawsze... Powiedz?..

Dziewczynę ogarnia zabobonna trwoga przed tem „tak“. A nuż wyzdrowieje naprawdę? Być związaną na seryo—mieć obowiązki—i to jeszcze względem człowieka, którego się nie kocha?

— Puść mnie, puść Janku! — szepcze rozpaczliwie, usiłując się oswobodzić.

Janek przypisuje to wstydlivosti i uśmiecha się pobłaźliwie. A ona wrywa się i ucieka do okna. Ciężka, podpięta do połowy firanka z materyi, odsłania pierwszorzędną ulicę i wykwintny ruch na niej. Snują się panowie w cylindrach, damy w pluszowych rotundach biegną w tę i tę stronę, studenci... Wielu z nich ma wyraźne ślady nędzy na twarzy i ubraniu, lecz mimo to jest w każdym jakieś harde wyzwanie przeciw jutru, co do niego należy. Rok temu i Janek...

— Pójdę już—mówi, nie patrząc na niego.

— Nie zatrzymuję cię, matka może nadejść... Wiem, że byłoby ci nieprzyjemnie, i sam nie chciałbym, aby cię tu widziała.

Całuje jej rękę z uniesieniem.

— Do widzenia, Tuniu droga, droga, droga!

Ucieka z sercem pełnem łez. Biegnie przez ulice... prędeż! prędeż! I piętno upokorzenia wyciska na czole myśl, że teraz, gdy cała powinna być przejęta niedolą Janka, ją tylko gna pragnienie, aby zmyć jak najprędzej z rąk i twarzy—zaraźliwe pocałunki suchotnika...

— Ach, jakże podłą jest natura ludzka! myśli z piekącym wstydem. Mówi się o poświęceniach i bohaterstwach, a tymczasem naszą tknię duchową składają czynniki pierwotne i niskie, i one krzyczą pierwszym głosem...

— Dokąd że tak szybko? Czy wolno towarzyszyć?—pyta Graziani, zastępując jej drogę.

Nigdy jeszcze nie wydawał się jej tak bezmyślny, jak w tej chwili, po świeżym widoku takiej tragedii. Jego pewny, zwycięski uśmiech wyprowadza ją z równowagi. Wsiada do dorożki i odjeżdża bez słowa odpowiedzi.

— A to co znowu?—pyta osłupiały artysta.

— Dostałeś pan dymisyę, kochany panie Jerzy—odpowiada uprzejmy Piszczel, który zawsze zjawia się cudem, gdy najmniej jest potrzebny. Nic strasznego... wszyscyśmy to przechodzili w tych okolicach...

— Czyż i pan był w łaskach?

— Przez jedną tysięczną sekundy. Estetyczna panna przeleżała się moich oryginalnych wybryków.

— W gruncie—mówi Graziani, wracając do siebie—obchodzi mnie to niewiele. O łaski tam nie trudno, o ile się zdaje... można dostać, ile kto chce, więcej nawet niż się chce...

Odchodzi pogwizdując. Piszczel przeprowadza go zjadliwym wzrokiem.

— Będzie teraz psy na niej wieszal, ten uperfumowany tenor. Wieczna historia odpalonych konkurentów. A zresztą, co mnie to wszystko obchodzi? Moja jasnowłosa bogini znajdzie sobie rycerzy!

Po eleganckim buduarze Ireny Tunia przechadza się niecierpliwie, nasłuchując, czy gospodyni nie wraca.

Mrok rozprasza różowa ampla, która rozlewa ciepły, tajemniczy koloryt w pokoju. Różowe mebelki zdają się zapraszać do pocałunków. Fotelik za palmą jakby stworzony do zakłęb miłosnych. Przedmioty sztuki, cacka, drobiazgi, porozrzucane w umyślnym nieładzie, szepczą o jakimś szczęściu wykwintnem, subtelnem...

Wszystko tu charakteryzuje mieszkanie istoty o artystycznych porywach. Małe, lecz wyborowe akwarele, grupy z terrakoty, rzeźbione podstawy do fotografii, cyzelowane kałamarze... Chwilami aż pachnie to afszem, jak np. pieczętka do laku „l'art c'est moi“, lub papier listowy z francuską — koniecznie—dewizą: „vivre pour l'art“.

— Sztuka... artyści.

— Sztuka, powtarza Tunia. Zamyśla się. Sztuka to mroczna, surowa świątynia gotycka, której nawa wydłuża się w nieskończoność. Przy ołtarzu stoją postacie nadludzkich kształtów i odprawiają nabożeństwo—kult piękna... tego piękna, które, jak Bóg—Jehowa—Wszędyobecny, nie ma twarzy, ale „jest“. Tu, przy sztalugach, dzień cały stoi malarz i potężnym rzutem pędzla wydobywa z płótna życie... Ponad bryłą mokrej gliny w pocie i mękach schyla się rzeźbiarz, przelewając w nią duszę własną i z błota czyniąc — arcydzieło.

Grzmiące organy posyłają pod sklepienie natchnioną myśl muzyka. A tam, najbliższej bóstwa, klęczy w zachwycie poeta. W ciele jego nie masz krwi kropli; ascetyczne kształty nikną z dniem każdym... całą moc życiową wypromienia z siebie w pieśni...

— To są artyści! — szepcze Tunia. Gnębi ją olbrzymi zarys widziadła. To są artyści... Ani wytworny Graziani, ani Zenon wystukujący sonety, ani Piszczel, ani Irena, ani ona...

I raptem zachwytuje ją próżnia—próżnia takiego stanu duszy, jakiego doznaje ktoś, co długo i z wysiłkiem gonił pstrego motyla, a gdy nareszcie myśli, że go schwytał, widzi, że trzyma—powietrze...

Wpada Irena i zatrzymuje się na jej widok. Coś jakby cień niezadowolenia przebiega po jej pięknej twarzy.

— Czekam na ciebie od godziny—mówi Tunia.

— Ah, tak, przepraszam cię... ale widzisz... ja, to jest...

— Co ta nie może się dziś wyjęzyczyć? Może nie w porę przysłałam?

— Jeśli mam być szczerą, to tak! Ma za chwilę nadejść jeden pan, który... którego...

— Któremu—uzupełnia Tunia.—Nie będę ci tedy przeszkadzać.

Irena z widoczną ulgą przeprowadza ją do przedpokoju. Na schodach spotyka otyłego, niezmiernie pachnącego jegomościa, który usuwa się elegancko, a następnie elastycznym krokiem podchodzi do drzwi.

— Więc to ten? O niego boi się Irena?

Parska śmiechem. Nieraz w jej obecności Gasztoltówna przyjmowała wielbicieli i nie była zazdrosną, nawet o Maryana. A dziś. No, może być spokojną. O tego Tunia nie pokusiła-by się.

Powraca do domu. Po chwili rozlega się pukanie do drzwi. Panna Adela wbiega cała rezpromieniona i rzuca się jej na szyję.

— Panno Tuniu, niech pani zgadnie kto tu był?

— No kto?

— Witold!

Zaczyna trzepać w pół z uśmiechem, w pół ze wzruszeniem, że śmierci raczej-by się spodziewała, niż jego wizyty. Sama otworzyła mu drzwi... poznała odrazu... a on stał niepewny i dopiero po chwili zawołał: Jak panna Adela wyrosła!

— I pani to zawdzięczam, pani.

— Mnie? a to jakim sposobem?

— Pan Bronicz jest kolegą Witolda jeszcze z dawnych czasów i dał mu adres, bo Witold zupełnie nie wiedział, co się dzieje z nami.

Z uniesieniem opowiada, jaki ten Witold mądry, jaki dobry, jak się nic nie zmienił. Był zachwycony jej projektem wstąpienia na medycynę.—Wiedziałem, że z mojego dzieciaka wyrośnie kiedyś dzielna niewiasta!—mówił.

— Ogromnie się pani zmieniła na lepsze,—zapewniał i ścisnął jej rękę mocno, strasznie mocno, na pożegnanie.

W tem rozradowaniu błada, chuda twarz Adelki staje się pociągającą—tak przynajmniej sądzi Tunia. Z zajęciem słucha opowiadań dziewczęcia.

— Ja pani nie nudzę, panno Tuniu?

— Ależ nie, nie, bynajmniej!

— Bo, widzi pani, ja panią tak kocham! Pani, chociaż nie skończyła uniwersytetu, ale pani taka inteligentna—wygłasza Adelka, w której przekonaniu ludzie, nie posiadający dyplomu, są niezpełnionymi ludźmi.

— Czekaj pani, urządzimy sobie podwieczorek po kawalersku.

Tunia szybko krząta się, zapala spirytus na maszynie, gotuje, potem zaprasza Jasia i siadają we troje przy stoliku.

— Za rok i ja tak będę mieszkała!—mówi Adelka.

A Jaś rozgląda się z szacunkiem.

— Jak tu miło u pani! Znać, że tu mieszka artystka!

Obojgu imponuje bardzo rozgłośne imię Tuni — jak wogóle wszystkim, którzy sami są nieznani.

— Teraz przyniosę pani wiersze Witolda!—mówi Anielka. Zrywa się, po chwili wraca z pliką papierów. Wydobywa arkusik i zaczyna czytać:

Chciałbym śnić o jasnych czarach wiosny,
Chciałbym iść nad słońcem złany brzeg,
Chciałbym śnić... Za oknem wiatr żalosny...
Pada śnieg...

Chciałbym iść nieznaną, dziwną stroną,
Pędzić w ślad skrzydlatym duszy snom,
Chciałbym „iść“, odnaleźć wymarzoną...
Pusty dom...

— Czy czasem nie „Adela“ ma na imię owa wymarzona?

Adelka wstrząsa poważnie głową.

— Witold kochał się kiedyś w aktorce Elwirze: wie pani, tej dramatycznej.

— Pozostaw mi pani te wiersze na dłużej. Czy dobrze?

Po ich odejściu siedzi długo z głową opartą na stole. Te dwie strofki dźwięczą w jej duszy nieokreślonym przypomnieniem czy przecuciem. Zapewne, cyzelowane wiersze Zenona nieskończenie więcej mają wartości artystycznej, ale z tych prostych słów Witolda bije du-

sza. Promienna, błękitna dal... ów miraż nieujęty, za którym porywa ją nieraz ta dobrze znana, paląca tęsknota...

Wpół senna, rozmarzona, ubiera się powoli. Zaproszona jest na wieczór do jednej z ciotek. Niechętnie odwiedza zwykle te mdłe zebrania na modłę zwyczaju, ale dziś nie mogła się wymówić. I przytem—ma tam być ów przyzwoity młody człowiek ze Zbrucza, który dość otwarcie gorszył się jej swobodnem postępowaniem. Tunia jest ciekawa, jak przyjął jej powodzenie artystyczne i o ile wpłynęło ono na zmianę opinii...

Przyzwoity młody człowiek poznaje ją, wita, winszuje sławy i na cały wieczór zapisuje się do jej rydwanu. Rozmawiają długo i szeroko. Gdy już zganili wszystkie sztuki sezonowe, zgodzili się w określeniu karnawału, jako „niebywale świetnego“, i napili herbaty przy osobnym stoliku, młodzian uznaje, że mają stanowczo bratnie dusze i zawiadamia ją o tem.

— Jutro—kończy—będę miał zaszczyt złożyć pani wizytę!

Po raz setny w tym roku Tunia żałuje, że przyjmować nie może, albowiem mieszka sama etc.

— Ah, w takim razie spotkamy się gdzieś... Gdzie i kiedy można panią widywać?

W tych słowach jest coś takiego, że dziewczyna ściąga brwi mimowoli.

— Chce pani opuścić to zebranie?—pyta ciszej młodzian.—Nudno tu i duszno... Pójdziemy!..

— Gdzie?

Na spacer!—odpowiada, trochę ostudzony tem ostrem pytaniem. Ale wnet ośmiela się i ciągnie dalej: Przejdziemy się we dwoje. Wystarczy sobie... nie prawdaż?..

Obejmuje ją czułym spojrzeniem, Tunia nie spuszcza oczu z niego.

— Dalej!—rzuca krótko.

— Wszak pani wie, że ja uwielbiam... Wiesz pani i nie gniewasz się?.. O, panno Marto!.. Czekaj na mnie powóz...

Zatrzymuje się.

— Dalej!

— Jeśli się zgodzisz, ukochana, wstąpimy na kolację, do którejś restauracji. Weźmiemy osobny gabinet, gdzie nikt nam przeszkadzać nie będzie...

— Dalej!

— Jeśli byś odpowiedziała najdroższa na moją płomienną miłość... O tak, czytam w twych pięknych oczach wzajemność. A więc... chociażby do mnie—kończy pocichu.

— Podłyl.

Jedno słowo—pada, jak cięcie szpicruty, jak trzask szkła...

Młody człowiek marszczy się, podnosi głowę, chce coś powiedzieć... Ona nie słucha, wybiega...

— Podły! podły!—powtarza w beznamietnym, lecz głęboko zranionym uniesieniu. Chciała zapuścić sondę aż na samo dno ludzkiej bezczelności.. I zobaczyła.. Odstąpiła się przed nią nieprzeczuwana nawet otchłań zgnilizny... Taka zgnilizna!.. Brr!.. Panna bez opieki, którą pół roku temu jeszcze chciał zaślubić, jest dziś dla niego pokusą łatwej zabawy... Nic nie znaczy jej talent, jej sława, jej osoba wreszcie. Panna bez opieki i bez przesądów—dość. I to człowiek młody, inteligentny—kwiat społeczeństwa.

Przeszywa ją okropne pytanie—tak okropne, że unieruchomia na chwilę wszystkie władze i całą świadomość wyteżęza w jednym kierunku. Czy ona dobrze zrobiła? Czy nie błądzi, czy nie brnie coraz dalej w jakieś mroczne przepaście, skąd już niema odwrotu?

— Opuściłam utarte ścieżki życia. Może się mylę? Może jest jakaś bezwzględna prawda i te właśnie przepisy wiekowej etyki są jej objawem?

A dusza—dusza wolna, która jest światłem dla siebie? A prawo niezawisłej jaźni, wyrosłej ponad ramki szablonu? I znowu niepewność. Po tej stronie stoi ona, sama—po tamtej świat, jego przeszłe pokolenia, tradycje, przyzwyczajenia, zasady w krew wsiąkle. Gdzie iść? czego się czepić, co odrzucić?..

Przez parę dni trwa to szarpanie w sobie, mgły bez wyjścia, chaos bez drogi... Bierze ją we władanie lęk dziwny, oczekiwanie trwożne, niedowierzanie.. tak, jakby stąpała po zakrytej murawie przepaści, wiedząc, że lada chwila może zapaść w głąb..

Pewnego południa wchodzi Piszczel z oficjalną miną.

— Przyjmuje pani powinszowania?

— Czego tam znowu?

— Wszakże jej najserdecniejsza wychodzi za mąż.

— Kto? Irena?

— Tak!

— To nie prawda!

— Z jej własnych ust słyzałem.

Tunia stoi i patrzy na Piszczela. Przypomina sobie frazesy Ire-ny o miłości dla sztuki, jej gorące przywiązanie do swobody, jej nieo-patrzną naturę ptaka na gałęzi...

— Trudno uwierzyć!— mówi wreszcie.—To fakt? a kiedyż ślub?

— Niezadługo. Złośliwi mówią, że Maryan będzie družbą.

— Jakto? Alboż nie za Maryana wychodzi.

— Naturalnie, że nie! To był „pan od flirtu!“ Narzeczony Ire-ny ma łysinę, trzy kamienice i wabi się Rolski...

Teraz Tunia przypomina sobie owego jegomościa w białym kra- wacie i wyjaśnia jej się wszystko.

— Więc tak kończą adeptki sztuki!

— A co, źle? . Panno Tuniu, czy nie żal? dała się pani uprze- dzic... Niechże i pani pomyśli...

— Pomyślę, pomyślę...

— Graziani czeka...

Tunia rzuca się gniewnie, a nieubłagany Piszczel ciągnie:

— Jest wierny i stały. Nie dla tego, aby mu szczególnie ta je- dna miłość do serca zajechała, lecz trudno będzie znaleźć drugą pannę z posagiem pani, która-by się zdecydowała wyjść za aktora...}

Złośliwe oczki Piszczela śmieją się zadowolonym, wewnętrznym śmiechem. Ten człowiek, jeśli ją kocha, kocha w szczególny sposób. Podpatruje najślabze jej strony i drażni. Przytem obgaduje ją przed znajomymi! Wprost zmyśla niesłychane potwarze i puszcza w kurs dla efektu. A gdy mu to wypomina, nie zapiera się bynajmniej, ba, śmieje się jeszcze.

— Co za człowiek z pana?!—woła Tunia, nie wiedząc sama, jak się zachować wobec czegoś podobnego.

— Człowiek!—odpowiada z gestem przecinającym wszelkie dal- sze określenia.

• Potworne wynaturzenie? czy jakaś szarada psychologiczna, nad którą przeciętna „zrozwinęta intelligencja“ kark skręci? Sam Piszczel pono nie wie dobrze, pod wpływem czego działa. Gdyby go zagadnięto, nie umiał-by odpowiedzieć, czy ją kocha, czy nie- nawidzi...

— Czy to prawda?—pyta od progu Tunia rozpromienionej, choć trochę zmieszanej Ireny.—Czy prawda, żeś zgodziła się na zamach na „złotą, nieopłaconą wolność“?

— Prawda, prawda, powinszuj-że mi, Tuniu niepoczciwa!

— Jesteś szczęśliwa?

— Jestem ogromnie zadowolona. Ogromnie.

— A sztuka?—pyta Tunia, patrząc na nią badawczo.

— Ah, sztuka! Między nami mówiąc, są to mrzonki! Sztuka jest wielka, ale te akcesorya, w które ją ubrano, są małe, sztrasznie małe.

— I my sami za mali!—wtrąca cichutko Tunia.

— Sztuka!—woła Irena, unosząc się stopniowo.—Cóż? wstąpić do teatru, oddać kochanej publiczności krew, ciało, siły, młodość, talent, urodę, aby potem, gdy wyssą z ciebie wszystko, wyrzucili na śmiecie.. Niedoczekanie wasze! Życie jest moje! moje! moje!.. Nie oddam z niego ani kropli!

Przypomina rozjuszoną lwicę. Z tym ogniem w oczach, ze wzburzeniem rysów i poruszeń, zyskała-by szalone oklaski na scenie.

— Znam tę szopkę na wylot. Podnoszą cię na piedestał, bawią się przez chwilę, a gdy moda przechodzi, zapominają, że cię znali kiedyś.. O, gorzki, twardy chlebie sztuki! nie będę łamać zębów na tobie!

— A Maryan?—pyta cicho Tunia.

Irena rzuca się gwałtownie.

— Uwzięliście się mnie nim prześladować! Ależ powtarzam raz setny: żadne z nas nie brało tego na seryo. On nigdy-by się ze mną nie ożenił, ani ja za niego nie wyszła!

— Miłość swoją drogą, a praktyczność swoją drogą!

— Łatwo ci tak mówić, kiedy masz posag!—odrzuca Irena.—Myślisz, że Graziani ożenił-by się z tobą, gdybyś była biedna?

— Pan Graziani jest dla mnie obcym człowiekiem — odpowiada dumnie Tunia.—Nie wiem, kto się ośmiela łączyć imię jego z mojem!

— Co za patos! Więc widzisz, ty, bogata, niezależna, nie chcesz wyjść za aktora, a mnie...

— Z jakiej ty to strony bierzesz! Graziani jest i był filistrem, a Maryan.

— Jest egoistą! Mam mu się gwałtem na szyję rzucić, i kazać, żeby się ze mną ożenił? po czem klepali-byśmy biedę i każde romausowa-

ło-by na swoją rękę? Albo uprawiać wolną miłość, wstąpić do teatru; za pomocą protekcji „tych panów“ zdobywać sobie stanowisko? „Pas si bétel Wolę drogę mniej ślizką i wygodniejszą. I—śmiej się, albo nie śmiej—ale chcę być kobietą uczciwą. Sztuki się nie wyrzekam, będę debintować niekiedy, ale jako dyletantka.

— Czy wyszła-byś za niego, gdyby był biedny? — przerywa Tunia.

— Nie.

— A on, czy ożenił-by się z tobą, gdybyś nie była znaną z urody Gasztoltówną?

— Prawdopodobnie nie...

— A więc jest to prosta wymiana dziewiczych wdzięków na brzęczącą monetę. Wiesz zapewne, jak się to nazywa,—mówi Tunia, drżąc jak liść z oburzenia.

— Romantycznie! Zasady z czasów Truwerów i Trubadurów!—odpiera Irena, ze źle dźwięczącym śmiechem.

— Być może... nie nawrócę się na twoją opatentowaną moralność...

— Ja też nie mam ambicyi apostołstwa swych zasad.

Rozstają się chłodno. Czują obiedwie, że nigdy już nie wróci koleżeńska pogoda ich stosunku. I żal im zerwanej przyjaźni, która tyle chwil słodkich dała...

— Jeszcze tedy jedno złudzenie... „Adieu!“ myśli Tunia.

Wierzyła tak święcie w waryacką ale szczerą naturę Ireny. Była-by się prędzej dała powieścić, niż uwierzyła, że i ona ulegnie warunkom. Warunki, żelazne warunki! Kwintessencya życia. I co najsmutniejsze, z pewnego punktu widzenia nie można zaprzeczyć okrutnej, chłodnej prawdzie tego wszystkiego.

— Romantycznie!.. rozlega się w jej pamięci niezatartem echem pogardliwy epitet Ireny. Sama się też czasami tak nazywała... Czy istotnie tak bardzo odbiegła od ziemi? Wychowana na cudnych mirażach poezji romantycznej, przysięgła sobie lecieć „i nigdy nie zniżyć lotu...“ Owe czytania przed laty tam, pod lipą, na osłonecznionej łące, wsączały zwolna w żyły zdradliwą truciznę... rozpałyły wyobraźnię przeświadczeniem, że jest „z ludzi, których serce żywi łzami i gorzką trucizną laurową...“ Żyje w szklanych pałacach złudzeń i oczarowań.. Oczywiście, przy każdym zderzeniu z rzeczywistością, rozwiera osłupiałe oczy, pytając: A gdzie to ja jestem?

— Nie—mówi Tunia półgłosem.—Nie i nie! Niema mirażów, rzeczywistości i warunków... Są fakty i te trzeba opanować. A Irena stehórzyła i zasłania się parasolem „rzeczywistości“...

O ileż wyżej stoi od niej dzieciak, taka Adelka... Powiedziała sobie: „będę człowiekiem niezależnym“ i będzie. Idzie prosto, nie zwodzi siebie i innych sofizmatami. Raz w rozmowie spytała jej Tunia, co uczyniła-by z uniwersytetem, gdyby się zakochała w trakcie studyów?

— Wyszła-bym za niego po ukończeniu!—odparła.

— A gdyby nie chciał czekać, gdyby panią pragnął zaraz poślubić?

— W takim razie musielibyśmy się rozstać.

— Jakto? poświęciła-byś pani miłość dla pewnej, powziętej „a priori“ idei?

— Nie, ale ja nie mogła-bym znieść myśli, że jestem ciężarem mężowi!—objaśniła z prostotą Adelka.—Dręczyło-by mnie przeświadczenie, że on dźwiga na sobie utrzymanie nas obojga, a ja siedzę bezczynnie. Chcę być towarzyszką i pomocnicą mego męża, jeśli go kiedy będę miała—nie kapłanką garnków i pieluch!

Wszystko to wypowiada tonem mocno stanowczym, w formie nie znoszących cienia wątpliwości pewników. Ale fakt, że jest tak. Adelka—to materyał, surowy jeszcze, lecz bogaty. Kobieta przyszłości...

— A my?—pyta siebie, dręczona wciąż potrzebą znalezienia określników dla tej dziwnej grupy, do której należy.—A my?—My—błędne ptaki przelotu...

Pomimo zapewnienia Ireny, że żadne z nich nie brało tego na serwo, Tunia czuje, że na dnie duszy obojga kryje się żal głęboki. Spotyka kiedyś Maryana i uderzona jest zmianą, jaka w nim zaszła przez te dni parę. Błady, z podsiniałemi oczyma, nie ma na ustach tego przelotnego uśmiechu, z jakim dawniej oddawał się „studjom życia“. Ile razy bowiem czuł, że powieści jego stają się zanadto rozanielone, podoboczne, włączył się przez parę godzin po ulicach i zaułkach i z tłumu wdychał jędrne, zdrowe pierwiastki życia. Dziś patrzy na świat przegasłym wzrokiem.

— Chodź pani, pójdziemy nad Wisłę!—proponuje i idzie w milczeniu. Potem pyta nagle:

— Czy pani próbowała kiedy nakreślić przed sobą plan życia, pewną linię, po której ma iść ono?—I nie czekając na odpowiedź, dodaje: Ja idę po niej od piętnastego roku życia... ani na cal nie zszedłem. Ani na cal.. Dziś osiągam tryumf ostateczny—w mękach...

Głos mu się łamie. Tunia widzi, że porywa go szalona tęsknota za Ireną. W kurczowych ruchach dłoni, w zacięciu ust czyta jakiś okropny, nieopisany wysiłek, aby wytrwać...

— Tyle męczarni dobrowolnych! Pocóż odtrącać szczęście?—mówi Tunia na głos.

Literat rzuca się jak oparzony.

— Niema szczęścia!.. Jest pewna skala przedsięwzięć, pewna sfera zakreszeń, którym trzeba być wiernym „quand même.“ Nie jesteśmy zeszlęmi badylami, którymi pierwszy lepszy wiaterek zamiata kurze podług swej woli. Człowiek jest panem siebie!

— Tyranem! Grzęźniesz pan w teoryach. Zastanów się, ile cierpisz, ile cierpieć będziesz, gdy ona zostanie „żoną“, dozgonną własnością innego...

— Nie mów pani! Nie będę cierpieć więcej, niż teraz, kiedy ten piekielny obraz na minutę z oczu mi nie schodzi!—odpowiada głucho.

Wchodzą na most. Wisła stoi nieruchoma, biała, pod warstwą szklatego śniegu, różowawa w promieniach zachodzącego słońca. Po mału schodzą cienie, owijają wieże, dachy, domy, rozwieszają nad daleką sine całuny, kładą długie fioletowe smugi po śniegu, koło lataren... Maryan opiera się o poręcz, wpija oczy gdzieś w krwawe gwiazdeczki dalekich światel, słucha drżącego brzęczenia drutów telegraficznych... Tunia nie śmie przerywać mu tej uroczystej rozmowy z własną boleścią. Olbrzymie to, ale i przerażające... Grzęźnie w teoryach, lecz dla teorii poświęca siebie i ukochaną.

— Jeśli to ma być szczytem uduchowienia, nie warto piąć się do szczytów... O ludzie, ludzie! czy wy ślepi, czy nie widzicie, że życie jest tylko jedno i chwili straconej nic wam nie powróci!

— Jaka pani dobra!—mówi Maryan, budząc się z zadumy.—Taki spokój przy pani.. można milczeć... A to dużo... rozmawiać można ze wszystkimi, ale milczeć—tylko z wybranym przyjacielem...

Odrywa oczy od rozwiewnych mroków przestrzeni, podnosi ciężko głowę. Tunię ogarnia bezdeń współczucia. Tyle cierpień—bez celu... Ten nie zapomni nigdy...

— Miałoby i to być złudzeniem?—zapytuje zaraz. Jadwinia przecież truć się chciała po zerwaniu z adwokatem, a w trzy miesiące potem ukoła rozpacz w objęciach Romka... Ale nie! to inne uczucie, to inny gatunek człowieka! Taka miłość nie stygnie.

Nagle podnosi głowę i tuż przed sobą spostrzega studenta, którego zeszej zimy spotykała w bramie ogrodu. I on ją poznaje, bo przystaje nagle, a z oczu strzela mu błysk niesłychanego rozradowania. Otwiera usta, jakby chcąc coś powiedzieć—w tem przenosi wzrok na Maryana i drga cały. W jego szafirowych źrenicach zapala się gniew bezsilnej, nienawistnej wściekłości. Rzuca jedno spojrzenie z podębła i znika.

— Kocha mnie!—szepcze Tunia.

Oslupienie, trwoga, rozkosz bezgraniczna bierze ją w moc swoją, grupują się oddzielne wspomnienia, rozproszone obrazy, tych spojrzeń błyskawicznych, tych momentalnych wzruszeń... Z chaosu wyłania się synteza... całość jasna, odurzająca...

— Kocha mnie!

Czuje niezaprzeczoną pewność, że to „on“ właśnie, ten, któremu danem jest zrozumieć jej duszę aż do najsubtelniejszych odcieni. Śnił jej się kiedyś—w oddalonem dzieciństwie... czy może tylko przeczuwała ten śmiały, otwarty wyraz twarzy, to spojrzenie głębokie, ten gest energiczny, jakim odrzuca włosy z czoła...

— Kocha mnie!—powtarza bez końca. Jak przez sen żegna Maryana, wchodzi do domu, zapala lampkę... Natłok jakichś wrażeń bez nazwy okrąża jej głowę. Tajemny półgwar miłości uderza o wyobraźnię każdym z tych błędnych szmerów ciszy.

— Kocha! kocha! Przyciska głowę do poduszek, to znów odrzuca je daleko i wpatruje się w okno szerokiemi oczyma... Kto on jest? czego chce? dla czego ją kocha? I dla czego ona czuje, że to „ten“?

I znów nadciągają skrzydlate, tęczowe mary i śpiewem syrenim wikłają jej duszę w sieć czaru.

MARION.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przymierze polsko-pruskie.¹⁾

IV.

ZERWANIE.

W Berlinie tymczasem zapanował chaos. Z początkiem kwietnia 1791 r., jak widzieliśmy, przysły tutaj najlepsze wieści z Londynu: o zapadłych uchwałach wojennych gabinetu angielskiego, o przyjęciu przez parlament kredytów nadzwyczajnych na zbrojenia. To było energiczne uderzenie ostrogi. Nagle, we dwa dni później, nadbiegł kurьер od Pitta, odwołujący wszystko, wstrzymujący konwencję wojсковą i ultymatum. To było gwałtowne szarpnięcie cugli. Polityka wojenna pruska, prawie jednocześnie ukluta ostrogą i ściągnięta w cuglach, mogła albo ponieść, albo też—wykonać wolte. Ale ona w pierwszej chwili nie zdobyła się ani na jedno, ani na drugie, i tylko, jak wierzchowiec bez temperamentu i bez doświadczenia, rzucała się, krę-

¹⁾ Ob. „Biblioteka Warszawska“, listopad 1898, styczeń, luty, [marzec 1899.

ciła się na miejscu, równie podniecona, jak wystraszona. Istotnie, w pierwszej chwili, w Berlinie, podobnie, jak i w Warszawie, nie zdano sobie należycie sprawy z całego znaczenia dokonanej w Londynie odmiany. Przypuszczano zrazu, że jest to raczej odwłoka, niż odmiana. Przybycie Fawknera, który, biegnąc do Petersburga ze swoją misją ugodową, kilka dni po drodze zabawił w Berlinie, wznieciło żywszy już niepokój, lecz jeszcze dostatecznie nie wyjaśniło położenia. Na razie uradzono pomiarkować najbliższe wojenne zapędy. Posłowi pruskiemu w Petersburgu, Goltzowi, który pierwotnie miał tam, razem z posłem angielskim, Whitworthem, złożyć groźne ultimatum, zlecono teraz, wspólnie z Fawknerem, podać cesarzowej umiarkowaną notę, ofiarującą *status quo* „uzupełnione“. Zaczęto przygotowywać się w ten sposób do wolty, do odwrotu. Jednak ciągle nie tracono widoków pomknięcia naprzód, widoków zbrojnego starcia, i na wszelki wypadek zachowywano nadal zaczepną postawę wojskową i dyplomatyczną.

W takiej-to właśnie chwili, naprężonej i dwuznacznej, nadeszła do Berlina wiadomość o gotującym się w Warszawie przewrocie ustawodawczym. Goltz młodszy, zastępca Lucchesiniego u rządu polskiego, donosił 1 maja, iż poprzedniego dnia, t. j. 30 kwietnia zrana, udało mu się dostać języka o zamierzonym stanowczym zamachu stanu, mającym skodyfikować, uzupełnić i uwieńczyć całe dotychczasowe dzieło naprawy, mającym utrwalić je przedewszystkiem przez reformę najdonioslejszą, najniezbędniejszą, najśmielszą, przez wzniesienie dziedzicznego tronu. To arcyważne doniesienie wzięte zostało pod obrady gabinetu berlińskiego dnia 6 maja. Po długich rozprawach stanęło na tem: że, jeśliby zamierzany zamach już był spełniony, a w szczególności prawo o successyi tronu już uchwalone, w takim razie przedstawiciel rządu pruskiego w Warszawie winien „zachować się biernie i spokojnie i nie zrażać przyjaznego stronnictwa przez niewczesne uwagi i zarzuty“; że natomiast, jeśliby rzecz znajdowała się jeszcze w zawieszeniu, winien starać się możliwie o powstrzymanie od tego kroku najzaufańszych przywódców patriotycznych sejmu. Pierwsze przypuszczenie sprawdziło się już po niewielu godzinach. Już nazajutrz kuryer nadzwyczajny z Warszawy przywiózł dwie nowe depesze Goltza, wyprawione późnym wieczorem 3 maja z doniesieniem o czynie dokonanym, o zaprzysiężeniu Ustawy. W Berlinie w pierwszej chwili pojęto ten wypadek w tym samym poniekąd sensie, jak był pojmowany w Warszawie. Pojęto go, mianowicie, jako czynnik popędzający naprzód pożądaną akcyę zaczepną, która tak niespodzianie

była ugrzęzła. Fryderyk-Wilhelm, choć już zaczynał w tył się oglądać, jeszcze nie przestał patrzeć przed siebie. Postanowił tedy przyklasnąć Ustawie majowej. Łaskawie, ze słowem serdecznej zachęty, przyjął na rewii z rąk posła polskiego, ks. Jabłonowskiego, pismo Stanisława-Augusta, donoszące urzędownie o dokonanym przewrocie: „z rzetelnem ukontentowaniem—tak mówił do księcia—patrzę na pomyślność Polski, jej powodzeniem cieszyć się będę, znajdzie ona we mnie szczerego alianta, uczyniony przez nią wybór—sukcesyji saskiej—jest mi nieskończenie przyjemnym (*infiniment agréable*)“. Niezwłocznie, w tym samym zupełnie duchu, przyjazne i śmiałe instrukcye posłał swoim pełnomocnikom w Warszawie i Petersburgu. Do Goltza w Warszawie odzywał się w piśmie odręcznem: „Idąc za popędem uczuć najprzyjaźniejszych, które nakazywały mi zawsze współdziałać pomyślności Rzpltej i utrwaleniu nowych jej ustaw, idąc za tym popędem, którego dowodów nie przestałem objawiać, ilekroć tylko było to w mojej mocy, wyrażam obecnie poklask i podziwienie dla tej ważnej narodowej uchwały, którą uważam za niezbędną dla utrwalenia szczęścia narodu... Przeświadczony jestem, iż wybór Rzpltej—powierzenie korony polskiej domowi saskiemu—utwierdzi na wieczne czasy ścisłą między nami zażyłość i harmonię, i rozkazuję oświadczyć, w najuroczystszym sposobie, moje szczerze powinszowanie Królowi Jegomości, marszałkom sejmowym i wszystkim, którzy przyłożyli się do uskutecznienia tak ważnego dzieła.“ Jednocześnie do Goltza w Petersburgu, równie w piśmie odręcznem, takie posyłał wskazówki: „Stronnictwo dobrze myślące w Warszawie ujrzało się w konieczności uczynienia tego stanowczego kroku—zamachu majowego—aby uprzędzić skutki wysiłków, podejmowanych od pewnego czasu przez obadwa dwory cesarskie oraz przez ich stronników, dla wzmoczenia swego wpływu, a nawet dla sprawienia kontrrewolucyi w Rzpltej. Nie mogłem zatem inaczej, je-no z najmilszą chęcią patrzeć na ten wypadek, co też, bez afektacyi, należy dać do zrozumienia“. Sam tymczasem, w dalszym ciągu nie wyrzekając się jeszcze całkiem myśli nawrócenia sojusznika angielskiego do akcji zaczepnej, Fryderyk Wilhelm jeszcze przez dni kilkanaście, przez całą połowę maja, nie szczędził najrozmaitszych starań i prób w tym kierunku. Zatrzymywał jak najdłużej Fawknera w Berlinie i opóźniał jego wyjazd z różdżką oliwną do Petersburga. Powoływał się w Londynie na interesujące i ważne wypadki warszawskie. Wyjaśniał Pittowi, iż nawet dla wymuszenia najmniejszych ustępstw na twardej cesarzowej, nawet dla zyskania od niej znośnego „uzupełnionego“ *status quo* dla sultana, niezbędną jest przynajmniej imponująca groźba zbrojnych demonstracyi. Pod tym już pozorem demonstracyi,

jeśli nie kroków wojennych, upominał się o przyobiecane wyprawienie floty angielskiej na Bałtyk: co do siebie zresztą oświadczał się ciągle z gotowością do *Losschlagen*, do orężnego uderzenia na Rosyję ¹⁾.

¹⁾ Pierwsza depesza Goltza z Warszawy, 1 maja, gdzie donosi, że „hier matin“ t. j. 30 kwiet., otrzymał pierwszą wiadomość o przygotowywanym zamachu, Forsch. z. d. Gesch., IV, 435 sq.; do tego odnosi się protokół narady gabinetowej 6 maja: „que si cette loi avait passé affirmativement, il (Goltz) devrait se tenir passif et tranquille pour ne pas mécontenter inutilement le parti bien intentionné par des objections critiques qui n'étaient pas de saison; mais que si l'affaire était encore en discussion, il devrait faire son possible pour dissuader les chefs confidens“. Depesze Goltza o dokonanym już zamachu wysłane były z Warszawy 3 maja o 11 wieczorem, a więc nie mogły jeszcze być w Berlinie 6 maja. Tamtą wcześniejszą zapowiedź i to późniejsze doniesienie pomieszał pierwszy Hertzberg, Précis, za nim Haüsser, I, 385 i wszyscy następni, aż do Kalinki.—Stanisława-Augusta pismo do Fryderyka-Wilhelma, 3 maja, doręczone przez Jabłonowskiego 8; król pruski, już uprzedzony przez drugą depeszę Goltza, dał księciu najprzychylniejszą odpowiedź *ustną*, lecz *nie dał* piśmiennej (odpisał Stanisławowi-Augustowi znacznie później, dopiero 23 maja). Stwierdzamy tę okoliczność ze szczególnym naciskiem, dla następującego powodu: Ustaliła się fałszywa legenda, że Jabłonowski miał sobie zlecone oddać pismo potajemnie królowi pruskiemu, bez wiedzy jego ministerjum, zaskoczyć go zniemacka i wyłudzić piśmienną zgodę na Ustawę majową, i że tego celu istotnie dopiął; tak twierdzi Herrmann, VI, 364, ze słów Essena, 22 października (!) 1751, jakoby Fryderyk-Wilhelm „mit der ihm eigenen Guthmüthigkeit“, pozwolił wydrzeć sobie przez Jabłonowskiego akceptację piśmienną Ustawy majowej, jakoby dopiero po niewczasie dowiedział się „dass man ihm überrascht und dass der polnische Envoyé bei seinem ganzen Verhalten es auf eine Intrigue abgesehen habe“, jakoby wreszcie w Warszawie „man sich nicht scheute dieses Schreiben Friedrich-Wilhelms, das man auf so eigenthümliche Weise sich verschafft hatte, zu einem diplomatischen Actenstück zu stempeln“ i t. d. Ta potwarcza insynuacja, powtarzana po dziś dzień w całej historyografii niemieckiej, u Haüssera, Sybla i t. d., upada wobec tego prostego faktu, iż ów mniemany list królewski, tak chytrze wyłudzony przez Jabłonowskiego, nigdy nie był pisany i egzystuje tylko w wyobraźni potwarców; por. Cachégo depeszę 18 maja.—Fryderyk-Wilhelm do Goltza, do Warszawy, 9 maja: „j'ai reçu votre dépêche en date du 3 mai avec un supplément qui me fait part d'une nouvelle bien importante que la Diète de Pologne a proclamé l'électeur de Saxe successeur éventuel au trône... En suite d'un penchant très amical, qui m'a toujours

Kiedy tym sposobem w Berlinie, jeszcze w ciągu maja, łudzono siebie, łudzono innych, i wyczekiwano; kiedy polityka pruska, właściwa polityka królewska, ponownie zbita z tropu, a podawnemu niezdecydowana i dwuznaczna, rzucała się na wszystkie strony, nie posuwając się ani na krok z miejsca,—tymczasem polityka angielska, po przymusowem wyrzeczeniu się przez Pitta wszelkiej inicjatywy zaczepnej, z chwilą powierzenia przez niego zarządu spraw zagranicznych w ręce lorda Grenvilla, sterowana była z Londynu, z całą stanowczością i konsekwencyą, w kierunku wstecznym a pokojowym. Fawkner otrzymał rozkaz jak najspieszniejszego wyjazdu z Berlina do Petersburga, dla naprawienia zaostrożonych stosunków z Rosyą i uskutecznienia zgody polubowej z cesarzową Katarzyną względem pacyfikacji tureckiej kosztem ujęć duistrowych. Wcześniej już w tym samym duchu podjęte były równoległe starania u cesarza Leopolda. Wspomnieliśmy, iż jeszcze w kwietniu, skoro tylko rosnący opór parlamentu przełamał wojenne intencje Pitta, jednocześnie z odwołującemi rozkazami do Berlina dla Jacksona, wyprawiono również z Londynu do Wiednia, dla tamecznego posła angielskiego, lorda Elgina, naglejącą instrukcyę, aby niezwłocznie szukał przyjacielskiego zbliżenia się z Austryą, dla poparcia, z tej również strony, pożądanej obecnie co rychłej pacyfikacji powszechnej. Treść

dirigé pour coopérer à la prospérité de la République, ainsi qu'à consolider sa nouvelle constitution, penchant, dont je n'ai cessé de donner les preuves qui pouvaient dépendre de moi, j'admire et j'applaudis à cette démarche importante que la nation a faite et que j'envisage comme essentielle à consolider son bonheur. La nouvelle que je viens d'en recevoir, m'est d'autant plus agréable, que je suis attaché par des liens d'amitié à ce prince vertueux, destiné à rendre la Pologne heureuse... Je suis persuadé que ce choix de la République affermira à jamais cette harmonie et cette étroite intelligence entre elle et moi et vous recommande de déclarer de la manière la plus solennelle mes félicitations sincères au Roi, aux maréchaux de la Diète et à tous ceux qui ont contribué à une oeuvre aussi importante"; do Goltza, do Petersburga, 9 maja: „c'est pour prévenir l'effort que les deux Cours impériales et leurs partisans faisaient depuis quelque temps pour augmenter leur influence et même pour opérer une contre-révolution dans ce royaume, que le parti bien intentionné s'est vu obligé de faire cette démarche décisive. Je n'ai pu en conséquence que la voir de très bon oeil, et c'est que vous aurez soin de faire paraître sans affectation dans la manière de vous expliquer sur ce sujet"; doniesienie Fawknera z Berlina 10 maja.

rzeczonyj instrukcyi sprowadzała się mianowicie do trzech dezyderatów głównych: skłonić cesarza Leopolda do ograniczenia swoich pretensyi tureckich, do przywrócenia prawidłowego biegu odwlekanych przez niego rozmyślnie układów szystowskich i rychłego ich zamknięcia przez ostateczne zawarcie pokoju z Turcyą, na podstawie umiarkowanego *status quo* „uzupełnionego”, kosztem pewnych, nieprzesadzonych, zysków terytoryalnych od strony Orsowy; skłonić go do wywarcia nacisku na swoją sojuszniczkę, cesarzową Katarzynę, takim swoim przykładem, oraz przez stosowne od siebie zalecenia, w celu przynaglenia Rossyi do nieodwłocznego zawarcia pokoju z Portą, również w duchu umiarkowanych „uzupełnień”, kosztem pewnych, nie nadmiernych zysków ze strony Oczakowa; skłonić go wreszcie do przystąpienia do potrójnego alliansu anglo-hollendersko - pruskiego, przeobrażonego odtąd ze związku zaczepnego w czysto odporny. W końcu, te wszystkie propozycye angielskie, kosztem ustępstwa od dawniejszej zasady „bezwartunkowego” *status quo*, kosztem niektórych ofiar tureckich na rzecz Austryi i Rossyi, zmierzały do jednej przynajmniej bezpośredniej korzyści: zabezpieczenia istnienia Turcyi, i w tym celu, w ostatecznej konkluzyi, górowały w projekcie wspólnego poręczenia nietykalności pozostałego terytoryum Porty Otomańskiej. Odebrawszy te ważne zlecenia w Wiedniu, za nieobecnością cesarza, Elgin popędził za nim do Włoch, doznał go we Florencyi w pierwszych dniach maja, i zaraz rozpoczął odpowiednie rokowania. Leopold, zaskoczony znienacka, w pierwszej chwili był uderzony tym niespodzianym zwrotem, lecz natychmiast, z właściwą sobie przenikliwością, trafnie odgadł, iż kryje się tutaj początek nowego układu stosunków, początek stanowczego odrotu ze strony Anglii. Postanowił też, nie tracąc czasu, skorzystać z tego dla swoich interesów na Zachodzie i Wschodzie. Wychodząc z projektowanej przez Elgina wspólnej gwarancyi nietykalności Porty, podniósł myśl jednoczesnej gwarancyi, na tych samych zasadach, nietykalności terytoryum Rzpltej, — oczywiście bezpośrednio i przedewszystkiem w tym mianowicie celu, aby tędy z góry zamknąć drogę wszelkim widokom pruskim na Gdańsk, Toruń i inne nabytki polskie. Zarazem, wychodząc z propozycyi angielskich gwarancyi terytoryalnej, rzucił pomysł równoczesnego rozszerzenia jej „do poręczenia nietylko posiadłości, lecz oraz i konstytucyi rozmaitych państw europejskich”, — oczywiście bezpośrednio i przedewszystkiem w najbliższym znowu, własnym interesie, dla zabezpieczenia sobie spokoju na Węgrzech, w Brabancyi, Galicyi, w swoich krajach koronnych, nurtowanych dotychczas przez podziemną prowokacyę pruską, a także, być może, w interesie swojej siostry i swego bourbońskiego szwagra, dla pozyskania wpływu na bezrząd rewolucyjny, ogarniający Francycę.

W każdym razie, tyle nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, iż w chwili, kiedy z tem życzeniem wspólnego „poręczenia konstytucyi rozmaitych państw europejskich” wynurzał się Leopold przed Elginem we Florencyi, dnia 9 maja, nie miał i nie mógł mieć w żadnym razie na widoku warszawskiej Ustawy majowej, już dla tej prostej przyczyny, że w owej chwili o jej istnieniu nie miał i nie mógł mieć pojęcia.

Podnosimy ten szczegół z osobliwym naciskiem. W rzeczy samej, przez wykrętną interpretacyę tego szczegółu, przez świadome wypaczenie istotnego sensu tego wynurzenia Leopolda, przez rozmyślne sfalszowanie dat, tekstów i wypadków, naczelni przedstawiciele historyografii pruskiej dokonali tego niezrównanego arcydzieła szarlatańskiej sztuki, iż z powyższych dwóch wyrazów cesarza o „poręczeniu konstytucyi”, potrafili wyprowadzić cały szereg najdowolniejszych, a niezmiernie doniosłych wniosków historycznych i politycznych: a mianowicie, na tej zasadzie poważyli się, nasamprzód, zwalić z jednej strony na Rzpltą polską podstępny zarzut, iż zrobiła ona Ustawę majową wbrew interesom, wbrew woli i poza plecami sprzymierzonych ze sobą Prus, w tajnym natomiast porozumieniu z Austryą, zapewniwszy sobie z góry poparcie cesarza przeciw królowi pruskiemu; poważyli się, następnie, zwalić z drugiej strony na Austryę pełną solidarność z pobudkami i treścią, oraz wyłączną odpowiedzialność za skutki Ustawy majowej, będącej jakoby wytworem podziemnych, zdradzieckich, antypruskich knowań polsko-austryackich; zaś tym sposobem, oskarżając jednocześnie Rzpltą o mniemane odstępstwo *ex post* od przymierza polsko-pruskiego, zawartego w roku poprzednim, i oskarżając Austryę o mniemane odstępstwo *a priori* od przymierza austro-pruskiego, które miało być zawarte w roku następnym, w ostatecznej konkluzyi poważyli się jednym zamachem zwolnić Prusy od obowiązku dotrzymania jednego i drugiego przymierza i oczyścić je odrazu od podwójnej winy podwójnego wiarołomstwa. Nie wchodząc tutaj w bliższy rozbiór tej nadzwyczajnej argumentacyi, stanowiącej jeden zwarty łańcuch skombinowanych fałszów, dość będzie stwierdzić po prostu: że z całej korespondencyi posła austryackiego w Warszawie, Cachégo, jasno wynika, iż aż do ostatniej chwili, jeszcze w przededniu uchwał majowych, ani on, ani jego rząd, nie mieli najmniejszego pojęcia o przygotowywanym przewrocie; że nazajutrz po dokonany zamachu stanu warszawskim, Austrya jak najbaczniej wystrzegą się wszelkich pozorów approbaty, a tem bardziej solidarności, względem Ustawy majowej, zarówno wobec rządu polskiego, jako też i saskiego; że wzmianka o „poręczeniu konstytucyi”, uczyniona przez Leopolda we Florencyi d. 9 maja, nie była w żadnym związku z tą Ustawą, o której żadna wiadomość nie doszła, bo w sześć dni dojsć nie mogła, z Warszawy do Florencyi; że ta wiado-

mość tego samego dnia, 9 maja, nadeszła dopiero do Wiednia, i pojęta tutaj jedynie jako nowy czynnik akcji zaczepnej pruskiej, wzbudziła poważne obawy kanclerza austriackiego, Kaunitza; że, przywieziona stąd do Florencyi nie wcześniej, jak w połowie maja, podobnie, z podejrzliwością i niepokojem, przyjętą została przez cesarza Leopolda; że zatem cały wyłuszczoney syllogizm dziejopisów pruskich jest wyspany z palca, jest od początku do końca rozmyślną, wyrachowaną i kłamliwą mistyfikacją.

Należy jednak zaznaczyć, że ten genialny pomysł dzisiejszych dziejopisów pruskich był im podsunęty, był godnie dla nich przygotowany przez owoczesnych pruskich polityków. Kunsztowna insynuacja, rozwijana dzisiaj z takim bogactwem szczegółów przez Häusserów i Syblów, spłodzoną została w pierwszej zaraz chwili w pomysłowych głowach doradców najbliższych zakłopotanego Fryderyka - Wilhelma. W rzeczy samej, król pruski trwał ciągle w najkłopotliwszem, najdważniejszem położeniu. Z Warszawy z całym zaufaniem odwoływano się do jego pomocy i żądano opieki dla Ustawy majowej. Miano do tego więcej, niż wystarczającą podstawę, nietylko w dosłownem brzmieniu marcowego przymierza, lecz nadto w najnowszych oświadczeniach króla pruskiego do ks. Jabłonowskiego w Berlinie i posła pruskiego Goltza, w Warszawie, zawierających, jak widzieliśmy, jawną i bezwarunkową aprobatę wielkiego dzieła ustawodawczego 3 maja. Jabłonowski oczywiście pośpieszył donieść niezwłocznie swemu rządowi o przychylnych słowach, usłyszanych z tego powodu z własnych ust Fryderyka - Wilhelma; zaś i Goltz również nie omieszkał, stosownie do danych sobie wskazówek, na osobnej konferencyi z Deputacją interesów zagranicznych zakommunikować jej dosłownego tekstu otrzymanej przez niego w tym samym przedmiocie jeszcze przychylniejszej, a nawet nadspodziewanie łaskawej, silnej i obiecującej depeszy królewskiej. Naza jutrz po tej konferencyi, podkanclerzy Chreptowicz, nowy kierownik spraw zagranicznych, powtórzył sejmowi pomyslnie doniesienia posła Rzpltej z Berlina, oraz pocieszający komunikat posła pruskiego w Warszawie, uczyniony „z wyraźnego rozkazu dworu swojego, że Król Jegomość Pruski uwielbia śmiały i mądry krok Rzpltej na dniu 3 maja, sądzi go być zdolnym do utwierdzenia stałej szczęśliwości Rzpltej, oraz pewnego znaczenia i poważania w Europie, tem milej zaś tę wiadomość przyjmuje, że jest w związkach prawdziwej przyjaźni z elektorem saskim, którego cnoty osobiste i charakter szacuje“. Jednocześnie Stanisław - August wystosował nowe pismo odręczne do Fryderyka - Wilhelma, ponownie odwołując się do jego sprzymierzeńczej opieki. Z tem pismem wyprawiony został do Berlina brat Ignacego Potockiego, głównego sternika sejmu i głównego twórcy Ustawy ma-

jowej, Stanisław Potocki, za którym zaraz podążyli z Warszawy posłowie angielski i hollenderski, Hailes i Reeve, nietyle dla poparcia jego zabiegów, ile w tym właściwie celu, aby samym zasięgnąć nad Szprewą dokładniejszych informacji o istotnem położeniu rzeczy. Potocki, nazajutrz po przybyciu do Berlina, przyjęty na audyencji przez króla i zbyty komplementami. Jednak Fryderyk-Wilhelm, odpisując teraz na obadwa pisma Stanisława-Augusta z powodu Ustawy majowej, nie wahał się wystąpić raz jeszcze w tym samym duchu przychylnym i approbującym, w jakim przed dwoma tygodniami zwracał się do Jabłonowskiego i Goltza. „W. K. M.,—tak do króla polskiego odzywał się król pruski w tej swojej odpowiedzi, w tym ostatnim, najpoważniejszym, najdobitniejszym dokumencie, przymusowo stwierdzającym zobowiązania sprzymierzeńcze Prus względem przeobrażonej już ustawodawcze Rzpltej, w dokumencie urzędowym i wyraźnym, którego najwykrętniejsza interpretacya najsprytniejszych historyografów zeskamotować nie jest zdolna, — raczyłeś donieść mi o ważnej uchwale, powziętej przez sejm skonfederowany, ustanawiającej sukcesyę dziedziczną tronu na rzecz domu saskiego. Już sam pośpiech, z jakim starałem się objawić moje w tej mierze zapatrywania, winien był upewnić W. K. M. i cały naród polski o moim udziale w tym wypadku. Winszuję sobie, iż było mi danem przyłożyć się do zachowania wolności i niezależności Rzpltej, i będzie nadal należało do trosk moich najmiłszych utrzymywać i utrwalać łączące nas związki“.

Kiedy takim sposobem król pruski, aczkolwiek mocno już zachwiany w swoich pierwotnych pojęciach i planach, jedynakoż nie zdobywał się jeszcze na jawny odwrót i jawne odstępstwo, i w powyższych wyrazach, skierowanych do króla polskiego, przyznawał się jeszcze bez zastrzeżeń, a już po raz ostatni, do swoich obowiązków traktatowych sprzymierzeńca Rzpltej, w tym samym właśnie czasie nadeszły do Berlina z Florencyi ważne wiadomości od Elgina o przebiegu napoczętych tam najnowszych rokowań angielskich z Austryą, o ugodowej, przyjacielskiej gotowości Leopolda, a także, między innemi, o obszernych pomysłach gwarancyjnych, wyłuszczonych przy tej sposobności przez cesarza. W Berlinie, gdzie ciągle kręcono się w błędnem kole pożądań i obaw, ambicy i wyrachowania, skwapliwie uchwycono się tej nowej negocyacyi. Najskwapliwiej uchwycił się jej Bischoffwerder, ciągle jeszcze trzymający się na stanowisku najzaufańszego doradcy i zausznika królewskiego, a żądny naprawienia swojej pierwszej, bezowocnej misyji wiedeńskiej. Łatwo, na własną rękę, bez wiedzy ministryum, przekonał Fryderyka - Wilhelma, iż należy koniecznie, bez straty czasu, wdać się czynnie w negocyacyę angielską z dworem wiedeńskim, aby sprowadzić ją na tory właściwe, aby mianowicie na rzecz własną, na rzecz Prus, nie Anglii, dobić porozu-

mienia z Austryą, wydobyć się tędy zawczasu z niebezpiecznej, odosobnionej pozycji, zagrażającej Prusom na wypadek zupełnego odstępstwa Anglii, wydobyć się w pewnej mierze z pod kurateli angielskiej, pozyskać w najlepszym razie nie tylko bezpieczeństwo od strony cesarza, ale i jego poparcie przeciw Rosyi, w najgorszym razie zyskać skompromitowanie go wobec Rosyi i odsunięcie od cesarzowej Katarzyny. Sam w tym celu podjął się osobiście wyprawy do Włoch, do Leopolda. Król bez trudu dał się przekonać i zawiadomił swoje ministerium o powziętej przez siebie decyzji powtórnego wysłania Bischoffwerdera do cesarza. W gabinecie pruskim jeszcze wtedy zasiadał nominalnie Hertzberg, lecz już zgoła pozbawiony głosu i wpływu; od maja zasiadali obok niego, a właściwie na jego miejscu, zamianowani dwaj nowi ministrowie, Schulenburg i Alvensleben, osobiści jego przeciwnicy, lecz w istocie tego samego, Hertzbergowskiego gatunku politycy, młodszy tylko, skromniejszy i praktyczniejszy od starego ministra, bez jego zarozumiałości, ślepoty i bez jego zamiennej *idée fixe*, a tak samo, jak on, szczerzy, najczystszej wody, wychowanicy dawnej, wypróbowanej szkoły Fryderykowej, nienawidzący przedewszystkiem Austrii, a zarazem, przedewszystkiem, zakładający przyszłość Prus na przywróceniu dawniejszych, uświęconych, wypróbowanych tradycji polityki pruskiej, na wskrzeszeniu hojnej, opiekuńczej przyjaźni Rosyi. Tak usposobieni ministrowie, zresztą z samej już natury swego urzędu zazdrośni przeciwnicy zakulisowej, konkurencyjnej działalności królewskiego ulubieńca, z podejrzliwym niepokojem dowiedzieli się o jego zamierzonej wyprawie włoskiej, lecz zmuszeni ustąpić i zamilknąć przed objawioną sobie stanowczą wolą monarszą.

Pośpieszenie, w myśl wynikłych nowych koniunktur, zredagowaną została teraz treściwa instrukcja dla wyjeżdżającego Bischoffwerdera. Przystąpić, w imieniu Prus, do rozpoczętej przez Anglię negocjacji austriackiej: zaofiarować cesarzowi, ze swojej strony, dogodnie załatwienie układów pokojowych z Portą, oraz przyjęcie z otwartymi ramionami do trójprzymierza; sprzeciwić się atoli stanowczo wciągnięciu Rosyi do obu tych rokowań, a prowadzić je natomiast w ścisłym oderwaniu od Rosyi; umówić spotkanie osobiste Leopolda z Fryderykiem - Wilhelmem; wogóle, w miarę możliwości, z rąk Anglii przejąć dla Prus kierunek główny całej negocjacji angielskiej i nadać jej mianowicie charakter związku prusko - austriackiego, przy udziale Anglii, skierowanego przeciw Rosyi: takie było właściwe znaczenie tej niezmiernie ciekawej, a niezmiernie ślizkiej, krętej i dwuznacznej instrukcji, oznaczającej punkt zwrotny w dążeniach dworu pruskiego. Zaś najdwuznaczniejszy a najpoważniejszy był w niej ustęp, dotyczący Rzpltej polskiej. Tutaj wypadło z konieczności dotknąć dotychczasowych stosunków pruskich z Rzpltą wogóle, oraz kapitalnego wypadku

dni ostatnich, warszawskiej Ustawy majowej, w szczególności. Otóż, był nasamprzód jeden niepokojący dla Austrii punkt zasadniczy w tamtych stosunkach: pruskie plany zaborcze względem Gdańska, Torunia i przydatków, żywione od samego początku, a oddawna doskonale wiadome rządowi wiedeńskiemu. Był następnie niepokojący dla Austrii punkt zasadniczy drugi w tej Ustawie: związek prawa kardynalnego o tronie dziedzicznym z pruskimi planami sukcesyjnymi względem korony polskiej, popieranemi zwłaszcza od powrotu z Reichenbachu, od jesieni 1790 roku, a również wiadomemi doskonale rządowi cesarza Leopolda. Chodziło tedy o to, aby spraw polskich dotknąć w ten sposób, żeby w obu tych punktach uspokoić obawy Austrii, żeby wciągnąć ją, owszem, do solidarnej odpowiedzialności za robotę pruską w Warszawie, i żeby zarazem, nie wyrzekając się jeszcze przedwcześnie i zupełnie Rzpltej wobec cesarza Leopolda, bądź co bądź, sobie samemu, pruskiemu jej sprzymierzeńcowi, nie zamykać drogi do wyrzeczenia się jej na własną rękę wobec cesarzowej Katarzyny. Z tych wszystkich skomplikowanych natchnień i widoków wynikła w instrukcyi Bischoffwerdera niezrównana w swoim rodzaju redakcyja ustępu o Polsce, gdzie każdy zwrot, każde zdanie, każdy wyraz jest arcydziełem podstępnej i dwujęczycznej rachuby. A więc najpierw Bischoffwerder winien dać cesarzowi zapewnienie bezwarunkowe, iż król pruski w niczem nie przyczynił się do zaprowadzenia dziedziczności tronu (*arrangement de succession*) w Polsce. To zdanie w tej formie było jawnym fałszem, wobec rokowań tajemnych, prowadzonych w tej mierze od jesieni roku zeszłego między Berlinem a Warszawą. Winien jednakowoż dalej oświadczyć wysłaniec, „że było-by rzeczą bardzo łatwą dojść do takiego porozumienia, ażeby nigdy w przyszłości nie mogło być mowy o małżeństwie infantki polskiej—elektorówny saskiej — z księciem któregośkolwiek państwa, sąsiadującego z Rzpltą, ani też o wyniesieniu takiego księżęcia na tron polski na wypadek nowej elekcyi“. W tem znowu zdaniu pierwsza połowa mieściła poparcie uchwał majowych, zaś końcowa wzmianka o „nowej elekcyi“ mieściła ich zaprzeczenie, lub przynajmniej kardynalną modyfikacyę. A teraz zwrot najciekawszy. „Ponieważ gwarancyja granic obecnych Polski i zachowanie wolnej i niezależnej konstytucyi polskiej wydaje się leżeć bardzo na sercu cesarzowi, zaś w równej mierze odpowiada podobnież widokom i interesom Jego Królewskiej Mości pruskiej, niema zatem przeskody, aby pułkownik Bischoffwerder do tego natychmiast nie miał przystąpić“. To najbardziej zastanawiające zdanie w całej instrukcyi odwołuje się oczywiście do ogólnikowych pomysłów gwarancyjnych Leopolda, o których świeżo dostano języka w Berlinie

z florenckich doniesień Elgina; przeistacza prawdziwe znaczenie tych pomysłów, które w żadnym razie nie mogły odnosić się do ostatniego przewrotu warszawskiego, nieznanego jeszcze cesarzowi w chwili ich wygłoszenia; podstawiało, jako konkretny ich przedmiot „konstytucję polską“, to jest nową Ustawę majową, unikając wszelkiej pozytywnej wzmianki o samej tej właśnie Ustawie, dokonanej wprawdzie bez pośredniego udziału Prus, lecz będącej skutkiem całej ich poprzedniej warszawskiej roboty, a następnie formalnie przez nie approbowanej; podsuwało cesarzowi inicjatywę jej „zachowania“, podsuwało mu główną za nią odpowiedzialność, zostawiając Prusom bezpieczną rolę strony trzeciej, przychylającej się zgodnie, „przystępującej“ do życzeń cesarskich w tym względzie. Owóż tutaj, w tem właśnie miejscu, można wskazać palcem najpierwszy początek i źródło, można oznaczyć dokładny moment narodzin owej arcymisternej i arcsypriety insynuacji, godzącej zarówno w Austryę i Polskę, ażeby obydwie razem unurzać w mniemanem zdradzieckim współnictwie, mniemanych wspólnych knowaniach przeciw Prusom, ażeby tym sposobem, w ostatecznym wyniku, za pomocą tego fałszywego oskarżenia, zdjąć z samych Prus hańbę rzeczywistej, podwójnej zdrady, popełnionej przez nie względem obu tych państw, względem obu sprzymierzeńców, na sztych wystawionych przez Prusy, względem cesarza niemieckiego i Rzpltej polskiej. Istąd-to mianowicie, z tego samego natchnienia, które w gabinecie Fryderyka-Wilhelma II podyktowało wykrętne zwroty dyplomatyczne dla zeska-motowania własnej odpowiedzialności politycznej, z tego samego natchnienia, w tych samych widokach pierwszorzędni historyografowie pruscy dzisiejszej doby zacerpnęli ową potwarczą insynuację, rozwijaną przez nich jak najwymowniej i jak najszerzej upowszechnianą, dla zeska-motowania pruskiej odpowiedzialności dziejowej. Pierwsze mogło się udać w polityce. Drugie nie powinno udać się w nauce dziejowej, i zaiste, czas już najwyższy, aby tę nieuczciwą robotę dziejopisarską zdemas-kować i napiętnować wedle zasług ¹⁾.

¹⁾ Elgin natychmiast po otrzymaniu depezy Grenvilla z 19 kwietnia wyjechał z Wiednia za cesarzem; we Florencyi stanął 7 maja; pierwszą audyencyę miał 9; Leopold do Kaunitza, 9 maja: „son arrivé m'a bien étonné, mais bien plus encore les propositions dont il m'a parlé,... sans pourtant me rien montrer par écrit, .. j'avoue que j'avais eru au commencement que tout ceci n'était qu'un jeu comerté avec la cour de Berlin, mais à la fin j'ai été convaincu que toute l'affaire est, et que toutes les propositions en substance sont, que le ministère anglais ne veut pas la guerre et sent qu'il risque son existence en la faisant, que ne sachant comment se tirer d'affaire après toutes les menaces et

Opatrzony taką instrukcją, Bischoffwerder nazajutrz wyruszył z Berlina. Obecna jego missya włoska, podobnie jak poprzednia wiedeńska, była skroś obosieczną. Ale była taką w odwróconym na wspak kierunku. Wtedy, w lutym, jego poselstwo do cesarza było obli-

déclarations faites, il désire se servir de moi... principalement pour sortir de cet embarras". Jest to mały wzorek bystrej przenikliwości cesarza; Elgin do Grenvilla, do Ewarta, 9 maja: Leopold wydaje się być „very anxious to include Poland in the guaranty on the footing on which it is proposed that Turkey should be placed,... he went so far as to suggest the expediency of guarantying not only the possessions but also the constitutions of the different states in Europe“; Jacobi do Fryderyka-Wilhelma, 9 maja, donosi, iż tego dnia dopiero wiadomość o wypadkach warszawskich z dnia 3 maja przysłała do Wiednia, nie mogła więc nadejść do Florencyi przed 14 maja. — Konferencya Goltza z Deputacją 16, komunikat Chreptowicza 17 maja. — Stanisław Potocki przybył do Berlina 20, przyjęty przez król 21 maja; Fryderyk-Wilhelm do Stanisława-Augusta, 23 maja: „j'ai reçu presque en même temps les deux lettres par lesquelles V. M. a bien voulu me faire part de la résolution importante que la Diète confédérée vient de prendre en fixant la succession héréditaire de Son trône en faveur de la maison de Saxe. L'empressement, que j'ai mis à faire connaître ma façon de penser à cet égard, a dû La convaincre ainsi que toute la Nation polonaise de l'intérêt que j'y prends. Je me félicite d'avoir pu contribuer au maintien de sa liberté, de son indépendance, et un de mes soins les plus agréables sera d'entretenir et d'affermir les liens qui nous unissent. Je n'ai pu qu'applaudir en particulier au choix qu'elle a fait“ itd. — O zamiarze wysłania Bischoffwerdera zawiadomił król Schulenburga i Alvenslebena w Charlottenburgu, 25 maja; instrukcja dla Bischoffwerdera, 28 maja, § 7: „comme la garantie de la Pologne dans ses frontières actuelles (te wyrazy tendencyjnie opuszczone przez Sybla, który pierwszy dał wyciągi z tego dokumentu) et le maintien de la constitution libre et indépendante de la Pologne parait tenir fortement à coeur à ce monarque (to jest Leopolda), et n'est pas moins conforme aux vues et aux intérêts de S. M. (te wyrazy znowu przez Sybla opuszczone), rien n'empêche que le colonel Bischoffwerder n'y accède tout de suite .. Il serait très aisé de convenir qu'il ne pourra jamais être question d'un mariage entre l'infante et un prince des trois puissances voisines, ni de l'élévation d'un tel prince dans le cas d'une nouvelle éléction au trône de Pologne et il pourra proposer de convenir de cet exclusion par un article exprès“; § 8: „Il est de la plus grande importance d'écarter toute participation de la cour de Russie sur laquelle le pce Kaunitz et ses adhérens ne manqueront pas d'insister, mais qui serait entièrement incompatible avec les intérêts du Roi et la situation actuelle“. Że pruskie widoki na sukcesyę w Polsce oddawna były wia-

czone głównie na wypadek pożądaney, prawdopodobnej, prawie niezawodnej wojny z Rossyą, a w dalszym dopiero planie — na najgorszy, nieprzewidziany wypadek niedojścia tej wojny; t. j. naprzód było obliczone na zabezpieczenie sobie tyłów od Austrii, a potem dopiero na skompromitowanie jej wobec Rossyi. Obecnie, w maju, położenie o tyle zasadniczo się zmieniło, że wymuszony odwrót pokojowy stał się dla Prus prawie nieuniknionym, a natomiast ewentualność rzeczywistego zatargu z Rossyą z każdym dniem coraz więcej traciła widoków. Zawszeć jednak, aż do końca maja, wedle chwiejnych rachub i przypuszczeń dworu berlińskiego, ta ewentualność nie straciła jeszcze widoków wszystkich, a mianowicie zachowała jedną jeszcze słabą szansę: zbudzenie Anglii do mężniejszej postawy, do demonstracyi dyplomatycznej i militarnej, do zajęcia się wypadkami warszawskimi 3 maja. Pożegnać się z tą ostatnią, uludną szansą, przychodziło niełatwo nawet głowom i sumieniom berlińskim, gdyż znaczyło to, rzecz prosta, pożegnać się ostatecznie z wyniosłemi, rozległemi planami, żywionemi od lat kilku, pożegnać się z wielkością, z ambycyą, z honorem, i cofnąć się nieodwołalnie na drogę zależności, upokorzenia i jawnej zdrady. Ukryta obecność tych ostatnich złudzeń i ostatnich wahań stojącej u rozstajnika polityki pruskiej nadaje dopiero właściwą barwę temu ważnemu i symptomatycznemu dziejowemu świadectwu, jakie stanowi instrukcyja majowa Bischoffwerdera.

Wszelako ta ostatnia chwila niepewności nie miała trwać długo. Już w tydzień po wyjeździe Bischoffwerdera, nadeszły do Berlina decydujące wyjaśnienia z Londynu, od lorda Grenvilla, nowego kierownika spraw zagranicznych w gabinecie Pitta, niepozostawiające żadnych już zgoła wątpliwości o zupełnym i nieodwołalnym odwołaniu rządu brytańskiego. Anglia oświadczała jasno i urzędownie, że wycofuje się bezwarunkowo z całej akcyi, skierowanej przeciw Rossyi, że odmawia wszelkiego nadal w tej akcyi udziału, już nietylko pod postacią zamierzanych pierwotnie kroków wojennych, lecz nawet dyplomatycznego nacisku i demonstracyi zbrojnych, że w szczególności umywa ręce od warszawskiej Ustawy majowej i ani jej bronić, ani też jednym chociażby słowem wstawiać się za

dome w Wiedniu, świadczy korespondencya Cachégo; znaleźliśmy nawet w Arch. wied. memoriał niejakiego barona Saint Pola, Lotaryńczyka, zamieszkałego w Warszawie, dawniej w służbie u Czartoryskich, niedatowany, a pochodzący z września 1790 roku, w sprawie kontr-kandydatury austriackiej za cenę powrócenia Galicyi do Rzpłtej: „il faudra opter entre les deux candidats qu'on ne dissimule plus: un archiduc cadet de la maison d'Autriche et le second fils du roi de Prusse“.

nią przed rządem petersburskim zgoda nie ma zamiaru. Te kateryczne oświadczenia londyńskie, zakommunikowane w Berlinie przez posta angielskiego, Ewarta, w początkach czerwca, wywarły tutaj wrażenie przynębiające. „Jeśli Anglia nic nie chce uczynić,—odezwał się w najwyższym rozdrażnieniu Fryderyk-Wilhelm,—ja sam napewno nie będę wdawał się w bezcelową wojnę“. Natychmiast pośpieszono z zupełnie innego tonu przemówić do Petersburga. Tameczny poseł pruski, Goltz, który zaledwo przed miesiącem miał sobie zleczone osłaniać i tłomaczyć przed rządem rossyjskim Ustawę majową polską, obecnie odbiera wręcz przeciwne rozkazy królewskie. Ma on teraz bez straty czasu, w rozmowach z ministrami cesarzowej Katarzyny, jak najmocniej uwydatnić „analogię interesów pruskich a rossyjskich“, a zarazem ze szczególnem staraniem stwierdzać przy każdej sposobności, że król pruski nie brał żadnego udziału w wypadkach warszawskich 3 maja. To jest zwrot przełomowy. To jest koniec ostatnich wahań i złudzeń. Otrząśnięto się z ostatnich skrupułów. Ze skrętów wijącej się w niepewnościach polityki pruskiej ostatnich tygodni wysunęło się nareszcie żądło powziętego wyraźnego postanowienia. Nowa orientacya polityczna Prus, acz jeszcze nie całkiem dojrzała, już przecie skryształizowała się w pewnym określonym kierunku. Cały najnowszy zawily jej przebieg i wyniki można teraz krótko i ściśle sobie uzmysłwić. Akcyia zaczepna Prus przeciw Rosyi znięcka wstrzymana przez zachwianie się Anglii w kwietniu. W początku maja wypadki warszawskie podniecają omdlewającą energię berlińskiego dworu. Do połowy maja popiera Berlin Ustawę warszawską. Przez drugą połowę maja jeszcze się jej nie wypiera. Instrukcyia Bischoffwerdera z końca maja ujawnia ostatnie podrygi zaczepnej inicjatywy pruskiej, ostatnie oraz resztki samowiedzy sprzymierzeńczej Prus względem Rzpltej. Od czerwca depressyia jest zupełna, odwrót nieodwołalnie postanowiony. Od tej daty, od środka czerwca 1791 r., przymierze polskie z marca 1790 uważać można za nieistniejące dla króla i rządu pruskiego, za porzucone, za zerwane w zasadzie przez Prusy, zanim zostanie zerwane przez nie faktycznie i zamienione na przymierze przeciw Rzpltej polskiej.

Bischoffwerder tymczasem podróżował do Włoch. Po drodze zatrzymał się w Dreźnie. Szeroko rozpowiadał tutaj, na dworze saskim, o swojej nowej, doniosłej missyi, o rychłem porozumieniu się i sojuszu prusko-austryackim, skierowanym przeciw Rosyi. Jak najprzychylniej odzywał się o Rzpltej i Ustawie majowej. Zachęcał elektora do przyjęcia successyi polskiej, obiecywał mu łączne poparcie Prus i Austrii, a przedwszystkiem ostrzegał go, aby tylko nie szukał aprobaty Rosyi, aby nie czynił żadnych zabiegów w Petersburgu, gdyż byłby to

krok najfałszywszy. Nie wahał się oświadczyć, iż taki „krok, uczyniony przez elektora dla pozyskania również zgody cesarzowej Katarzyny, byłby źle widziany zarówno przez króla pruskiego, jakoteż przez cesarza, gdyż wspólny interes obu tych monarchów wymaga oddalenia tego przemożnego wpływu w sprawach polskich i niemieckich, który w takim razie starała-by się sobie przywłaszczyć cesarzowa rossyjska“. To wszystko było dokładnie w duchu owych wahań i złudzeń, jakie jeszcze żywiono w Berlinie w chwili wyjazdu wysłańca pruskiego; było zwłaszcza jak najdokładniej w duchu całej obosiecznej jego instrukcyi, zmierzającej na wszelki wypadek do odosobnienia Rossyi, ażeby tędy, stosownie do okoliczności, bądź zaostrzyć groźbę pruskiego nacisku na rząd petersburski, bądź też wskrzeszenie dawnej przyjaźni pruskiej dla tego rządu jak najwyżej podbić w cenie. Z Drezna, jednym już pędem, Bischoffwerder pobiegł na południe. Leopolda dognał w Medyolanie. Ponowiły się ucieszne sceny lutowe z pierwszej missyi wiedeńskiej tajemniczego „Buschmanna“. Zjawił on się teraz powtórnie, aby oszukać, i sam po raz wtóry został wyprowadzony w pole. Niebawem zresztą doszły go w Medyolanie najświeższe wiadomości z Berlina, o straconych tam, wnet po jego wyjeździe, ostatnich widokach na pomoc angielską i niezbędności corychlejszego pogodzenia się z Rosyją. Upadała tem samem jedyna uczciwsza strona jego dwulicowej missyi. Pozostawała jej strona najdrażliwsza: oderwanie cesarza od cesarzowej, już nie dla ułatwienia sobie przyszłego zatargu z Rosyją, gdyż ta ewentualność ostatecznie została usuniętą, lecz wyłącznie w celu ułatwienia sobie powrotu do Rossyi i zagarnięcia dla siebie w przyszłości monopolu przyjaźni rossyjskiej. Ale tutaj Leopold, głuchy na ponawiane kuszenia berlińskie, tak samo i teraz, jak poprzednio, mocno stał przy swoim najpierwszem *c r e d o*: nie dozwolić żadną miarą Prusom wbić się klinem między związek dwóch dworów cesarskich. Z nieuśpioną ostrożnością wywijał się z zastawionych tutaj na niego siodeł i sprytnie omijał wszelkie propozycye berlińskie, zmierzające ubocznie w tym kierunku. A więc, względem ofiarowanego sobie po przyjacielsku udziału w związku prusko-angielskim wyrażał na ogół chętną gotowość przystąpienia do tej negocyacyi, lecz nie inaczej, jak za wiedzą swojej sojuszniczki, cesarzowej rossyjskiej, i z zastrzeżeniem przyjęcia jej również do tego związku, który skutkiem takiego zastrzeżenia tracił oczywiście całą rację bytu. Podobnie, względem spraw polskich, a w szczególności Ustawy majowej, umywał od niej ręce, odzęgnywał się od wszelkiej z nią solidarności, chyba znowuż pod warunkiem dobrowolnej zgody swojej alliantki, cesarzowej — na co, rzecz prosta, długo wypadło-by czekać. Tym sposobem, lekką ręką odbijał cesarz obosieczną broń instrukcyi berlińskiej, włożoną w niewprawne dłonie.

Bischoffwerdera. Ten wielki mistrz pokątnej dyplomacyi z lubością oddawał się na ziemi włoskiej swoim wysokim i tajemniczym funkcyom, na cztery oczy naradzał się z cesarzem, przyjmowany od niego na poufnych audyencyach, najpochlebniej traktowany, puszył się, wygadywał, składał coraz nowe wypracowania i memoryały, codzień posyłał sekretne doniesienia do swego dworu, i tak parę tygodni napróżno wysiedział w Medyolanie, jak ongi w Wiedniu, demonstrując się coraz więcej, a nie posuwając ani na krok głównych, ukrytych zadań swego skomplikowanego posłannictwa.

Była atoli jedna pierwszorzędnej wagi okoliczność, która nakazywała cesarzowi Leopoldowi inaczej tym razem, aniżeli przy pierwszej próbie na początku roku, bardziej na seryo, skwapliwiej niż wówczas, słuchać dwuznacznych wyrażań przyjacielskich pruskich, nietylko ich nie odpychać, nie lekceważyć, lecz owszem, utrzymać je w toku i prowadzić do wyników pozytywnych — ciągle, naturalnie, pod warunkiem dopilnowania nasamprzód swoich najżywotniejszych interesów rossyjskich i nienarażania się cesarzowej Katarzynie. Tę okoliczność stanowiły sprawy paryskie. Wrzenie rewolucyjne w Paryżu w ciągu ostatnich kilku miesięcy uczyniło zatrważające postępy. Jeśli jeszcze w początku 1791 r. żywiono tam nadzieję uratowania tronu, spodziewano się opanować Zgromadzenie Ustawodawcze, liczono na pomoc kupionego od dworu Mirabeau, przemyśliwano o zachowawczym zamachu stanu — obecnie, po nagłej śmierci wielkiego trybuna, wobec rosnącej przewagi żywiołów skrajnych w Konstytucyjnym Zgromadzeniu, rosnącego w stolicy wzburzenia, ogarniającej kraj cała anarchii, widomie ujawniło się niepodobieństwo ujarznienia niszczącej potęgi żywiołowego przewrotu społecznego. Losy rodzonej siostry i króla arcy-chrześcijańskiego nie mogły być zupełnie obojętne dla Leopolda, ani też zwycięstwo pojęć wyzwolonych w tak blizkiem sąsiedztwie nie mogło być miłym dla Florentczyka a cesarza, z powołania i skłonności naczelnego przedstawiciela uświęconych przywilejów korony i oświeconego despotyzmu. Wszakże ze względami i skrupułami tego rodzaju łatwo dałby sobie jeszcze radę cesarz Leopold. Uczuciowa i teoretyczna strona rzeczy najmniej zdolną była poruszyć zimnego i praktycznego ucznia Machiawela. A nawet skądinąd, jako Habsburg, jako Austryak i Niemiec, potrafiłby z pobłażaniem patrzeć na wypadki paryskie, które, zdawało się, zapowiadały, jeśli nie zupełny rozkład i upadek Francji, to przynajmniej długoletnią jej chorobę i bezsilność, i na długie też lata od groźnego jej spółzawodnictwa uwalniały cesarstwo i Austryę. Ale natomiast z przeciwnej strony wchodziły tutaj w grę przeważające względy innej zupełnie miary, niż przekonania monarchiczne, albo braterskie

uczucia czysto realistyczne własnego bezpieczeństwa i interesu, które przędowszystkiem brał w rachubę taki, jak Leopold, realista, a które wytrącały go z roli obojętnego widza tragedji rewolucyjnej w Paryżu. A mianowicie, nie mógł on dłużej zamykać oczu na ten codzienny wyraźniejszy pewnik, że rewolucya, goniąc za ideałem wszechludzkim, pozostawała z samej istoty narodową i francuską, że nosiła w sobie nie tylko nowe pierwiastki wyzwolone, ale i odziedziczone instynkta zdobywcze, że prowadziła nie tylko do wewnętrznego przeobrażenia społeczności francuskiej, lecz do wojny europejskiej, że w najpierwszym rzędzie prowadziła do wojny z odwiecznym narodowym wrogiem i sąsiadem Francji, domem habsburskim, że, podejmując u siebie walkę z królem Ludwikiem, szwagrem cesarskim, i długoszyją królową Austriaczką—l'Autriche, jak Maryę-Antonię wyobrażały karykatury rewolucyjne—gotowała się do wystąpienia na szerszej arenie, do walki z cesarzem i Austrią. Leopold tej wojny nie chciał, czynił wszystko, aby jej uniknąć, lecz zaczynał przewidywać bliską chwilę, kiedy będzie mu narzuconą, wypowiedzianą przez Rewolucyę. Owóż, wobec takiej groźby od Zachodu, musiał pomyśleć zawczasu o zabezpieczeniu się z innych stron niezastłonięnych, a nasamprzód ze strony najwięcej narażonej, od ściany pruskiej. Na wypadek wojny z Francją, położenie cesarza względem Prus było poniekąd takie samo, jak położenie Prus względem niego, na wypadek wojny z Rosyją. Jemu z kolei teraz chodziło o to, aby ostonić sobie tyły od Prus, w chwili francuskiej napaści, aby nie tylko zawarować sobie ich przyjacielską neutralność, lecz dla większej pewności wciągnąć je bezpośrednio do wojny francuskiej. Nadto i o tem wypadało mu myśleć, aby z góry zapobiedz wyzyskaniu przez Rosyję jego kłopotów francuskich, przeszkodzić rozgospodarowaniu się cesarzowej Katarzyny nad Wisłą, kiedy on będzie zajęty nad Renem: a i na te troski skutecznem było lekarstwem zbliżenie z Prusami, dokonane ostrożnie, stopniowo, z zachowaniem wszelkich względów dla drażliwości Petersburga, dokonane z prostotą, bez tajemniczości, prawie w poufałym porozumieniu z północną sojuszniczką, prawie dla niej obojętne, prawie po jej myśli, a jednak przydatne dla zastanowienia, dla ukrócenia zbytniej niezależności, dla pomiarkowania zbyt samodzielnych w Polsce zapędów petersburskiego dworu. Takie to doniosłe, trudne, zawile zagadnienia, narzucała Leopoldowi siła wyższa kataklizmu rewolucyjnego, coraz potężniej wstrząsającego Francyę. Całej wytrawności politycznej cesarza, całej jego sztuki dyplomatycznej nie było zanadto, aby opanować niebezpieczną płataninę tych wszystkich kombinacji. A stawały się one wszystkie coraz bardziej naglące z każdym dniem rewolucyjnego roku 1791, w miarę zastraszających postępów tamtego kataklizmu. Tym sposobem stało się,

iż już teraz, w czerwcu, inaczej zupełnie musiał liczyć się Leopold z Prusami, aniżeli jeszcze w lutym, inaczej zgoła traktować teraz drugą misję Bischoffwerdera, aniżeli pierwszą, kiedy go był odprawiał jak głupca z Hofburga i piętnował jako oszusta przed cesarzową Katarzyną.

Co więcej, obecnie, w tej samej chwili, kiedy cierpliwie, ze spokojną twarzą, słuchać musiał w Medyolanie namaszczonej wymowy pokątnego agenta pruskiego, cesarz, w głębi duszy nurtowany straszonym niepokojem, z godziny na godzinę gorączkowo wyczekiwał decydujących wieści z Paryża. Była to właśnie chwila krytyczna, kiedy w Paryżu, w radzie królewskiej, pośrodku rozszalałej zawieruchy rewolucyjnej, zdobyto się na krok stanowczy a niezmiernie ryzykowny: ucieczkę króla ze stolicy. Dla tej niebezpiecznej wyprawy wybrano ostatnie dni czerwca. Istotnie, w nocy z 20 na 21 czerwca, Ludwik, Marya - Antonina i delfin, w przebraniu, uspiwszy czujność przystawionych straży, potajemnie uszli z Tuileryów, wydostali się za rogatki miejskie, pobiegli ku granicy zachodniej. Większą część drogi odbyli szczęśliwie. Nazajutrz nastąpiła katastrofa: aresztowanie króla i rodziny w Varennes. Wiadomość o nieszczęściu doszła Leopolda w Padwie. Niepodobna było ludzić się co do konsekwencji tego wypadku. Ludwik, odwieziony do Paryża, został więźniem, faktycznie przestał być królem, niebawem zostanie skazańcem. Katastrofa paryska stawała się europejską. Niezwłocznie, z Padwy, wydał Leopold odezwę okólną do wszystkich głów koronowanych Europy, nawołującą do wspólnego wdania się w sprawy francuskie, dla odwrócenia wspólnego niebezpieczeństwa, jakie stamtąd zagraża wszystkim społecznościom monarchicznym. W przewidywaniu niechybnego teraz targu z Francją rewolucyjną, przystąpił jednocześnie cesarz, bez żadnej już zwłoki, do koniecznego zabezpieczenia się od Prus i formalnego z nimi porozumienia. Zaofiarował im odrazu odwlekaną dotychczas pacyfikację turecką i podniesienie układów szystowskich, powtórnie przerwanych tymczasem, w połowie czerwca, ze strony austriackiej. Bischoffwerdera, dla umówienia szczegółowszych warunków, wyprawił do Wiednia, gdzie oddał go w wytrawne ręce Kaunitza i Spielmanna. Oczywiście, główną treścią rokowań z agentem pruskim uczyniono teraz sprawy francuskie. To przechodziło jego instrukcję. Oczywiście też, główną podstawą tych rokowań uczyniono wspólność z Rosją i zgodę aliantki rosyjskiej. To wprost sprzeciwiało się jego instrukcyi. Ale Bischoffwerder dał się przekonać. Sprytny awanturnik, sztukmistrz doświadczony, mógł on prym trzymać w dziedzinie berlińskich intryg dworskich, w towarzystwie godnych siebie spółzawodników, kawalerów Róży i Krzyża, nekromantów i stręczycieli; ale w wielkich sprawach międzynarodowych, naprzeciw prawdziwych mężów stanu,

jak cesarz i kanclerz austriacki, był bezradny i bezbronny, z działacza stawał się narzędziem, z przemądrego oszusta oszukiwanym manekinem, i konieckońcem, zadufany w swoim sprycie szarlatana, zaślepiony swoją powagą negocyatora, żądny osobistego udziału w tajemniczej, wielkiej, nadzwyczajnej akcji politycznej, nie zdawał sobie nawet dokładnie sprawy, kiedy tę akcyę, za jego mimowolnem pośrednictwem, wyprowadzano na zgoła odmienne szlaki, w zgoła innym kierunku, aniżeli pierwotnie była zamierzana przez niego i jego mocodawców. Tak stało się i w obecnym wypadku. Napróżno ministrowie berlińscy, Schulenburg i Alvensleben, fachowcy większego doświadczenia, niedowierzający zresztą samemu agentowi królewskiemu, ostrzegać go przed „włoską“ przebiegłością Leopolda. Napróżno zalecali mu mieć się szczególnie na baczności w sprawach francuskich i uchylać się od wszelkich krępujących zobowiązań do czynnej w tych sprawach interwencji dworu pruskiego. Bischoffwerder również mało liczył się z temi ostrzeżeniami, jak z treścią swojej instrukcyi. Zresztą nie bardzo on się liczył z treścią jakichkolwiek zobowiązań, a więc i tych, które w imieniu Prus miał zaciągnąć względem Austrii. Liczył się najwięcej z osobistą swoją rolą chwilową europejskiego pośrednika. Tej wielkiej, poufnej negocyacji europejskiej, powtórnie jemu powierzanej, już tym razem postanowił nie wypuścić z ręki. Nie czynił wielkich trudności dyplomatom austriackim. Nie oparł się ujmującej łaskawości cesarza, koleżeńskiej poufałości wielkiego Kaunitza, miódopłynnej wymowie giętkiego Spielmanna, — nie oparł się też, jak się zdaje, wymowniejszym, brzęczącym argumentom, trafiającym do niego od zbiegłych ksiąząt i emigracyi francuskiej.

Tak doszła, w Wiedniu, już w lipcu, podpisana przez Bischoffwerdera i Kaunitza, przedwstępna konwencya sprzymierzeńcza prusko-austriacka. Zapowiedziane w niej zawarcie „formalnego traktatu przyjaźni i przymierza między domem austriackim a brandenburskim“, w najbliższym czasie, a mianowicie zaraz po dojściu pokoju między Rosyją a Portą Otomańską. Zawarowane przystąpienie do tego związku innych mocarstw, a mianowicie, — oprócz dwóch morskich, Anglii i Hollandyi, oraz elektora saskiego, — w pierwszym rządzie zastrzeżone przystąpienie cesarzowej rosyjskiej. Sam ów zapowiadany przyszły traktat formalny przymierza prusko-austriacki, oprócz zwykłych warunków: potwierdzenia dawniejszych umów wzajemnych, poręczenia terytoryów itd., polegać będzie przedewszystkiem na tem, iż obiedwie sprzymierzające się strony główne, Austria i Prusy, w myśl padewskiej odezwy okólnej cesarza, natychmiast czynnie przystąpią do urzeczywistnienia interwencji międzynarodowej w sprawach francuskich. Co się tycze w szczególności spraw polskich, „dwory wiedeński i berliński zawarą porozumienie, do którego zaproszą również dwór

rossyjski; aby nie przedsięwziąć żadnego naruszenia całości i zachowania wolnej konstytucyi polskiej; aby nie starać się o wprowadzenie kiedykolwiek księcia ich domu na tron polski, ani przez małżeństwo z księżniczką infantką (saską), ani w razie nowej elekcji; aby wreszcie, w jednym albo w drugim wypadku, nie używać swego wpływu dla obioru przez Rzpltą jakiego innego kandydata, chyba za wspólną w tym względzie zgodą“.

Taką była treść osławionej konwencji wiedeńskiej. Znaczenie jej europejskie było pierwszorzędne. Stanowiła ona poniekąd dla Prus uzupełnienie reichenbachskiej przegranej. Oznaczała nową wygraną Leopolda. Wychodziła w całości na dobro cesarza i Austrii. Łącząc w niernaturalnym, nieszczerym, ale tembardziej uderzającym, głośnym i ostentacyjnym sojuszu, dwie najpierwsze, spółzawodnicze dotychczas, potęgi niemieckie, Austryę i Prusy; godząc, chociażby tylko z pozoru, dwóch nieprzejednanych dotychczas wrogów, dom Habsburgów i Hohenzollernów; z napastowanym dotychczas suzerenem - cesarzem bratając, chociażby tylko dla oka, brandenburskiego wasała-napastnika, —konwencya przedwstępna wiedeńska tem samem dobijała ostatnie resztki przeciwcesarskiego „Związku książąt“, ostatnie ślady Fryderykowego *Fürstenbundu*, psuła przeciwhabsburską robotę Fryderyka Wielkiego dyskredytowała przeciwaustriacką politykę Prus w Niemczech. Zarazem, przynajmniej z wyraźnego brzmienia umówionych tutaj zobowiązań, zabezpieczała Austryę od Prus w stosunku do Francji, i zrywała tradycyjne powinowactwo polityczne między Paryżem a Berlinem, oparte na wspólnej obu z Wiedniem rywalizacji. Z tego względu, właściwie, wiedeńska konwencya austro-pruska 1791 roku przeciw Francji była poprostu odwróconem nawspak wersalskiem przymierzem austro-francuskim 1756 roku przeciw Prusom,—z tą tylko kapitalną różnicą, że Francya Ludwika XV dotrzymała swoich zobowiązań aż do samego końca w wojnie siedmioletniej, zaś Prusy Fryderyka Wilhelma II przy najpierwszej okazji miały złamać swoje zobowiązania w wojnach rewolucyjnych. Tyle co do Europy, co do Niemiec i Francji, co do Zachodu. Co się teraz tycze Wschodu, a w szczególności Rzpltej polskiej, to konwencya przedwstępna wiedeńska z lipca 1791 roku, ogolona z fałszywych obłonek, uważana w istotnej nagiej swojej treści, nie przedstawia się w gruncie rzeczy niczem innym, jeno pierwszym sformułowaniem pisemnem i publicznem tego stanowczego przełomu w polityce pruskiej, który był dokonany się w Berlinie przed miesiącem, w połowie czerwca, to jest była pierwszym urzędowym i publicznym krokiem tej polityki w kierunku ostatecznego wyrzeczenia się wszelkiej akcyi zaczepnej przeciw dworom cesarskim, a zarazem w kierunku zupełnego wyparcia się przymierza polskiego, jako niezbędnego dotych-

czas, teraz już zbytęcznego czynnika onej dotychczas planowanej, obecnie usuniętej akcji. Wprawdzie z pozoru mogło się wydawać inaczej. Mogło się wydawać, iż rzeczona konwencya, odwołując się do „nietykalności“ Rzpltej, do praw sukcesyjnych „infantki“, do „wolnej konstytucyjności polskiej“, liczyła się jeszcze i z ostatnimi natchnieniami pozytywnymi, tułającymi się jeszcze w instrukcyi majowej Bischoffwerdera, i z przewrotem ustawodawczym warszawskim, i z traktatem sprzymierzeńczym z Rzpltą. Ale to były tylko pozory. Najważniejszy punkt tamtej instrukcyi: wyłączenie Rossyi od rokowań z cesarzem, został w konwencyi przełamany przez przeciwne zastrzeżenie o dopuszczeniu do nich Rossyi. Najważniejsza zawartość dzieła majowego, uchwała sukcesyjna, została w konwencyi przełamana przez otworzoną przeciwną ewentualność „nowego obioru“, oraz przez postawiony niewykonalny warunek approbaty Rossyi. Najważniejsza treść przymierza marcowego: ochrona niezawisłości Rzpltej w drodze jej usamowolnienia i naprawy, została w konwencyi przełamana przez podniesienie na nowo pojęcia gwarancyi sąsiedzkiej, i to po dawnemu, z nieuniknionym udziałem i pod przewodnictwem naturalnem Rossyi. Wobec tych głównych i zasadniczych znamion negatywnych umowy przedwstępnej wiedeńskiej, cóż naprawdę pozostaje z jedynej uczynionej w niej wzmianki pozytywnej o „zachowaniu wolnej konstytucyjności polskiej“ (*maintien de la libre constitution de la Pologne*)? Ta wzmianka, interpretowana powierzchownie, mogła-by zapewne, na pierwszy rzut oka, nasunąć najbliższe przypuszczenie, iż odnosi się bezpośrednio do ostatniego przewrotu warszawskiego. Tymczasem, przy bliższem w rzecz wejrzaniu, w świetle tamtych negatywnych punktów wyjścia aktu wiedeńskiego, ta jedyna, dodatnia na pozór wzmianka, wyrażona z umysłu sposobem ogólnikowym i ciemnym, z umyślnem ominięciem wyraźnego powołania się na nowe, obowiązujące ustawodawstwo polskie, traci wszelką realną wartość polityczną, traci pozorną doniosłość prawnej poręki Trzeciego maja, a ukazuje się natomiast w rzeczywistości swojem znaczeniu, czyli raczej w rzeczywistej swojej nicości, jako świadomy dwuznacznik, nieobowiązujący do niczego, jako frazes, będący właściwie tylko echem takich samych zwrotów o „poręczeniu konstytucyjności polskiej“, to jest o poręczeniu anarchii polskiej, mieszczących się w zabójczych traktatach Fryderyka II z cesarzową Katarzyną z 1764 i 1769 r., — jednym słowem, ukazuje się poprostu, jako sprytny wykręt, dający się zastosować zarówno i do zbawiennych uchwał majowych i do najgubniejszych uchwał przeciwnych, jako fortel dyplomatyczny najgorszego gatunku, już z góry przeznaczony na to tylko, aby osłonić i ułatwić postanowiony już i rozpoczęty odwrót polityczny. Odwrót, w czerwcu uchwalony jednostronnie w Berlinie, w lipcu tylko prze-

obraził się na zobowiązanie dwustronne w Wiedniu. Tak więc, koniec końcem, wiedeńską konwencyę sprzymierzeńczą prusko-austriacką z lipca 1791 roku należy uznać, ze strony Prus, za pierwszy publiczny akt międzynarodowy, z istoty swojej, jeśli nie z dosłownego brzmienia, zgoła przeciwny warszawskiej umowie sprzymierzeńczej prusko - polskiej z marca 1790 roku.

Bezpośrednim skutkiem dokonanego porozumienia austro-pruskiego było dojście formalnego pokoju cesarza z Portą. Wspomnieliśmy, iż w połowie czerwca układy pokojowe szystowskie były zerwane przez pełnomocników austriackich, Esterhazego i Herberta, którzy, wbrew obietnicom reichenbachskim, zaczęli upominać się o większe nabytki terytorjalne nad Unną, czyli o tak zwany stan przedwojenny „ulepszony“. Medyator pruski w Szystowie, Lucchesini, upierał się natomiast mocno przy reichenbachskiej zasadzie *status quo strict.* bez żadnego dla Austrii zarobku. Tutaj jednak wypadła ugodowa missya włoska Bischoffwerdera. Zgodzono się na ustępstwa wzajemne. Zerwane rokowania zostały odnowione, i w najkrótszym czasie, wnet po podpisaniu konwencyi wiedeńskiej, doprowadziły do podpisania traktatu pokoju austro - tureckiego w Szystowie, w początku sierpnia. Na mocy tego traktatu, Austria, kosztem czteroletniej, krwawej i rujnującej wojny, kosztem 150 tysięcy poległych żołnierzy i dwustu milionów wydatkowanych florenow, nabywała Starą Orsowę i kilka wiosek tureckich. Ale mogło być gorzej: i zaiste, cesarz Leopold dosyć miał powodów powinnować sobie takiego jeszcze wyjścia z fatalnej spółki tureckiej, zawartej przez jego poprzednika z cesarzową Katarzyną.

Uskutecznioma nareszcie po tylu odwłokach pacyfikacya szystowska ułatwiała dalsze zbliżenie pomiędzy Wiedniem a Berlinem. Już z końcem sierpnia nastąpiło spotkanie osobiste Leopolda z Fryderykiem - Wilhelmem. Dwaj nowi przyjaciele zjechali się w zamku Pillnitz pod Dreznem; Cesarz przywiózł ze sobą następcę tronu, arcyksięcia Franciszka, król pruski przybył w towarzystwie młodego kronprinza, oraz nieuniknionego Bischoffwerdera, którego oczywiście nie mogło brakować przy spotkaniu, wieńczącem poniekąd jego osobistą robotę. Trzy dni spędzono razem pod gościnnym dachem elektora saskiego. Nie szczędzono sobie z obu stron kompletów, zapewnień przywiązania i wierności sprzymierzeńczej. Spraw polskich unikano starannie, choć sama już obecność gospodarza, elektora Fryderyka-Augusta, musiała co chwila przywozić je na pamięć. Zajmowano się głównie sprawami francuskimi, o których z natarczywością przypominał obu monarchom nieproszony świadek ich zjazdu, hr. Artois, brat Ludwika XVI, i krzykliwa zgraja emigrantów, przybyłych z nim razem do Pillnitz. Skończyło się na podpisaniu zobopólnej deklaracyi przez Leopolda i Fryderyka-Wilhelma, gdzie zapowiadali

łączone wystąpienie w obronie króla Francji, obiecując „działać szybko, jednogodnie, z użyciem niezbędnej siły zbrojnej“. Jednak od tego oświadczenia daleko było jeszcze do rzeczywistej akcji czynnej. Nie kwapił się do takiej akcji ani cesarz, ani król pruski. Obadwaj w dalszym ciągu, aż do końca roku, zachowywali postawę wyczekującą wobec wypadków paryskich. Potwierdzenie nowej karty konstytucyjnej przez Ludwika XVI, we wrześniu, zdawało się nawet przez czas jakiś obiecywać uciszenie się namiętności rewolucyjnych we Francji. Niedługo trwała ta pozorna cisza. Była to cisza przed gwałtowniejszą jeszcze burzą. Po otwarciu Zgromadzenia Prawodawczego w Paryżu stało się jawnem, iż przewodniczące w niem stronnictwo Żyrondy zmierza wprost do zburzenia nowej ustawy monarchicznej, do obalenia tronu, do ustanowienia formy rządu republikańskiej, i że zarazem, dla urzeczywistnienia tych widoków, zmierza do wojny. W grudniu odebrał Leopold ponowne naglące błagania o pomoc, o interwencję, od Ludwika i Maryi-Antoniny. Pod takim naciskiem odnowione zostały w Berlinie, w styczniu 1792 roku, dalsze układy w sprawie doprowadzenia do końca przymierza prusko-austriackiego, którego ogólne dopiero zasady rzucone były na papier w konwencji przedwstępnej wiedeńskiej i sankcyonowane na zjeździe pillnitzkim.

Nowe układy berlińskie prowadzone były ze strony cesarza przez posła austriackiego, ks. Reussa, ze strony Prus — przez Bischoffwerdera, przy udziale Schulenburga i starego Finckensteina. Oparto je, pod względem formy, na gotowym wzorze dawniejszego wersalskiego traktatu austro - francuskiego z 1756 roku, który, jak wskazaliśmy, przedstawiał zasadniczą analogię wewnętrzną z nowym zwrotem polityki austriackiej, będącym tylko podstawieniem związku z Prusami przeciw Francji na miejsce dawniejszego związku z Francją przeciw Prusom. Pod względem treści oparto się w całości na ustalonych już zasadach umowy przedwstępnej wiedeńskiej z lipca 1791 roku. Jednakże, kiedy przyszło do sformułowania onych zasad konwencji wiedeńskiej pod postacią artykułów nowego berlińskiego traktatu, na pierwszej zaraz naradzie z Reussem wystąpiono ze strony pruskiej z żądaniem pewnej, nader znaczącej zmiany. Chodziło o artykuł, dotyczący Rzpltej polskiej. Prusacy zażądali, aby, zamiast wzmianki, uczynionej w konwencji, o „zachowaniu wolnej konstytucji polskiej“, wniesiono do traktatu wzmiankę o „zachowaniu wolności, albo niepodległości Rzpltej, żeby uwydatnić z większą jasnością, iż nie chodzi tutaj jeszcze bynajmniej o konstytucję obecną w szczególności“. Ostatecznie, za zgodą rządu wiedeńskiego, stanęło na tem, iż do odpowiedniego artykułu traktatu wniesiono wyrazy: „*maintien d'une libre constitution de la Pologne*“, zamiast wyrażenia: „*de la constitution*“, użytego w konwencji. „Tym sposobem — tak ministrowie pruscy zda-

wali sprawę królowi ze sprytnej poprawki redakcyjnej — warunek ni-
niejszy staje się najzupełniej ogólnikowym i może być zastosowany do
każdej żywnie konstytucyi, którą, stosownie do okoliczności, chciano-
by uważać za wolną“. Ta zmiana redakcyi jest niewątpliwie ze wszech
miar charakterystyczną i nauczającą. Wskazuje ona dalszy krok dworu
berlińskiego w kierunku zrzucenia się z obowiązków sprzymierzeń-
czych względem Rzpltej, wskazuje coraz wyraźniejszą dążność pozbycia
się nawet pozorów jakiegokolwiek solidarności z polskim sojusznikiem. Co
do rzeczy samej, nie będziemy atoli tej spóźnionej poprawce redakcyj-
nej przypisywali żadnego przełomowego znaczenia, skoro już we wcze-
śniejszem, obłudniejszem brzmieniu odpowiedniego ustępu konwencyi
wiedeńskiej, stwierdziliśmy faktyczne wyrzeczenie się przez Prusy
przymierza polskiego. To wyrzeczenie się, ostatecznie zadecydowane
w radzie króla pruskiego w czerwcu 1791 roku, okryte jeszcze zasłoną
dwuznacznika dyplomatycznego w konwencyi wiedeńskiej z lipca t. r.,
zostało tylko z większą otwartością ujawnione w dosłownem już brzmie-
niu traktatu berlińskiego z lutego 1792 r. W dalsze szczegóły rzeczono-
go traktatu wchodzić tutaj niema potrzeby. Był on zresztą jedynie
dalszem rozwinięciem umowy przedwstępnej wiedeńskiej i formalną
sankcyą odpornego związku sprzymierzeńczego między Austryą
a Prusami ¹⁾. Poręczano sobie tedy obopólnie swoje posiadłości, obie-
cywano wspomagać się nawzajem przeciw obcej napaści, zobowiązy-
wano się z każdej strony do dostarczenia na pierwsze potrzeby dwu-
dziesiątosięciennych posiłków, załatwiano polubownie cały szereg drob-

¹⁾ Bischoffwerder do Fryderyka Wilhelma, z Drezna 1 czerwca 1791 r.;
do Medyolanu przybył 10, nazajutrz przyjęty przez cesarza; wiadomość o aresztowaniu
Ludwika doszła Leopolda w Padwie 1 lipca; cyrkularz Leopolda do monarchów, 6 lipca;
§ dodatkowy konwencyi wiedeńskiej 25 lipca: „les cours de Vienne et de Berlin
conviendront et inviteront la cour de Russie de convenir avec Elles, qu'Elles
n'entreprendront rien pour altérer l'intégrité et la maintien de la libre constitution
de la Pologne, ni par un mariage avec la princesse infante, ni dans le cas d'une
nouvelle élection“, por. §§ 4 tajne traktatów prusko-rossyjskich 11 kwietnia 1764
i 23 października 1769 roku: „garantir la République du renversement de sa
constitution“. Leopold do Kautitza, 26 lipca 1791 roku. Traktat pokoju szystowski
4 sierpnia; zjazd w Pillnitz, 25, deklaracya 27 sierpnia. Wniosek Schullenburga
na konferencyi z Reusem, 13 stycznia 1792: „maintien de la liberté ou de
l'indépendance de ce royaume, comme indiquant avec plus de clarté, qu'il ne
s'agit pas encore de la constitution présente individuellement“; raport ministrów
dla Fryderyka - Wilhelma, 3 lutego: „en substituant à l'expression de la libre
constitution, celle

niejszych kwestyi spornych, — w końcu, i to najważniejsza, z obu stron najskwapliwiej warowano akces Rossyi, a tem samem niepowrotnie wydawano na łaskę losu Rzpltą polską.

Albowiem nie we Wiedniu jnż, nie w Pillnitz, nie w Berlinie, ale w Petersburgu zapadał wyrok ostateczny o losach Polski .

SZYMON ASKENAZY.

d'une libre constitution, ce qui rend la stipulation absolument générale et adaptée à toute constitution, que l'on voudrait selon les circonstances regarder comme libre“; Reuss do Kaunitza, 6 lutego; § séparé traktatu berlińskiego, 7 lutego; konfrontacya obu tekstów berlińskiego traktatu 1792 roku i wersalskiego 1756 r., w Analec. Rankego. Por. odmienną mylną wykładnię Kalinki: „Polit. dw. austr.“, Liskego: „Konst. 3 maja i mocar. niem.“, Smolki: „Stanow. moc. wob. konst. 3 maja“, i jeszcze u Smoleńskiego: „Ostatni rok“, wzięte od poprzedników zdanie: „preliminarya 25 lipca, zatwierdzone na zjeździe w Pillnitz, zapowiadały trwałość konstytucyi“.

Gimnazjum.

Wobec wieści, obiegających po piśmie peryodycznych, o mającej nastąpić rewizji zasad edukacyjnych w gimnazyach, budzą się wśród społeczeństwa różne kombinacje, dotyczące wychowania przyszłych pokoleń; na pierwszym zaś miejscu stawia się pytanie: jaki jest cel, jakie przeznaczenie szkoły średniej? Pytanie to tak ściśle wiąże się z kwestyą ekonomiczną, iż prawie niepodobna rozwiązywać go bez jej poruszenia.

Ponieważ niema edukacji bezpłatnej, dla posyłania więc synów do gimnazjum potrzebnym jest przedewszystkiem pewien stopień za-
możności rodziców, takich zaś, względnie do ogółu ludności, jest liczba najmniejsza. Dla kształcenia zatem reszty młodych pokoleń pozostają szkoły ludowe, miejskie, rzemieślnicze, zawodowe i t. p., czyli: i tu, jak wszędzie, bogactwo ma swój naturalny przywilej, równający się niemal sile żywiołowej. Był-by to jeszcze mniejszy kłopot, gdyby w tem dążeniu do wykształcenia wzrastających pokoleń nie przychodził nowy czynnik, a z pewnością najważniejszy: indywidualne uzdolnienie wychowanka, z czem się dotąd kierownictwo wychowawcze zgoła nie liczy i liczyć nie ma prawa. Edukacja publiczna idzie w tym kierunku i trybie, jak-

by duch, przewodniczący zadaniu, powiedział sobie: talenty, przodownicy i pionierowie znajdują się *in nuce* tylko w klasie pieniądze dobrze zaopatrzonej; jeśli więc klasa ta posiada dobrze zaopatrzoną szkołę, jak gimnazjum i uniwersytet, to stanie się wszystko, czego potrzeba do produkowania sił umysłowych, wystarczających na przyszłość. Ile przez to ograniczenie ginie zdolności wyższych, specjalnych, w rozmaitych zakresach wiedzy, lub sztuki, nie wiemy; ale że giną, dowodem jest tego choćby ta garstka, która tu i owdzie zdołała się z materialnego poziomu wybić ku szerszym horyzontom; jużciż godzi się przypuścić bez ujmy logice, że gdyby nie brak środków materialnych, zbierać-by można takich nie garstką, lecz garściami. Lecz, pomijając rzecz tę, która, jako ekonomiczna, zaraz nasuwa tysiącne kwestye z poza pedagogii czystej, jak: nadmiar intelektualizmu, proletaryat naukowy i t. p., pozostać musimy przy warunkach, ustanowionych, odnośnie do szkoły średniej, przez prawodawstwo aktualne.

Cel nauki gimnazjalnej może być dwojaki. Będzie to albo marszruta do zakładów wyższych, uniwersytetu, instytutów specjalnych; albo zaokrąglony kurs wiadomości, całośćka oświaty, wystarczająca na dalsze życie, wzbogacana dowolnie późniejszymi wiadomościami, lecz bez odpowiedzialności, zatem i bez przywilejów państwowych. Czy w jednym gimnazjum łatwo czyni się zadość obu tym stronom? Pozornie tak-by się zdawało, tak się przynajmniej postępuje, jakby nikt o tem nie wątpił. Bliższe wejrzenie w wyniki wykazuje przecież co innego, zwłaszcza pod względem społecznym.

I tak: Nie wspominam zupełnie o skończonych akademikach: ci, po ukończeniu odnośnych wydziałów, nietylko zadowolili umysł i mogą dalej bez niczyjej pomocy, swobodnie, o własnych siłach, płynąć po oceanie nauki, znając wszystkie jego tajemnice, i zgłębiać je w miarę usposobień; ale są to przytem gotowi członkowie społeczeństwa, które, polegając na ich udowodnionej wiedzy, może im śmiało powierzać pewne posterunki, nad dobrem i postępem swym czuwające. Są to szczęśliwi wybrańcy, czoło narodu — zatem występują poza wszystkie kwestye. Lecz zstąpmy nierównie niżej. Uczeń, który ukończył naprzykład szkołę techniczną, wprawdzie o wielurzeczach nie słyszał, o wielu ma pojęcie słabe, albo nie ma żadnego, lecz jest pewna wiązka harmonijnie skojarzonych wiadomości, którą on musiał poznać doskonale, nim go wypuszczono; jest pewna grupa czynności, które on dokładnie wykonać potrafi, słowem: maleńki, lecz zaokrąglony pewną równowagą, świeatek wiedzy pozytywnej. Ponieważ zaś istnieją i zawsze istnieć będą pewne potrzeby, wymagające takich właśnie wiadomości i takich czynności, więc społeczeństwo wykwalifikowanych ku nim zawsze poszukiwać będzie, a znalazłszy, stosownie i chętnie ich zużytkuje. Są to zawodowcy w kie-

runku ściśle określonym, jakkolwiek na ograniczonym mniej więcej poziomie. Można ich żałować, iż niektóre rzeczy, innym otwarte, dla ich umysłu pozostaną wieczną tajemnicą, że awans społeczny jest dla nich powstrzymany, że będą to tylko zawsze szeregowcy, albo feldfeble w armii społecznej, lecz nie są to ludzie nieszczęśliwi, jeśli z lekkim sercem znoszą swe położenie, skądinąd szanowne i użyteczne.

Inaczej się rzecz ma z uczniem gimnazyum. Wchodzi on, jak katechumen, do przedsionka świątyni wiedzy ogólnej i sposobi się dopiero do wejścia w jej wnętrze. Szczęśliwy, jeżeli po wejściu wychodzi z tego wnętrza inicjowanym i wyświęconym na kapłana. Lecz jeżeli, czy to z postanowienia, czy z losu, wypadnie mu z tego przedsionka wejść nie do wnętrza świątyni, lecz wyjść wprost na ulicę, jakież wtedy jego położenie?

W gimnazyum nabył wiedzy niewątpliwie, ale jakiej? Uczył się tam w znacznej części tego, czego uczą w uniwersytecie; słuchał historii, geografii, matematyki, fizyki, umiejętności przyrodniczych, zasad astronomii, przykładał się do języków starożytnych i nowożytnych, uczył się stylistyki i literatury; słowem: nabył wiedzy wszechstronnej, lecz tylko w miniaturze, albo w szczegółach niezrównoważonych i niezaokrąglonych w całość. Umysł jego podniósł się, wzmocnił, wzbogacił, ale też i cała jego psychologia doznała silnej modyfikacji. Póki był dzieckiem, nie zdawał sobie sprawy z celów i wartości nauki, celem jego uczenia się było otrzymanie promocji. Lecz nauka nie jest to istota sucha i martwa; ona działa, opanowuje, każe liczyć się z sobą nie dla celów postronnych, ale i dla samej siebie. Odczuwa to ogromnie 18 lub 19-letni młodzieniec, po skończeniu gimnazyum. Widzi się istotą intelektualnie wyższą od masy czerni, o którą się codziennie na ulicy ociera. Jakież jest jego zdumienie, gdy po kilku próbach i doświadczeniach okaże się, że, jako działacz społeczny, nikomu na nic nie jest potrzebny i do niczego rzeczywiście nieprzydatny, tylko na korepetytora, i to dopóki mu nie wywietrzeją z głowy *non bene junctarum discordia semina rerum*. Zdumienie jego powiększy się, gdy zobaczy, że ci, z którymi on rozpoczął edukację, ale którzy szli po innych, węższych i krótszych drożynach, ukazują się społeczeństwu przydatniejszymi, gdyż ono już ich zużytkowało; a rozpacz ogarnąć go może, skoro zobaczy później swych dawnych kolegów, wychodzących z dyplomami uniwersyteckimi.

Teraz dopiero rozumie, że, wyszedłszy z gimnazyum, zawisł niejako w powietrzu, między niebem i ziemią, tak w znaczeniu czysto intelektualnym, jak społecznym. Jeżeli duch jego dał się pociągnąć powabom wiedzy, jakże mu żal, że porzucił jej szlaki! Jakaż tęsknota za ukochanym obliczem i głosem, przynoszącym coraz nowe dźwięki! Jeżeli

potrzebuje pracy zarobkowej. jakież upokorzenie, że mu jej odmawiają wprost dla braku kwalifikacji specjalnej, że przed nim pożądanym jest handlowiec, rękodzielnik, agronom i t. p., niż on ze swym Homerem, Newtonem i tym podobnymi potęgami. Czyż dla podtrzymania życia ma zwrócić się na te inne drogi, obok których przeszedł z lekceważeniem? Łatwo to powiedzieć. Wyobraźnia, rozbujana wielkim humanizmem i abstrakcją, nie snadno zgodzi się na takie ustępstwo. Przypomnijmy sobie, jak to przykro powracać z góry, przedstawiającej choćby chwilowo wspaniałe, rozległe widoki, na dolinę, zamykającą nas w ciemnym wąwozie, i jak te widoki ciągle nas niepokoją. Ale przy tej paraboli, do widoków takich możemy jeszcze w danym razie powrócić. Stawmy się w położeniu gorącego młodzieńca, który, raz zszedłszy ze szczytów, na których napawał się widokami piękności duchowej, na sobie powiedzie, że nigdy więcej do nich nie wróci. Może lepiej było nigdy się z nimi nie spotykać. Wreszcie, ażeby szczerze przystąpić do nowego porządku kształcenia się, może i czas przeminął. Waha się tedy, próbuje, i po jakimś czasie, trafia nareszcie na coś, co go zabezpiecza przynajmniej od głodowej śmierci, ale jest to najczęściej życie zniechęcenia, wykolejone.

Nasza młodzież ma w duszy dziwną ofiarną naukową. Najmniej kwalifikowani ze strony materialnej cisną się jednak do gimnazyów i uniwersytetów. Głodzą się, zabijają pracą, niedostatkiem, byle dopiąć celu ostatecznego. Ilu ich padnie przy tym wysiłku, tego się nie liczy, chociaż statystyka szkół mogła-by coś o tem powiedzieć. Ale, jakby przeczuwali, że kto raz postawił nogę w gimnazyum, temu nic nie pozostaje, tylko iść dalej, aż do wyjścia ze stopniem naukowym, najczęściej zapisują się do uniwersytetu. Czy z miłości dla nauki czynią tak, czy dla karyery społecznej, mniejsza; w każdym razie dowodzi to domysłu, czy przekonania, że gimnazyum do działania i znaczenia społecznego nie doprowadza.

Rzeczywiście, gimnazyum takie, jakim jest obecnie, to tylko propedeutyka uniwersytecka, i za taką jedynie instytucję przez społeczność uważaną być winna. Kto patrzy na nią z pewnego punktu użyteczności, może tu przytoczyć ważność przywileju pod względem powinności wojskowej, ale jest to wzgląd nowy, który z kwestyą pedagogiczno-społeczną mieszać się nie powinien.

Nie idzie za tem, ażeby nauka gimnazjalna, nawet bez względu na uniwersytet, nie miała być użyteczną sama przez się, jako tylko nauka. W licznem społeczeństwie znajduje się tyle grup, tyle usposobień jednostkowych, że z pomiędzy nich znajdzie się jeszcze bardzo wielu, bez żadnej dla siebie rozterki, z zadowoleniem poprzestających na edukacji gimnazjalnej. Jakoż edukacja ta nadaje dosyć rozległą kultu-

rę umysłową. Uczeń, który dobrze ukończył gimnazyum, obeznany jest z rzeczami stanowiącemi zaletę, rozkosz i ozdobę przeważnie życia towarzyskiego! Czyta ze zrozumieniem dzieła historyczne i literackie; korzysta z popularniejszych wykładów umiejętności fizycznych i antropologicznych; nie będą mu niedostępnymi popularne traktaty z filozofii; słowem: wszystko, co w domu i za domem cechuje człowieka ukształconego, znaleźć się powinno w jego osobie. Ale też na tem i koniec.

Edukacya więc taka, bardzo przypominająca owoc wyższego pensjonatu żeńskiego, wielce przydatną jest dla jednostek męskich dwóch kategorii: dla umysłów tępszych, leniwszych, które nie umiałyby się porać i uporać z trudnościami kursów uniwersyteckich, oraz dla takich młodzieńców, którzy, choćby nawet i zdolniejsi umysłowo, a zwłaszcza zasobni materialnie, nie życzą sobie obowiązkowo uczęszczać na uniwersytet i uważają, że do życia towarzyskiego, od którego sami nie żądają nic, wystarcza im zakres edukacyi średniej. Dla takich jednak, nie żądających od nauki koniecznych środków do życia, gimnazyum, stanowiące przeważnie propedeutykę uniwersytecką, daje i za wiele, i za mało. Wiedzą o tem kierownicy oświaty i urządzają dla nich takie zakłady, jak: collegium nobillum, instytuty szlacheckie, licea... przy zmienionych programatach i metodach dydaktycznych, zakłady, mające jednak tę mniej dobrą stronę, że uwzględniając, czy to sferę, czy zamożność, wprowadzają separatyzm młodzieży.

Można-by tego uniknąć przez taką zmianę ustroju gimnazyalnego, która-by uwzględniała zarówno indywidualne skłonności umysłu uczniów, jakoteż prawdopodobne ich dalsze przeznaczenie. Jest wszakże pewna grupa przedmiotów, których wszystkie dzieci, umiejące już czytać, pisać i znające początki rachunków, uczyć się w gimnazyum powinny przez kilka lat z rzędu. Ale w tem właśnie jest sęk, które to są przedmioty? I tutaj-to występuje ten wielki kamień obrazy dzisiejszych poglądów, kwestya sporna różnych szkół pedagogicznych, dotąd nierozwiązana, a jednak chyląca się ku rozwiązaniu a mająca wywołać przewrót w dotychczasowej edukacyi średniej: kwestya języków starożytnych: łaciny i greczyzny.

Oba te języki zwykliśmy podciągać pod jedną kategorię—starożytnych; ale ze względu na rdzeń i zastosowalność społeczną, wielka między niemi zachodzi różnica, tak, iż każdy z nich niemal osobno omawiany być winien; oba jednak zarówno znajdują dziś coraz liczniejszych przeciwników, nietylko w utylitarystach, jakimi są przeważnie rodzice, pragnący szybkiej kariery dla synów, ale nawet pośród pedagogów, uczonych i literatów. Rzecz osobliwsza, iż nawet literaci pochodzenia romańskiego, np. Lemaitre, wrogo stają przeciw

macierzy własnego języka, z której łona przeszczepili wszystkie niemal pierwiastki i przeszczepiają nowe.

Przeciwno językom starożytnym za najważniejszy argument służy ich zupełna bezużyteczność w pochodzie idei tegoczesnych. Kto się chce czego dowiedzieć, czegokolwiek nauczyć, nie stamtąd czerpać będzie wiadomości. Języki starożytne pod względem edukacyjnym zrobiły swoje w wieku Odrodzenia, przelały do nowych literatur całą wiedzę swych epok; wiele rzeczy rozjaśniły, wielom w głowie poprzewracały, i dziś, przy tym przewrocie, jaki sprawiła z jednej strony etyka chrześcijańska, z drugiej potężny rozwój umiejętności, niema tam ani jednej myśli, która-by dla człowieka tegoczesnego była tajemnicą, lub mu na coś przydać się mogła. Co większa, znajduje on tam nieraz myśli, nawet u najwziętszych mędrców, np. u Sokratesa, które gorzą go, lub wydają mu się naiwnemi. Plon pomysłów i wiedzy, zawarty w tych językach, zwłaszcza w greckim, jest niezaprzeczenie znakomity, wspaniały, jeśli do tego dodamy jeszcze nieporównaną poezję; ale gdy chodzi o znaczenie historyczne tego plonu, toż go można udostępnić człowiekowi dzisiejszemu w jego języku własnym, w sprawozdaniach, traktatach, komentarzach, bez potrzeby tracenia drogiego czasu, z uszczerbkiem wiedzy pozytywnej, na naukę języka martwego, którego nabycie wymaga pięcio lub sześćioletniego mozołu. Nie będzie to, przypuszczamy, wszystko jedno: czerpać z pierwszej, czy z drugiej ręki; ale jeżeli niemożna zrobić wszystkiego, robi się to, co się lepiej opłaca. Wszak dla wystudowania dzieł sztuki nie każdy może rozpoznawać wszystkie muzea i ich oryginały na miejscu, od Londynu do Neapolu, poprzestaje tedy w części na modelach, reprodukcjach, fotogramach; niechże więc dla poznania treści literatur starożytnych, przekład na język nowożytny będzie takim wiernym fotogramem, a ten dla przeciętnego człowieka ukształconego na potrzebę jego umysłu wystarczy. Wszak i współczesnych autorów, prozaików, czy poetów, nie wszyscy znają w oryginale, tymczasem ukształcony ogół doskonale rozumie tak dobrze Darwina i Spencera, jak Szekspira i Hauptmanna. Dlaczegoż więc tylko Homer i Plato, Wergiliusz i Tacyt, mają mieć ten przywilej, aby ich koniecznie z wieku na wiek, od piętnastego stulecia, należało obowiązkowo poznawać w oryginale? Mogło to uchodzić w szkołach podczas trwającej zasady trivium i quadrivium, kiedy w literaturach współczesnych nie było co jeszcze tak dalece czytać; ale dzisiaj jest to dla kształcącego się ogółu zupełnym anachronizmem.

Powiadamy—dla ogółu przeciętnego—nie dla specjalistów. Specjalność, inna rzecz. Było-by to filisterstwem, brutalnością, niegodną podniosłej cywilizacji dzisiejszych czasów, rugować jakiebądź studia

mające na celu rozprzestrzenienie wiedzy. Nigdy też nad starożytnościami nie pracowano tyle, co dzisiaj, nigdy nie dokonano tylu wykopalisk, nie odczytano tylu napisów na nagrobkach, zabytkach kamiennych, medalach, według których sprostowano podania kronikarskie, rozświetlono historię. Potworzono osobne gwoli temu muzea, szkoły, wydawnictwa. Z namiętnością rzucono się do obław na szczątki starożytności, a tajemnica języka etruskiego spać nie daje spokojnie starożytnikom. Jakże namiętności takiej uczynić można zadość bez doskonałego poznania języków starożytnych? ¹⁾

Prawda, lecz przygotowanie do takiej specjalności, jako i do wszystkich innych jest rzeczą uniwersytetów, lub osobnych instytutów, nie zaś szkół ogólnokształcących, jak gimnazjum ²⁾. Po co wprowadzać tam przedmioty, które dla użytku realnego w życiu zaledwie jednemu młodzieńcowi na tysiąc mogą być przydatne? Wszak starożytność nie w dwóch tylko klasycznych zawiera się językach: dziś, pod względem wartości historycznej, na równi z nimi stanęły inne, jako to: sanskryt, pismo ówiekowe. Mamyż i te jeszcze wprowadzać do gimnazjum pod pretekstem ogólnego kształcenia? Nie; cały ten balast raz na zawsze przeniesiony być powinien do uniwersytetów, lub zakładów specjalnych, dla zrobienia i powiększenia w szkole ogólnokształcącej miejsca tym przedmiotom, które bezpośrednio stykają się z życiem, i to z życiem bieżącym.

Rozumowania takiego nie można lekceważyć. Prawda: nie stoimy dziś i oddawna w punkcie, na którym stały szkoły wówczas, kiedy nauka i piśmiennictwo współczesne nie dawało prawie nic, co-by postęp wiedzy posunąć mogło, kiedy odkrycie například geometrii Enklide-

¹⁾ Zwracamy uwagę, że społeczeństwo nasze na tem polu nie uczyniło nic; co większa, nie wie ono nic zgoła nawet o ruchu. Jaki się z takim zapalem odbywa w zakresie starożytnictwa,—o ile „Kuryer“ nie przyniesie czasem luźnej wiadomości o jakimś nowem odkryciu.

²⁾ Herbert Spencer i Bain, jakkolwiek pozytywiści, jednakże w swych klasyfikacjach umiętności naukę języków starożytnych utrzymują, tylko również ją odsyłają do uniwersytetu. Łatwo to powiedzieć; ale nie rozwinęli oni strony dydaktycznej przedmiotu, a ta była-by właśnie ciekawa. Dziś, například, uczeń wstępuje na wydział filologiczny już ze znajomością języka starożytnego, którego uczyć się musiał przez lat siedem; ile tedy lat i jaką metodą ma uczyć się go na uniwersytecie, ażeby odbył i kurs gimnazjalny, i właściwy fakultetowy, na stopień doktora, skoro na uniwersytecie poczynać ma od abecadła. Oto, czego ci klasyfikatorowie nauk nie powiedzieli. *P. A.*

sa, albo teorii poetyckiej Horacyusza, nowe światy odsłaniało przed umysłami, a rozsądny komentarz kilku ustępów historyka, lub filozofa starożytnego, więcej dawał intelektualnego pożytku młodzieży, niż cała gadanina scholastyczna. Czyż dziwić się można, że pedagodzy ówczesni z miłością przyłgnęli do utworów, przedstawiających im niezmiernie głębokie myśli, zachwycające obrazy poetyczne, wielkość charakterów ludzkich, heroizmy niesłychane itp., jeśli dziś jeszcze znawcy z rozkoszą odczytują kartki Tuceydydesa, albo Cycerona?. Czyż dziwić się można, że miłość tę do samych utworów, za przykładem Erazma z Rotterdamu, przelewając w serca swych uczniów, nauczyli ich zarazem kochać język utworu, tę mowę, wyrzeźbioną niby cudownym dłóttem nadziemskich artystów, strojną i ograną, „jak anielskich rąk narzędzie“, mowę, która, jak melodia wnikając do ucha, przez sam wdzięk harmonii utrzymywała się w duszy na zawsze? Jakież-to porównanie z kulturą średniowieczną, z wrażeniami poezji współczesnej, z formami językowymi współczesnymi gdziekolwiek, nawet w samej Italii! Wszystko to prawda. Ale odtąd wszędzie, wcześniej, czy później, i umiejętności, i sztuki, i formy językowe postępowały, czyniąc coraz większą konkurencję starożytnym, a świat coraz bardziej oddalał się od ich idei, aż dzisiaj zerwał zupełnie ze starożytnością, z jej naśladownictwem, zapragnął być samodzielnym. Daleko odepchnąwszy od siebie ideje starożytności, nie z miłością już, ale krytycznie na nią spoglądając, utworzył sobie własną filozofię, sztukę i poezję. Świat starożytny stał mu się obcym; rozumieją go tylko wybrani, ogół jest dla niego obojętnym. Ogół, gdy mu go i we własnym języku pod oczy podsuwają, odwraca się odeń, więc czyżby jeszcze kosztyłożyć miał na ten język zamaryły, by przezeń, jako przez pryzmat właściwy, oglądać, wspaniałe być może, ale tylko zabal-samowane zwłoki!.. Precz zatem ze szkoły ogólnej języki starożytnej! nie mają tam one co robić, czas ich już się wypełnił.

Nie idzie za tem—powiadają—abyśmy chcieli ignorować literaturę klasyczną. Przeciwnie: niechaj każdy pozna jej naturę, charakter, żywioły znamienne, formy kompozycji; ale wszystko to można w języku nowoczesnym wyłożyć, przykładami i przekładami objaśnić, tak, jak to stosujemy do literatur nowoczesnych, lubo znajomości ich języka od nich niekoniecznie wymagamy. Gotowiśmy nawet literaturom klasycznym dać naczelne miejsce, rozbierać je szczegółowiej, a to dla tego, iżby wskazać, jak się na ich wzorach i pod ich wpływem wyrabiały literatury późniejsze: wykryć naprzykład w Lafontainie Fedra, jak w tym wykrywamy Ezopa; w Kamoensie Wergiliusza, w Kochanowskiem Anakreonta, Horacego i Senekę (tragika), w Janickim Katulla i Owidyusza i t. d. Będzie to wprawdzie literatury starożytnej znajomość kobieca, ale taka wystarcza i dla nowoczesnego mężczyzny, któ-

ry ma zgola inne zadania intelektualne, niz jego poprzednik z wieku Odrodzenia.

Gdybym miał wyrazić zdanie osobiste, to powiedział-bym, iż się uśmiecham na taką znajomość literatury klasycznej, i niech mi nikt nie mówi, że odczuwa Tacyta, albo Lukrecyusza, znanego naprzykład z francuskiego, lub innego przekładu: wiem ja troszkę, jak to wygląda. Nie przeczę wszakże, iż lepszą jest taka znajomość, niż żadna, a krytyczna ocena literatury starożytnej w wykładzie szkolnym jest w każdym razie bardzo pożądaną. W duchu zatem powyższego rozumowania widzę konsekwentność: nie języki same, lecz możliwie doskonała ocena tego, co się w tych językach zawiera.

Do takich poglądów na przedmiot, wygłaszanych z punktu wyższej pedagogiki, przyczyniają się też skrzeczenia mieszczańskich drobnoustrojów, dla których punkt utylitarny stanowi wszystko. Po co, — powiadają — zapychać głowę chłopca tą łaciną i greczyzną, o których on zapomni w kilka lat, gdy pójdzie pracować jako fabrykant, kupiec, inżynier, budowniczy, górnik, albo nawet i lekarz, czy adwokat? Kto dziś buduje drogi żelazne, albo wyprawia skóry po łacinie, czy po grecku?... a przecież to dzisiaj tylko daje kawałek chleba! Francuski język, niemiecki, wreszcie angielski, to rozumiem: przydadzą się one, czy w interesie, w podróży, czy w konwersacyi towarzyskiej: ale co robić z łaciną?—Nie dziwimy się temu troskliwemu ojcu. On nie zrozumie tego, że gdy jego syn uczył się naprzykład fechtunku, a nie został fecht mistrzem i nigdy potem nie wyciągnął szpady do pojedynku, to jednak w całym jego organizmie i w całej figurze nauka ta pozostawiła niezatarty wpływ i ślady: pierś mu się rozwinęła, mięśnie wyteżały, ciało nabrało giętkości, ruchy męskiego wdzięku.

Ale mniejsza o to: dosyć, że ze wszystkich stron, z góry i z dołu, i ze środka, podnoszą się głosy przeciw wykładowi w szkole ogólnej języków starożytnych.

Czy, wobec wysoko dzisiaj podniesionego sztandaru modernizmu, garstka konserwatystów, obstająca za utrzymaniem tego wykładu, może być skutecznie wysłuchaną? Czy skutecznie, wątpię—jak prąd jakiś powieje i ogarnie sobą masy, to niema z nim rady—ale ta garstka wysłuchaną być powinna. Więc jej posłuchajmy.

Słabym zapewne był-by platoniczny argument, polegający na żywiole tradycyjnym. Wydrzeć z umysłu mas klasycyzm, którego znamienniem są języki starożytne, znaczy to: pozbawić je jakiejś własności organicznej, wszystkie narody europejskie łączącej w jedną niejako kulturalną rodzinę. Wszak przy otwarciu b. Szkoły Głównej, rektor jej, Józef Mianowski, odezwał się do słuchaczy:—„Nie zaniedbujcie języka łacińskiego, pamiętając, że cała Europa kończy się tam, gdzie koń-

czy się łacina". — Jakoż, — powiadają mamuty konserwatywne — jeżeli skutkiem modernizmu, przez zastosowanie nowych środków edukacyjnych, duch klasycyzmu wywieje z umysłu naszych pokoleń, to na jego miejsce wstąpi duch inny, jako łącznik, jako wspólna cecha kulturalna. Wszak od czasów Ludwika XIV próbowała tej hegemonii kulturalnej francuszczyzna, w dyplomacyi, w literaturze, w obyczajach, od Skandynawii do gór Pirenejskich, i hegemonia ta nie zatrzymała się, aż pod Sedanem. A może wspólne to znamię przyjdzie ze Wschodu, na który dziś powszechnie zwracają się oczy, razem z próbkami przesiedlenia się buddyzmu, dokonywanemi w Paryżu. Albo też narzuci się jaka przeważna idea silniejszego indywidualizmu z pośród europejskich, ze wszystkimi swemi akcesoryami. Dość, że narody, dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek, zbliżone do siebie warunkami materyalnemi, muszą otrzymać jakiś łącznik duchowy, który odbije się i w kierunku edukacyi. Ale czy ten łącznik zastąpi nam Homera i Eschilosa? Wyraz klasycyzmu, który, jako żyjący idealnie, lecz zamarły politycznie, nie razi niczyich drażliwości, nikomu nie daje pierwszeństwa, a stąd nie wyradza służebnictwa, lub jego pozorów; jest on jak powietrze, dobrem wspólnem, którego gdy kto używa, nie okrada nikogo, ani do niczyjej nie udaje się łaski.

Argument ten ma tę najsłabszą stronę, że usiłuje, jak to mówią, zatrzymać koła czasu, za pomocą teoryi. Formy kulturalne nie narzucają się przez przepis, tylko powstają drogą ewolucyi pod pobudkami interesu: tak powstawały osadnictwa, przemysł fabryczny, kapitalizm i t. p., i według tej-to ewolucyi, w dzisiejszym okresie tak wprost przeciwnej klasycyzmowi, kieruje się, jak widzimy, i edukacja. Chcąc zatem obronić klasycyzm, potrzeba-by wykazać, czy w nim przeżyła jeszcze jakaś odrobina tego, co mogło-by być interesem w stanie ewolucyi dzisiejszej.

Jużeśmy na początku tego artykułu mówili, że w sprawie utrzymania, lub zaniechania wykładu dwóch języków starożytnych w gimnazyach, należy grecki od łacińskiego odróżnić. Pod względem doniosłości literackiej, język łaciński żadnego porównania z greckim nie wytrzymuje; literatura Rzymian, z pewnym jednak wyjątkiem, jest tylko kopią greckiej, w każdym razie artystyczną i uwagi godną. Gdyby więc miara doskonałości miała służyć w edukacyi za miarę potrzeby, bezwarunkowo dali-byśmy pierwszeństwo językowi greckiemu, jako otwierającemu nierównie liczniejsze i wspanialsze skarby literackie. Trudniej jednak uzasadnić potrzebę tego języka odnośnie do stosunków dzisiejszych. Oprócz terminów naukowych, których wreszcie źródłosłów każdy dobry słownik nowoczesny objaśnia, nic nas tak dalece z greczyzną nie wiąże. Tam nawet, gdzie greczyzna przyczepiła się do

Kościółów, nie Ateny grają rolę, ale Bizancyum. Jeżeli zaś chodzi o kulturalny wpływ Aten na Europę pod względem poezyi, teatru, sztuki, — to znowu objaśniają go odpowiednie podręczniki, tak, że pod względem potrzeby praktycznej (pomijając wielkie korzyści intelektualne, w czem powtarzać się nie będziemy), wykład obowiązkowy języka greckiego w szkole średniej, połączony z ogromnym mozołem, nie da się wymotywować.

Inaczej rzecz się ma z językiem łacińskim. Łacina obległa świat wówczas, kiedy go jeszcze nazywano *orbis Romanus*, i wniknęła we wszystkie stosunki, potworzyła narody łacińskie tam, gdzie przed Rzymianami o latyniźmie nikomu się nie śniło. Państwo Rzymskie upadło, a spadkobiercą języka jego na Zachodzie został Kościół. Za Kościołem i przez Kościół język ten stał się znowu powszechnym; wniknął do szkół, do pracowni uczonych, do ksiąg, do stosunków międzynarodowych, gdzieniegdzie i do domów prywatnych. Przez Reformację wyrugowany z Kościoła na rzecz języków narodowych, w katolicyźmie pozostał dotąd w całej pełni językiem obrzędowym, a w wielu okolicach kancelaryjnym, korespondencyjnym. Bez znajomości łaciny katolik jest czemś niekompletnem. Jeszcze on mało widzi i słyszy, nic nie rozumie, a już nad jego głową przy Chrście świętym rozbrzmiewa łacina; gdy wchodzi w stan małżeński, łacina go błogosławi na drogę; kiedy zmysły jego tępieją i życie gaśnie nazawsze, ziemia na wiekiustą podróż żegna go ostatniem słowem łacińskim. Od chłopca, służącego do Mszy, aż do kapłana, każdy uczestniczy w nabożeństwie, którego treść główna spoczywa w łacinie. Prawda, że często oprócz księdza, cały jego sztab kościelny: chłopiec, organista, braciszek, mało ten język rozumieją, albo zgoła nie, na kościele podobnie; ale czy to się chwali? Narodowcy kościelni sztydzą też z katolików, że się modlą w języku niezrozumiałym. Nie sądzimy, aby państwa, o ludności przeważnie katolickiej, a nie przez wolnomularzy rządzone, zniosły kiedybądź naukę tego języka w szkołach ogólnych. Jakimże-by sposobem nauczyli się go duchowni? Czy w seminaryum? Ani myśleć o tem. Do seminaryum nie wstępują dzieci, tylko młodzieńcy dorośli, z jaką taką łaciną gotową, gdyż słuchają już niektórych specjalnych w tym języku wykładów. A choćby im i obmyślić jaki kurs przygotowawczy, nie na wiele-by się to przydało, gdyż języka łacińskiego nie można się wyuczyć na poczekaniu, tak, jak któregoś z nowoczesnych, objających się o uszy. Zniesienie więc łaciny w szkole średniej było-by wielkiem utrudnieniem w przygotowywaniu całego legionu duchownych katolickich.

Czy i inni nie stracili-by na tem, gdyby, jak to dziś przeciwnicy klasycyzmu proponują: „łacinę zamknąć tylko w uniwersytecie“? Odpowiedź będzie krótka i jasna: Spójrzmy na zastęp historyków, choćby

tylko u nas: Korzon, Kraushar, Smoleński, Askenazy (nie wspominał o krakowskich i lwowskich); wszystko to są prawnicy. Nauka prawa najlepiej usposabia do zawodu historycznego, a na wydziale prawnym uniwersytetu języków starożytnych nie wykładają. Gdzież-by więc tacy ludzie, widocznie z natury umysłu przeznaczeni na historyków, nauczyli się łaciny, gdyby jej wykładu nie byli słuchali w gimnazyum? Przystąpić zaś do badań historycznych bez łaciny, to jakby wybrać się na polowanie bez prochu, skoro połowa dokumentów archiwalnych i kronik spoczywa w tym języku, nie tylko u nas.

A już czego, przyznam się, zrozumieć nie mogę, to tego, iżby, jak twierdzą moderniści, i literat dzisiejszy śmiało mógł się obejść bez łaciny (Lemaitre). Znam wprawdzie takich literatów, tak, jak mogę znać muzyków, którym obcy jest Porpora i Bach; malarzy, którzy nie widzieli Peruggina i Fra-Angelico.. Nie będę się rozszerzał nad tym nieakademizmem i jego przyszłością. Wspomnę tylko, że łacina na umysł młodociany, a nastrojony w kierunku literacko-artystycznym, wywiera jakiś wpływ tajemniczy, a podbudzający fantazyę i głównie przemawiający do charakteru. Sprawia ona wrażenie podobne do tego, jakiego wobec zwiedzania miast o okazałych gmachach współczesnych, doznajemy, zstępując naprzykład do Pompei. Niby to ruina, lecz ileż nam ona objaśnia, jak przyciąga do siebie tą emanacją historyi, która spływa z każdego, dotkniętego zmysłem szczegółu. Zmartwychwstają przed nami ludzie, obywatele rozprawiają na forum, zasiadają w swych atryach i ogrodach, teatrach i łaźniach. Oto jakiś fresk, jakiś napis: zdaje ci się, że widzisz rękę, która go wykonywa. Jakże to wszystko jest odmienne od tego, na co patrzymy codziennie, my, spadkobiercy tamtych. A może tędy przechodził ów Pliniusz, którego ostatnie chwile opisał bratanek w swym prześlicznym liście.

Tak jest. Łacina wprowadza nas zaraz w dzieciństwo w porządek myśli i obrazów odmiennego typu od dzisiejszych, a jednak ludzkich; przez co, wobec codziennych oddziaływań teraźniejszości, burzy stagnację duchową, wywołuje w nas odmiennie stany psychiczne, które następnie układają się z pozostałymi do nowych kombinacji i nowej równowagi. Od pierwszych regulek w tirocinium, „dulce est pro patria mori“, od anegdot Waleryusza Maksyma i wspomnień o Mucyuszu Sewoli, o Regulusie, Scypionie Afrykańskim i t. p., do listów Cycerona, Pliniusza, roczników Tacyty, uczeń odbiera tyle potrażeń żywo przemawiających do jego fantazyi i charakteru, że oddziaływają one nadzwyczaj korzystnie wśród tej atmosfery utylitaryzmu, kapitalizmu, karyerowiczowstwa, jaka go zewsząd otacza, i mimowiednie ciśnie się do jego umysłu. Lecz—powiadają—wszystko to można przecież czytać w języku własnym, w dobrym przekładzie. Tak, tylko z małą róż-

żnicą. Jeżeli istnieją przekłady, uczeń czytać je *może*, albo nie: jeżeli na nich uczy się języka, to on czytać je *musi*, o ile szkoła nakazuje; czytając, razem z nauką, inaczej nad tem się zastanawia, inaczej wdraża sobie w pamięć, wpisuje w hypotekę swej własności moralnej; sama wreszcie forma, z którą zrodziła się i treść, w innym mu myśli podaje wdzięk, posiada on oryginał. Czy sądzicie, że obok całego talentu autora, to arcydzieło dzisiejszej literatury: „Quo vadis“, posiadałoby te przeświecne blaski, gdyby autor przygodnie i dorywczo brał się do studyów? Gdyby mu kopie tylko za materyał służyły? Gdyby nie to, że on od dziecka nosił się z oryginałami i przesiąkł myślą starożytności, która później w ten sposób miała się wyjawić? Literat bez łaciny... winszujemy literaturze.

Gdyby nawet chodziło o samą kwestyę lingwistyczną, w oderwaniu od wszystkich innych, to i tu znajomość łaciny wyświadcza niezmierną przysługę. Kto posiadał w pewnym stopniu język łaciński, ma w ręku klucz do łatwego zdobycia wszystkich jego gwar tegoczesnych: włoskiej, hiszpańskiej, francuskiej, prowansalskiej, rumuńskiej. Młodzieniec z otwartą głową, na łacinie wykształcony, poświęciwszy na to codziennie jaką godzinę czasu, nie dla popisu, rozumie się, publicznego lub towarzyskiego, ale dla potrzeby książkowej, w ciągu kilku lat może kolejno posiadać wszystkie te języki.

Oto są mniej więcej racye, przytaczane przez konserwatystów, za utrzymaniem przynajmniej jednego języka starożytnego, łaciny, w programie gimnazyalnym. Czy one przeważają cośkolwiek wobec dzisiejszego realizmu w nauce, a modernizmu w literaturze, przesądzać trudno, i rzecz ta musi się jeszcze wszechstronniej wyjaśnić. Tymczasem ogólna dążność przechylać się zdaje raczej w stronę przeciwną, dowodem: mnożenie się szkół realnych i technicznych różnego rozmiaru i typu, jakby na zduszenie i zagładę klasycyzmu.

Przy takim nastroju utylitarno-realnym, bez zdania sobie sprawy przez ogół mocno popieranym, w cóż się obróci humanizm, kształcenie nie już jakiegoś zawodowca, ale człowieka, bez względu na jego zawód. Tego przecież kierunku szkoła wyrzec się nie może. Humanizm, jako czynnik pedagogiczny, istnieje i istnieć może, powinien, w szkole każdego typu, począwszy od początkowej, ludowej, stosownie do zakresu szkoły, w takim a takim rozmiarze, zacząwszy od nauki moralności. Tak samo musi on też mieć swą reprezentacyę i w gimnazyum, jako szkole ogólno-kształcącej, nim się następnie przejdzie do specjalności. Ależ, skoro humanizm nie jest czynnikiem w wychowaniu jedynym i nie wystarcza wszystkim potrzebom człowieka, oraz wymaganiom ducha czasu, należy, dla uniknięcia jednostronności, wprowadzić do szkoły ogólnej czynniki inne.

Odgadnąć, jaki jest właściwy program edukacji gimnazjalnej, nie musi być łatwo, skoro programy te często się zmieniają, podlegają krytyce, niezadowoleniu, próbom rozmaitym. Z historii naprzykład szkół tutejszych wiadomem jest, że przed rokiem 1830 szkoła średnia była sześciolletnią, z kursem jednolitym, programem przeważnie humanistycznym, w którym języki starożytne i ich literatura grały bardzo ważną rolę. Po roku 1831 gimnazjum, stosownie do ówczesnych warunków administracyjno-politycznych, niegło wielkiemu przeobrażeniu. Odrazu z sześciolletniego zostało ośmioletniem, a nadto, od klasy szóstej następowała bifurkacja: trzy klasy ostatnie dzieliły się na dwa oddziały: filologiczny i techniczny, do dawnego zaś programatu dołączono, prócz języka rosyjskiego, nowy zupełnie przedmiot: prawo, wykładane w trzech ostatnich klasach, a na obu oddziałach. Widocznie, że przez tę reformę chciano stworzyć surrogat zniesionego uniwersytetu, i specjalność wprowadzono już w mury gimnazjalne. Wkrótce jednak przekonano się, że półśrodki do niczego nie prowadzą. Młodzież, kończąca takie gimnazjum, z nabytą wiedzą czy to filologiczną, czy techniczną, nie była uzdolnioną do niczego, tylko do aplikacji biurowej; zawalali też młodzi dyplomowani gimnazyaści wszystkie dekasterye, czekając po cztery, pięć i sześć lat na marną posadę, by potem grzybieć przy biurku przez całe życie. Zdolniejsi, bardziej przedsiębiorczy i zasobniejsi w środki materyalne, przenosili się do uniwersytetów Cesarstwa, skąd powracali nauczycielami gimnazjalnymi (Aleksandrowicz, Przysański, Pankiewicz, Jurkiewicz i inni), lekarzami, ale ci byli bardzo rzadcy, jeden na setki. W kraju zaczęło brakować i nauczycieli, i prawników. Wskutek tak niekorzystnie odbytej próby, w roku 1840 zaprowadzono nową reformę: znowu gimnazjum zamieniono na jednolite, siedmioklasowe, z kursem, równoważącym mniej więcej przedmioty humanistyczne i realne, ale założono osobne gimnazjum realne (które się w momencie napełniło), tudzież ustanowiono osobne kursy prawne, z wykładem dwuletnim, które trwały jednak bardzo krótko. Czyniono potem jeszcze rozmaite eksperymenty, dążące wszelako zawsze do tego, ażeby, ile możliwości, rozszerzać i podnosić kierunek realny, zacieśniać humanistyczny... I dziś jeszcze, pomimo reform wychowania z roku 1862 i 1864, które podźwignęły klasycyzm w gimnazyach, a nawet szeroko uwzględniły języki starożytne, realizm zajmuje osobne plany wychowawcze, a szkoły i szkołki się specjalizują. Jest to widoczne znamię ducha czasu, wyraz potrzeb epoki, gwałtownie naciskającej zewszed stron przyrodę o wydanie swych tajemnic, by je oddać na posługę człowieka. Siła stoi przy realizmie, przyszłość do niego zdaje się należeć.

Gdzież tedy, wobec takiego naporu ze strony realizmu, mają znaleźć przytułek nauki moralne i wogóle to, co się rozumie przez wyraz — humanizm? Poza specjalnościami, miejsce dlań jest tylko w gimnazyum. Ale czy tego jedynego miejsca nie za mało? Uszczuplenie tego miejsca w Europie zachodniej na rzecz utylitaryzmu zdaje się już teraz niedobre wydawać skutki. Zbyteczna dbałość o wykształcenie zawodowca, z pominięciem wykształcenia człowieka, fatalnie zaczyna się odbijać na człowieku i doprowadzać go do zdziczenia na sposób cywilizowany. Nie samym chlebem żyje człowiek.

Mąż stanu, powołany do pogodzenia nawoływań ogółu o naukę fachową z krzyczącymi potrzebami duchowej strony człowieka, napotyka na wielką trudność, i bierze na się wielką odpowiedzialność, jakiej nie ma ani lekarz, ani nawet kapłan, którzy odpowiadają tylko doraźnie za indywiduala. Wychowawca odpowiada za pokolenia. Nie sztuka też ustanawiać instytucje, odpowiednie do materialnych, ekonomicznych potrzeb ludności w danym czasie i danym państwie, i wytwarzać dobrych professionistów. Jest to konieczność, lecz niemniejszą konieczność dla państwa stanowi wytwarzanie dobrych ludzi. Czy konieczność ta leży w obowiązkach wychowawcy? Czy szkoła ma za zadanie uprawiać charaktery, czy tylko rozwijać w pewnych kierunkach umysły i produkować maszyny robocze? To ostatnie zadanie należy wprawdzie do domu, ale przychodzi chwila, stosunkowo dość wczesna, kiedy szkoła niejako przemocą odbiera domowi młodą duszę, jeszcze nieuprawioną, zatem uprawy tej przerwać nie może, nie powinna, czyli uprawiać ją musi po swojemu, jedną duszę, sto, tysiące dusz. Jakaż to dręcząca odpowiedzialność wobec sumienia, państwa, ludzkości. Wielkaż to bowiem różnica wykształcić porządnego obywatela, albo dynamicjarza.

Zapytajmy Anglików, tych ludzi dyabelnie rozumnych i praktycznych, jak oni sobie poczynają ze szkołami średnimi, a usłyszymy odpowiedź: — Nam chodzi głównie o trzy rzeczy: ażeby wychowaniec miał wszczepione zasady religijno-moralne, pozyskał rozwiniętą w możliwym stopniu samodzielność (self help.) i możliwie silnym był fizycznie; do tego celu zmierzają nasze programaty wykładowe i ćwiczenia. Kierunek umiejętnościowy pozostawiamy jego skłonnościom, o to tylko dbając, ażeby największa summa nauki zdobywała się najmniejszym kosztem czasu i wyczerpania sił. U nas wiele się pozostawia inicjatywie prywatnej: szkoły zakłada kto chce i według jakiego chce programu, a my uważamy. Niejeden z mnóstwa takich pedagogów prywatnych wpadnie na pomysł wyborny, który się też zaraz upowszechnia, a tym sposobem szybko udoskonalamy naszą dydaktykę.

W tym ogólnym rzucie bardzo się może podobać odpowiedzialność szkoły za wyrabianie charakteru i rozwój samodzielności młodzieńca,

w zastępstwie rodziców, którzy nie są z powołania pedagogami, nie znają wiodących ku temu środków dydaktycznych, i sprawę tę, najbliższą obchodzącą społeczeństwo, oddają w ręce społeczeństwa, którego losy od wartości jego członków zależą. Nie na uniwersytetach wszakże i w zakładach wyższych czas jest wyrabiać charaktery: tam przebywają młodzieńcy już z charakterami w znacznym stopniu wyrobionymi, z wolą, która przez czas i praktykę czynów w pewnym kierunku zesztyniała; jak fizycznego więc, tak moralnego wzrostu niewiele już im od tej epoki przybędzie. Oczywista wskazówka, że jak w ziemię najwłaściwiej i najskuteczniej rzucać ziarno wtedy, gdy ona jest świeżą i miękką, tak i zasady najwłaściwiej szczepić, kiedy serce na wpływy zewnętrzne stoi jeszcze otworem, a zatem od najwcześniejszych, ile być może, lat życia, choćby od kolebki, gdzie już dziecko okazuje pewne dodatnie, lub ujemne oznaki podatności społecznej.

Od tego, istotnie, obowiązku, nie może się wymówić gimnazyum, tem bardziej, że przyjmuje ono z rąk niekompetentnych materyał, lepiej, lub gorzej przygotowany; ten zaś znowu obowiązek wskazuje wybór środków wykładowych, które do kultury obyczajowej najwięcej ze swej strony przyczynić się mogą. Oczywiście, przedmioty, których treść stanowi abstrakcyja, liczba, waga i kształt, podrzędną tylko rolę stanowić mogą; główną stosunki ludzkie, kombinacye duchowe, zagadki psychologiczne, rozwiązywane w duchu idei dobra, piękna i prawdy, słowem: kierunek humanistyczny; a zadaniem programu takie ustosunkowanie wykładów, które-by zaprowadziło, ile być może, najdoskonalszą równowagę między przedmiotami pozytywnymi i idealnymi. Zupełne odosobnienie dwóch tych kierunków było-by zgubnem rozpołowieniem przyszłego człowieka.

Wszystkie kraje dobrze rządzone starają się prowadzić edukacyę w duchu jedności obywatelskiej, a celują w tem szczególnie Anglicy. Dla nich tradycya jest taką świętością, za którą gotowi oddać mienie, życie, i co większa, woleli-by w ostatecznym razie popełnić przestępstwo, niż dopuścić się ustępstwa z zasad historycznych. Pragną, ażeby w tem usposobieniu trwały pokolenia, i to stanowi u nich jedność edukacyjną. Owóż każda społeczność ma swoje ideały, i każda-by rada przekazywać je dalszym pokoleniom za pomocą edukacyi; mogą te ideały być podnioslejsze, lub mniej podniosłe, lecz o ile szkoła nie kieruje się myślą obcą edukacyi, zazwyczaj ideałów tych bywa ona rozsądnikiem. Jakikolwiek zatem jest ideal, wszyscy uczniowie pewnej szkoły bez wyjątku powinni go mieć w równej mierze udostępnionym; jeśli więc zgodzimy się, że ideału moralnego nie osiąga się za pomocą samej matematyki i chemii, lecz, że głównie ku temu celowi dopomagają nauki humanistyczne, jak historia, socyologia, literatura powszechna, w części

ekonomika, to nie widzimy korzyści społecznej w rozdzieleniu młodzieży, od pierwszych zaraz stopni gimnazjalnych, na techników i klasyków.

Oprócz względu utylitarneho, który głównie spowodował ten nieusprawiedliwiony rozdział, zasługuje na uwagę i wzgląd dydaktyczny. Doświadczeni pedagogowie wiedzą o tem dobrze, iż, oprócz zdolności wyjątkowych, znakomita większość wychowanców posiada umysł przeważnie usposobiony jednostronnie: w kierunku nauk realnych, albo w kierunku nauk humanistycznych. Takie, wszelako lub inne z pomiędzy tych dwóch usposobienie, a właściwie mówiąc, uzdolnienie, od pierwszych chwil edukacji na jaw nie występuje, pierwsze bowiem *rudimenta* obu kierunków, zarówno przystępne obu usposobieniom, nie przedstawiają trudności, które-by zrażały umysł, i nie mają jeszcze nic takiego, coby w chłopcu 10—12-letnim wzbudzało szczególną predylekcyę, albo szczególną odrazę. Do zawiązania się sympatyj, lub antypatyj pomiędzy uczniem a jakimś przedmiotem nauki, potrzeba dłuższego czasu, bliższej zażyłości z przedmiotem i rozbudzenia się w niej jakim stopniu samodzielnego sądu, a o tem zwykle decyduje większa, lub mniejsza łatwość pojmowania. Różnice te ukazują się wówczas, gdy uczeń odbył z połowę drogi gimnazjalnej, między 14 a 16 rokiem. Niechże się wtedy okaże, iż urodzonego socyologa, lub belletrystę wprowadzono na drogę nauk matematycznych, lub odwrotnie, dzielnego elektrotechnika zasadzono do filologii. Pierwszy, pozbawiony zmysłu abstrakcyi, nie pójdzie na krok poza równanie stopnia drugiego z kilku niewiadomemi; drugi kłąć będzie wszystkie wiersze safickie, wszystkie dypodya trochaiczne, tak niezbędne do zrozumienia zasad metryki greckiej, czy łacińskiej. Cóż teraz robić? Cofać się z drogi, by wstąpić na inną, niełatwo, za późno; iść dalej, brakuje sił, zatem i chęci. Przypuśćmy jednak, że przy braku usposobienia, dzięki nadludzkim wysiłkom i względności władz szkolnych, uda się takiemu uczniowi skończyć kurs gimnazjalny w kierunku, zdolności swej przeciwnym, nie jestże to już życie nadłamanane? Uniwersytet jest dla niego zamkniętym, albowiem w tem, do czego powołała go natura, nie przygotowywał się wcale; to zaś, co sobie przemocą wbił w głowę, trzyma się tylko na wierzchu, chwilowo, i wkrótce odpadnie. Z takich-to właśnie wykolejonych, tworzą się dezertery, niedouczeni, zawalidrogi społeczne, najgorszy gatunek proletaryatu, ci, którzy, poszukując zajęcia, zapytani, do czego są uzdolnieni, zwykle odpowiadają: do wszystkiego.

Ale przypuściwszy, że przypadek postawi wychowanka na drodze odpowiedniej usposobieniu, mającemu decydować o jego przyszłości, w jednym lub drugim kierunku, to jeszcze nie racya, ażeby on miał się kształcić jednostronnie. Tu nie chodzi o rozdział, lecz o kombinacyę i równowagę taką, ażeby żywiol idealny, połączony z pozytywnym

wzajem się modyfikując i uzupełniając, wytworzyły jasny, zdrowy, krytyczny pogląd na świat, życie i obowiązki, a ze szkoły nie wychodził ani suchy robotnik, ani chorobliwy marzyciel. Potrzebę tej kombinacji już i same władze szkolne zauważyć musiały, jeżeli, utrzymując rozdział gimnazyów na klasyczne i realne, tam kolejno dodawały potrosze żywiołu pozytywnego, tu klasycznego, a dla wstąpienia do uniwersytetu od realistów żądały egzaminów dodatkowych.

Jeżeli tak jest, to *cui bono* ten rozdział, połączony z tyloma półśrodkami, wahaniami, niepewnością. Wobec tak wyraźnej dążności ogółu do kierunków utylitarnych, wszyscy widzą zbyt jasno, że losy humanizmu są zagrożone. Jakoż, oprócz mnóstwa drobniejszych uczelni zawodowych, spojrzymy tylko na listę szkół wyższych w państwie, uprawiających wiedzę realną: w uniwersytetach, wydziały przyrodniczo-matematyczny i lekarski; instytuty: komunikacji, technologiczny, górniczy; dalej, wielka politechnika, zakłady rolniczo-leśne, nie licząc specjalnych zakładów wojskowych. Cóż naprzeciw tego wszystkiego stoi dla zrównoważenia na rzecz humanizmu? Jeden wydział filologiczny w uniwersytecie, zwykle bardzo szczupły, drugi prawny, i nic więcej.

Słusznie zatem, aby ten żywioł, tak upośledzony, znalazł dostateczne rozmieszczenie przed wszelką specjalnością w gimnazyum, jako w zakładzie, gromadzącym najliczniejszą rzeszę, oraz, aby cała młodzież, aspirująca do wyższych stanowisk specjalnych, miała czas i sposobność dostatecznie nim się przejąć. Żadnego zatem rozdziału, tylko, co najwięcej, ze względu znowu na przyrodzone skłonności, o których mówiło się wyżej, mogła-by być dopuszczoną w jakich dwóch klasach ostatnich pewna bifurkacya, zaprowadzająca z jednej strony ulgi, z drugiej wzmocnienia w odnośnych kierunkach, a w widoku przyszłej, domniemanej specjalności. Można-by na przykład na jednej linii osłabić rozgałęzienie języków starożytnych na rzecz jakiegoś przedmiotu z zakresu nauk fizyczno-matematycznych; na drugiej, rozstać się z zawilocią wyższych części matematyki na rzecz filologii, lub socyologii, a tym sposobem wprowadzić niejako uczących się w atmosferę specjalności uniwersyteckiej, nie zrywając z jednolitością kształcenia gimnazjalnego...

Oczywiście, jednolitość tę osiągnąć można tylko za pomocą dobrze pojętej i dobrze stosowanej dydaktyki, która-by metodami nie odstręczała, ale przeciwnie, zamiłowanie w uczniu do przedmiotu, zrazu dlań obojętnego, lub, co gorsza, wstrętnego, obudzić potrafiła. Z wyjątkiem głow, rozpaczliwie tępych, niema, zdaje się, umysłu, który-by nie polubił w pewnym stopniu jakiegobądź przedmiotu naukowego, gdy mu się drgające serce tego przedmiotu pokaże. Ale jest też to tajemnicą pe-

dagogów utalentowanych. Uczeń, aby zamięłował przedmiot, musi na-
przód wiedzieć, dlaczego się go uczy, przewidywać i przeczuwać ko-
rzyści i zadowolenia, jakie mu poznanie tego przedmiotu przyniesie.
Lecz, jeżeli ktoś, zamiast przedstawiać przedmiot ze strony życiowej,
bawi się dłuższy czas nad rozpoznawaniem skorup z przedmiotu potłu-
czonego, jeśli oschłą, trupią atmosferę wprowadzi do swego wykładu,
jak to czynią rzemieślnicy i rutyniści, zamiast naprzykład czempredzej
dać zakosztować literackich owoców jakiegoś języka, męcząc umysł re-
gułami gramatycznymi do nieskończoności,—nie dziw, że taki zrazi do
przedmiotu i niechętnych, i chętnych. Jak w sztuce, tak i w dydaktyce
która także jest swego rodzaju sztuką, powodzenie zależy nie od tego,
co się wyklada, lecz *jak* się wyklada.

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

KRONIKA RZYMSKA.

(Massonerya włoska. — Kongres prasy. — „Geniusz“ Jana Bovio. — „Wergiliusz“ Biblioteki watykańskiej.—Kardynałowie i przyszłe conclave.—Odkrycia na Forum romanum i Grób Romulusa).

Pisze się i mówi często o włoskiej Massoneryi, o wolnomularzach, Braciach 33 . . . z „Doliny Tybru“, o „Wielkim Wschodzie“ z panem Borghese, o tej sekcie międzynarodowej, której sztandar nosi odznaki: trójkąta, kielicha, młotka, narzędzi rytualnych, oraz tajemnicze litery: A . . . G . . . D . . . G . . . A . . . D . . . U . . ., co znaczy: *A Gloria del Grande Architetto dell Universo*, na wzór jezuickiego: *A. M. D. G. u. j. Ad majorem Dei Gloriam*. Od kilkunastu lat mówi się nawet więcej niż kiedykolwiek o Massoneryi, w miarę, jak przeciw niej zwróciło się ostrze polemiki katolicko-klerykalnej, jako przeciw najzaciętszemu i najpotężniejszemu wrogowi Watykanu.

Leon XIII, prowadząc dzieło pogodzenia nowożytnego społeczeństwa z Kościołem, spotkał na swojej drodze tajemniczą sektę i przeciw niej wydał encyklikę 20 kwietnia 1884 *Humanum genus*. Od tej chwili prasa katolicka, zwłaszcza rzymska, nie przestaje walczyć pió-

rem z tymi, których uważa za główną przyczynę nieprzyjaznych uczuć, jakie część społeczeństwa żywi przeciw Stolicy Apostolskiej i Kościołowi wogóle. Właściwie jednak massonerya podkopuje myśl chrześcijańską, ideę wiary w Boga, cały ten system wierzeń, którego strzeże Kościół.

We Włoszech więcej niż gdziekolwiek massonerya stoi na placówce i działa; niech bowiem mówią co chcą, dziełem tajemniczych sekt wolnomularskich jest jedność włoska i tę chcą utrzymać. Z położenia wypływa, że rząd włoski, od czasu do czasu, szuka oparcia w t. zw. lożach stołecznych i parlamentarnych, że się nie ogląda, czy ministrowie należą do grona dygnitarzy Wielkiego Wschodu . . . , czy są Braćmi 33 Właściwie nawet dzisiejszy rząd króla Humberta Sabaudzkiego nazwać można rządem massońskim umiarkowanym, gdyż np. uważa za stosowne udzielać *exequatur* nowym biskupom, myśli o pomnożeniu dotacyi proboszczom, ale przeprowadza jednocześnie całkowitą laizację szkół, wyjmuje je całkiem z pod wpływu duchownych.

Czegoż więc chce massonerya? bo o to nam tutaj chodzi. Jest to stowarzyszenie, bardzo rozgałęzione, z własną organizacją międzynarodową, szeroko rozpostartą, z własnym programem społecznym, otoczonym niby to tajemnicą, ale dostatecznie jasnym i wiadomym, chociażby z polemik i wojny, jakie przeciw „Wielkiemu Wschodowi“ toczą dzienniki katolickie. Jest to więc walka dwóch idei, dwóch potęg, zwalczających się wzajemnie zażarcie, na śmierć i życie, jakby pod hasłami *mors tua vita mea*.

Wolnomularstwo włoskie ma cechy wspólne ze stowarzyszeniami massońskimi innych narodów, jako tworzące z nimi wielką, tajemną federację, rozgałęzioną w Europie i Ameryce. Jest przedewszystkiem stowarzyszeniem tajnem, nietylko dla szerszej publiczności, nie biorącej udziału w „mysteryach“, ale nawet nie przypuszcza do tajemnic członków swoich niższego rzędu, wymaga bezwarunkowego posłuszeństwa, bez dyskusji, dla postanowień, powziętych przez najwyższy Zarząd; programem zaś jest odbudowanie świata, tj. społeczeństwa, na nowych podstawach, skąd nazwa: wolnomularzy, zmiana od góry do dołu ustroju społecznego i religijnego, który się wyłonił z chrześcijaństwa, a zastąpienie go nowym, na podstawie teorii i praw naturalizmu.

Pierwszą więc zasadą jest, że we wszystkim natura i rozum ludzki winny być przepisem i punktem wyjścia. Bóg właściwie żadnej roli nie odgrywa, jest wyobrażeniem mglistym. Poza tem, co rozum ludzki pojąć może, niemasz ani dogmatów religijnych, ani prawdy, ani nauki. W Bogu uznają tylko „Wielkiego Budowniczego Świa-

ta", istotę idealną, siłę uniwersalną, nieznaną przyczynę wszystkiego, prawo naturalne, panteizm, zbiór istot materyalnych. Jak widzimy, jest to nauka wykorzeniająca wszelką religię. Zdaje się, iż w ostatnich czasach nawet i to pojęcie wydało się zbyt ciasnym, gdyż formuła A . . . G . . . D . . . G . . . A . . . D . . . U . . . mogłaby, w pewnej mierze, powoływać się na istnienie bóstwa, więc w „Wielkim Wschodzie“ rzymskim została zniesiona.

Massonowie uważają się za szermierzy postępu i cywilizacji, w sprawach społecznych mają wypisane hasło: wolności, równości, postępu, są więc republikanami! jeśli zaś np. jak we Włoszech, wspierają monarchię, dzieje się to jedynie dlatego, że głównym ich wrogiem jest Watykan, monarchię zaś uważają tylko za formę przejściową.

Stąd w rządzie włoskim zasiada wielu massonów, w ministeryum jest zawsze kilku Braci . . . , co się też odbija na administracji państwowej i prawodawstwie włoskiem. Charakterystycznym jest dla tendencyi anty-chrześcijańskiej stowarzyszenia, że Wielkim Mistrzem, w pałacu Borghese, czy też w pałacu Giustiniani, dokąd „Wielki Wschód“ niebawem przenosi swoją siedzibę, jest starozakonny, Ernest Nathan, wychowany w Anglii, ale osiadły w Rzymie, gdzie ma rodzinne stosunki. Przed kilku jeszcze laty był nim rodowity Włoch z Liworna, Adryan Lemmi, człowiek, który się skompromitował różnemi spekulacyami, podobno nie zawsze czystemi, i stąd musiał ustąpić, skoro głos publiczny wskazywał nań, jako na jednego z afferzystów, bardzo podejrzaney moralności społecznej. Lemmi nadrabiał gwałtownością wycieczek w mowach i instrukcyach swoich przeciw Papiestwu, Nathan jest przyzwoitszym i zdolniejszym.

Oto np. ustęp z jednego z cyrkularzy, jakie w swoim czasie rozesała Lemmi do łóz massońskich na prowincyę, w którym, zagrzewając do walki, streszczał niejako kwintessencyę własnego programu. Pod względem gwałtowności odezwa nie pozostawia nic do życzenia: Massonerya powinna wytrwale podkopywać skałę watykańską i zdusić papiestwo; „powinna wypędzić je na pustynię, pomiędzy hyeny, wilki i szakale, skąd wyszło.“ Jak powiedziałem, Ernest Nathan wziął się inaczej do rzeczy, spokojniej przemawia, ale podstawy naturalnie zostają te same.

W jesieni r. z. odbyły się w Turynie narady Stowarzyszenia. Protokóły i mowy miały właściwie zostać w tajemnicy, coś jednak z tych obrad wypłynęło na światło dzienne. W Rzymie od pięciu lat wychodzi miesięcznik katolicki, przeznaczony do ostrzeliwania Massoneryi, p. t. „Rivista anti-massonica“, tak, jak we Francyi drukują się: miesięcznik „La Franc-maçonnerie dévoilée“ i dwumiesięcznik „La France

chrétienne“, organ Unii anty-massońskiej. Za to „Wielki Wschód“ rzymski posiada tutaj oficjalny niejako dziennik, bardzo rozpowszechniony, „La Tribuna“, w którym pracują przeważnie żydzi. Zarówno z ostatnich narad w Turynie, jak i z programu kongresu massońskiego w Medyolanie, w 1897, widocznymi są myśli przewodnie, jakie mi obecnie kieruje się zarząd łóż włoskich, kierunki, w jakich one pracować winny, a więc:

Zniesienie wszelkich myśli religijnych w nauce szkolnej.

Organizacja wszystkich stronnictw, wrogich dziennikarstwu katolickiemu.

Propaganda i agitacja, celem wprowadzenia rozwodu małżeńskiego do prawodawstwa włoskiego.

Wybór proboszczów przez lud.

Sekularyzacja dóbr kościoła.

Zupełny zakaz tworzenia kongregacji i zakonów duchownych.

Na pierwszym planie stoi, jak widzimy, odchrześcijanienie narodu, do czego najkrótsza droga prowadzi przez szkołę wyłącznie świecką, ateistyczną. Takimi są obecnie szkoły włoskie i mają też niedobrą sławę; w szkołach ludowych skutki powyższej idei objawiają się przez zwiększenie się zbrodni, zwłaszcza pomiędzy małoletnimi, przez rozluźnienie wszelkiej moralności. Rzeczywiście powiedzieć trzeba, że niemoralność robi we Włoszech zatrważające postępy, szerzy się „niezależna moralność“ według recepty sekty i razem z nią rośnie kronika przestępstw.

Kiedy Papież wydał w jesieni r. z. encyklikę do narodu włoskiego, gdzie zaznaczył konieczność władzy doczesnej, jako niezbędnego warunku dla utrzymania niezależności i godności Głowy Kościoła, gdzie wskazał na Rzym, jako niezaprzeczoną własność Stolicy Apostolskiej, wielki mistrz, Nathan, odpowiedział nań cyrkularzem, rozesłanym do Braci 33 . . . , gdzie wskazał na papieństwo, jako nieustanną groźbę dla Włoch, dla postępu, obrazę zdobyczy nauki itd. Jednym z marzeń także było-by zupełne oddalenie religii od papieństwa, dlatego, że rozdział ten musi z konieczności wyjąć społeczeństwo z pod urzędzeń i nauki Kościoła. Pomimo to, massoneria głosi publicznie, iż nie jest stowarzyszeniem politycznym, ale wychowawczo-patriotycznym, jak gdyby w pewnych kwestyach, obchodzących całe społeczeństwo, polityka dała się oddzielić od spraw obliczonych na szerszy zakres.

Do sekty mogą także należeć i kobiety. Owszem, tajne instrukcje rozsyłane do „łóż“ (tj. filii prowincjonalnych), zalecają propagandę pomiędzy matkami rodzin, aby tem łatwiej wpływać na zdechrystyanizowanie tam, gdzie kobieta ogniska pilnuje. To ostatnie idzie jednak

nie tak łatwo, niewiasty daleko trudniej zrzekają się ideałów swoich, nauk zaczerpniętych w czasie młodości. Wiem o kilku przypadkach w Rzymie, gdzie mąż jest massonem, ale jego dzieci są ochrzczone i biorą śluby w kościele, dlatego tylko, że żona się uparła.

Teraz, z końcem wieku XIX, zapowiedziany jest międzynarodowy kongres massoński, w celu złączenia wszystkich massoneryi świata w jedną wspólną akcję. Tak świeżo zapowiedział Wielki Mistrz Ernest Nathan.

Tak jak pewne obrazy nowożytnie sprawiają więcej wrażenia z powodu bogatych ram, w jakie je oprawiono, tak i szósty kongres międzynarodowy Prasy, który się odbył w Rzymie w kwietniu r. b., był zajmującym nietylko dla przedmiotów, o jakich rozprawiano, ile z powodu wielkiej manifestacji idealności i solidarności uczuć, urządzonej w mieście, stworzonem może więcej niż każde inne do podniosłych uroczystości. Rzym słusznie chlubi się „uniwersalnością,” jaką mu dały nasamprzód cywilizacja klasyczna, a później Papiestwo; chlubi się tylu szczytnymi wspomnieniami, ogarniającemi świat cały, jako kolebka cywilizacji, która dzisiaj ma doprowadzić do pokoju i zgody narodów. Na tem międzynarodowym polu klasycznych wspomnień, zapomina się o nienawiściach rasowych, nurtujących dzisiejszą Europę, idealne wrażenia ogarniają pesymizm nowożytny, dają myślom wyższy polot, skierowany ku pogodnym aspiracyom tak zwanych marzycieli społecznych.

Program kongresu prasy był dość skromny. Chodziło o uchwalenie świadectwa, jednolitej karty identyfikacyjnej dla członków najrozmaitszych stowarzyszeń Prasy, podróżujących poza granicami kraju, gdzie mieszkają, o utworzenie buletynu, organu paryskiego centralnego, międzynarodowego biura prasy, o ustalenie praw własności, należących się dziennikarzom-rysownikom, co do rysunków, jakie-by dali do dzienników, o zniżenie opłat pocztowych dla dzienników, wysyłanych za granicę, o konkurs z nagrodami na ułożenie słownika skrótów telegraficznych dla dzienników, wreszcie o uregulowanie wzajemnego stosunku redaktorów i współpracowników, zwłaszcza wobec nagłego wypowiedzenia współpracownictwa.

Wszystkie wnioski zostały przedyskutowane i uchwalone, aby dać większą rękojmię prawną zawodowi dziennikarza i dla uzyskania jak najtaniej informacji telegraficznych, oraz celem jak najszerszego spopularyzowania dzienników, wszystko bowiem co obniża koszt dziennika, przyczynia się do jego taniości i zarazem do większego rozszerzenia się idei.

Przed kilkadziesiąt laty, we Francji podniósł się okrzyk zgromy, kiedy Emil de Girardin, pierwszy wprowadził płatne inserty, na czwartej stronie swego dziennika. Wołano wtedy, że wprowadzenie innowacji jest upadkiem moralnym dziennikarstwa, schodzącego ze stanowiska cywilnego wychowawcy do poziomu kupca swym towarem. Girardin wytrzymał atak, utrzymując, że działa na korzyść demokracji, bo dochód z płatnych insertów pozwoli zniżyć cenę prenumeracyjną, ułatwi założenie gazet popularnych. Tak się też rzeczywiście stało, dziś nawet u nas dzienniki zaczynają być tanie, a we Włoszech i Francji nie kosztują wyżej solda. Podobnych korzyści należy się także spodziewać z chwilą obniżenia taryf telegraficznych i pocztowych, specjalnie dla dzienników.

Praktyczni Amerykanie i Anglicy mają własny kupiecki słownik ze skrótami telegraficznymi, tak zwany kodeks ABC. To, co my, dziennikarze, musimy wyrazić w dziesięciu słowach, to samo mieszczą oni w jednym, z góry ustanowionym, wyrazie. Dłaczegóżby więc dziennikarze nie mieli swojego słownika?

Skoro powyżej wymienione sprawy zostały uchwalone na szóstym kongresie międzynarodowym w Rzymie, przeto dzisiaj zadaniem będzie Centralnego Biura praskiego, ogniska wszystkich Stowarzyszeń świata, aby uchwały wprowadzić w praktykę. „Bureau Central des Associations de Presse“, oprócz funkcji, że się tak wyrażę, prezydialnej wszystkich klubów prasowych, ma sobie poruczone zadanie ulepszenia prawodawstwa międzynarodowego odnośnie do dzienników, a więc kwestyi własności literackiej, konwencji pocztowych i telegraficznych, i wogóle zajmowania się wszystkim, co prasę obchodzi. W razie np. sporu pomiędzy korespondentem i dziennikarzem, Biuro w Paryżu służyć może za rozjemcę. Ono-to urządza rok rocznie kongresy. Ostatni odbył się w Lizbonie, teraz mieliśmy zebranie w Rzymie, a na rok przyszły, w czasie Powszechnej wystawy, zjedziemy się, w lipcu, w Paryżu. Prezesem centralnego biura jest p. Wilhelm Singer, wiedeńczyk, wice-prezesem, A. de Bereza (Liberal-Madryt), A. Hebrard (Temps), G. Schweitzer (Post) i E. Terell-Viollier (Curriere della Sera). Polacy nie mają swego przedstawiciela w centralnem biurze i nie mają też Rosyja, choć przedstawiciele uwierzytelnionych z rozmaitych

krajów jest dwudziestu kilku. Węgry mają Rakoczego, redaktora „Budapesti Hirlap,“ Niemcy aż trzech reprezentantów, nie licząc Austrii. Dziennikarstwo polskie miało-by wtedy prawo do umocowania swego przedstawiciela, gdyby wykazało stu członków własnego biura prasowego, co wobec dzienników galicyjskich, z Królestwa Polskiego, w. ks. Poznańskiego i Szląska, technicznych trudności-by nie przedstawiało.

Buletyn, który paryskie biuro centralne teraz wydawać będzie— a ma być tym organem wydawnictwo: „La presse internationale“, nosić ma charakter całkiem zawodowy, zdala od polityki, sporów religijnych, narodowych, której to zasady Biuro samo ściśle się trzyma. Była na kongresie mowa, aby buletyn wydawać w kilku językach, ze względu na miłość własną rozmaitych przedstawicieli; gdy jednak pod tym względem do zgody nie przyszło, stanęła uchwała, aby posługiwać się istniejącym już w Paryżu od dwóch lat buletynem, który od-tąd stanie się, oficjalnym organem Biura.

Przed dwoma laty, na kongresie w Sztokholmie, uchwalonem było stwórczenie „Biura korrespondentów.“ Chodzi o to, aby dziennik, chcący mieć w pewnej danej kwestyi swoją korespondencyę, gdzieś daleko od miejsca, gdzie wychodzi, nie potrzebował posyłać swego specjalnego współpracownika, narażać się na wielkie wydatki, ale żeby mu go dostarczyło Biuro Centralne. Dlatego też w paryskim Biurze jest wielka lista wszystkich dziennikarzy świata (nb. należących do Stowarzyszeń), z dokładnem określeniem, jakimi językami się posługują, do jakich dzienników piszą i czy chcą podejmować się „interviewów.“ Nie powiem, aby w praktyce myśl, w zasadzie całkiem słuszna, była łatwo wykonalna. Ale pierwszy krok już został zrobiony i Biuro korrespondentów wzięło swój początek, teraz tylko pytanie, czy przyniesie korzyści.

A własność literacka dziennikarzy i rysowników-dziennikarzy? Na tym punkcie jest wiele jeszcze do zrobienia. Nie mówmy teraz o własności literackiej autorów artykułów, gdyż kongres tą sprawą się nie zajmował, ale zobaczymy, co w tej materii powiedział referent, p. Morel-Retz, znany, jako Stop, rysownik „Journal Amusant“. Rysownik, pracujący dla wydawnictwa ilustrowanego, oddaje zupełnie (według dotychczasowego zwyczaju), na własność redaktorowi albo wydawcy własność swoich rysunków. Nie wolno mu powtórzyć ich w innem piśmie lub książce, sam siebie kopiować nie może. Tym sposobem ilustracje dziennikarskie służą potem do ozdoby kalendarzy lub przewodników podróży, czasem nawet radaktor, mając dużo klisz w zapasie, sprzedaje je *en bloc* kupcom, czyhającym na towar. Albo np

jeśli dziennik upadnie, przestanie wychodzić, cały materyał idzie na sprzedaż, a z nim i klisze rysunkowe. Stop, przy tej sposobności sam opowiedział własne doświadczenie: rysował w Paryżu dla jednego z ilustrowanych pism, które przestało wychodzić. Cały materyał nabył na licytacji Leo Taxil, (znany z figla, jaki w roku zeszłym wypłatał domniemanymi rewelacyami fikcyjnej massonki Dyany Vaughan), aby rysunkami Stopa ozdobić swój pamflet p. t. „Les femmes de l'Empire“. Miał nawet tyle bezczelności, że afiszami ogłosił współpracownictwo referenta, a kiedy mu ten zagroził procesem, odpowiedział cynicznie: „Kochany panie, wytocz mi pan proces, będę uszczęśliwiony, zrobisz mi pan reklamę,..“ Wreszcie zdarza się, że zagraniczne dzienniki powtórzą rysunki, bez troszczenia się o honorarium dla autora. (To samo mógłbym i ja powiedzieć, z powodu przedrukowywania moich korespondencji przez niektóre galicyjskie dzienniki). U nas może nie, ale np. bulwarowe dzienniki paryskie pozwalają sobie nieraz gorszych figli: np. wezmą kliszę, przedstawiającą „Bitwę pod Trafalgarem“ zamieszczą ją i podpiszą „Bitwa pod Manilą.“ W podobnych razach rysownik jest poprostu skompromitowanym, gdyż zwykle się podpisuje. Wreszcie zdarza się, że redaktorowie lub wydawcy zmieniają samowolnie teksty, towarzyszące rysunkom i t. d.

Na podstawie referatu pana Morel-Retz, kongres więc uchwalił życzenie, aby we wszystkich prawodawstwach przyjęta została zasada własności literackiej i artystycznej rysownika w ten sposób, iż autor, nawet jeśli utwór sprzedał, odstąpił tylko prawa używalności i reprodukcji, bez żadnej zmiany, zachowując prawo moralne, pozwalające mu oprzeć się wszelkim powtórzeniom zmienionego, przeinaczonego dzieła swego. Odnośny paragraf ma być włączonym do konwencji berneńskiej.

P. Torelli Viollier mówił—jak wszyscy—w języku francuskim o znizeniu opłat pocztowych na dzienniki w obrębie Związku Pocztowego, przy czem zwrócił uwagę, że i oplata od listów wysyłanych za granicę winna-być obniżoną. Na jakiejże bowiem zasadzie ustanowioną została taryfa listowa w obrębie Związku Pocztowego? Dodano takse wewnętrzną kraju wysyłającego list do taksy kraju, który go odbiera, i dołączono koszta tranzytu, jeśli kraje te nie graniczą z sobą. Że jednak wewnętrzna taksa nie jest jednakową we wszystkich krajach, gdyż w jedynastu Państwach nie jest wyższą nad dziesięć centymów, podczas gdy w innych dosięga 15, 20, a nawet i 28 centymów, przeto wzięto mylną przeciętną i ustanowiono taryfę 25 centymów dla przesłania zwyczajnego, tj. piętnastogramowego, listu za granicę, jak np. z Włoch do Rosyi.

W rzeczywistości bowiem obliczenie to nie ze wszystkim jest zasadnem. Kiedy list nie wyszedł z kraju, zarząd poczt dopełnia trzech robót: wysyła list, przynosi go i oddaje adresantowi; tymczasem kiedy list wychodzi z kraju, administracja ma tylko dwie czynności do załatwienia. Co do wysyłki dzienników za granicę, poglądy były te same: podwojono wewnętrzną opłatę pocztową każdego kraju, dodano kosztą towarzystw i w ten sposób otrzymano przeciętną pięciu centymów dla każdego dziennika, nie ważącego ponad 50 gramów.

Tymczasem w kilku państwach taryfa pocztowa od dzienników odbiegła od ogólnej normy. Najprostszym i najbardziej ekonomicznym jest sposób wysyłki dzienników w Serbii, Kanadzie, Chili i innych południowo amerykańskich republikach, gdzie się odbywa „gratis“, w większej części państw europejskich taksa pocztowa dla dzienników podlega różnym zmianom, zależnie od tego, czy gazeta wysyłana jest przez wydawcę, czy też przez inną prywatną osobę, czy jest codzienną, tygodniową lub miesięcznikiem, lub czy wysyłaną bywa pojedynczo, ale w grubszej ilości itd.

Wreszcie weźmy następny przykład: opłacanie dziennika francuskiego, wysłanego wewnątrz Francji, kosztuje dwa centymy, zaś opłata belgijskiego w Belgii wynosi jednego centyma. Ponieważ oba kraje z sobą graniczą, przeto transport z jednego państwa do drugiego powinien-by nie być wyższym nad trzy centymy, a kosztuje pięć. Toż samo dotyczy Włoch, Szwajcaryi, Danii, Hiszpanii, Grecyi, Hollandyi, Portugalii, Rumunii i Szwecyi. Prasa wszystkich krajów jest pokrzywdzoną w stosunkach międzynarodowych przez taryfę związku pocztowego. Niemcy, Anglia, Austria, wydające zwykle dzienniki obszerne, w niektórych tylko wypadkach cierpią na tem zarządzeniu.

Zniżka taryfy międzynarodowej nie wymaga zgody wszystkich państw, które przystąpiły do związku pocztowego, jak to widocznem jest z 21 paragrafu ostatniej konwencji pocztowej międzynarodowej, zawartej w Waszyngtonie w r. 1897, na mocy którego pojedyncze państwa mogą układać się o zniesienie opłat i ulepszenie wzajemnych stosunów pocztowych.

Lub też niektóre państwa, jak Francya, Anglia, Rossya, Hiszpania, Stany Zjednoczone, nie przyjęły abonamentów pocztowych międzynarodowych, abonamentów cieszących się mniejszą opłatą, (paragrafy 6 i 7 konwencji waszyngtońskiej), przyjęły natomiast to ulepszenie: Niemcy, Austria, Belgia, Włochy, Norwegia, Szwecya, Turcya i wiele innych.

W materji tej kongres uchwalił: Biuro Prasy Centralne paryskie winno postarać się u różnych rządów, aby na podstawie § 21 konwencji waszyngtońskiej zniżyły taryfę wysyłki dzienników z jednego kraju do drugiego.

Niemniej ważną wydała się sprawa ułożenia słownika skrótów telegraficznych na użytek dziennikarstwa, gdyż, jak dotąd, dział telegraficzny każdej nakładowo prowadzonej gazety ciąży nadmiernie na jej budżecie; na ciężar ten skarżą się przedewszystkiem dzienniki amerykańskie, posiadające telegramy z Europy, lub *viceversa*. Dla Stanów Zjednoczonych depesza, wysłana z Europy, kosztuje od 1 franka 60 centymów, do 2 franków 45 cent. za każde słowo. Dla Afryki (z małemi wyjątkami) wznosi się od 4 fr. 17½ centymów (Obook), do 10 fr. 62 centymów (Kamerun); dla Azji; waha się pomiędzy 4 fr. a 4½ frankami (Indye angielskie), 6 fr. 75 cent. dla Chin, 7 fr. 70 centym. dla Japonii i od 5 fr. 70 cent. do 6 fr. 50 centymów dla Australii, jakie pobierają rocznie towarzystwa linii podmorskich. Ale i na stałym lądzie europejskim dało-by się zaprowadzić alepszenia i oszczędności dla dzienników. Telegram np. z Rzymu do Warszawy kosztuje (jeżeli zawiera słów 12) po pół franka od słowa; dwadzieścia słów kosztuje 9 franków 40 centymów; trzydzieści słów kosztuje 13 franków (lirów) 60 centymów, bez różnicy czy do Warszawy czy do Petersburga, czy do Władywostoku. A przecież i tutaj odległości powinny-by być wzięte w rachubę.

Dzienniki zasobne mogą zapewne wystarczyć wielkim ofiarom, jakich wymaga telegraficzna obsługa publiczności; dziś jednak, kiedy wszystko się demokratyzuje, kiedy się zbliża wiek XX, mający uszczęśliwić ludzkość, dobrze-by było, aby wielka masa gazet mogła korzystać w daleko szerszej mierze z dobrodziejstwa aparatów Morse'a lub Hughes'a.

Problemat został już rozwiązany w świecie handlowym. W Anglii i Ameryce istnieje od kilku lat: „Kodeks skrótów telegraficznych“ pana Clauson-Thue, zawierający 25 tysięcy wyrażeń, zamkniętych każde w jednym słowie.

Ktoś w Londynie otrzymuje weźmy naprzykład kabalistyczną depeszę: *Horoscope, Crunch, Enrique, Atraquero, Woodsorrel, Camera-tion, Parole, Capitulate, Worthily*, tj. dziewięć słów. Rozwiązuje ją ze słownikiem w rękę, jak następuje:

„Straszna burza sprawiła wielkie spustoszenia. Zbiory bardzo ucierpiały. Parowiec Enrique należący do Peninsuler and orient-Company, został zerwany z kotwicy i rozbił się na brzegu. Kapitan wpadł do morza i znikł. Załoga oraz podróżni uratowali się. Ładu-

nek będzie mógł być uratowany w znacznej części, jeśli pomoc rychło nadejdzie. Bliższe szczegóły listownie.“ A co? czy nie praktyczne?

Podobny „Kodeks“ odda dziennikarstwu takie same usługi, o czym już rozprawiano na kongresie w Lizbonie. Na wniosek więc Torelli-Violliera zapadła uchwała:

Rozpisać konkurs na plan słownika skrótów telegraficznych dla prasy z nagrodą w postaci medala złotego, oraz drugi konkurs na zastosowanie tego planu z nagrodą tysiąca franków. Program i szczegóły konkursów ogłoszone będą w paryskiej „Presse internationale.“

Wspomnę tylko pobieżnie o punkcie programu kongresowego, oduoszącym się do uregulowania wzajemnych stosunków redakcyi ze współpracownikami. Jest to, że się tak wyrażę, kwestyą wewnętrzną dziennikarzy, czekającą załatwienia, gdyż według dotychczasowej praktyki, stosunki te zostawiają wiele do życzenia. Uwolnienie współpracownika dziennika odbywa się zwykle bez wszelkiej ceremonii, stąd pewne uprzedzenie co do stanowiska moralnego, społecznego i prawnego wielkiej masy dziennikarzy. We Francyi sądy, w razie wypowiedzenia pracy w dzienniku, jednemu z piszących, przyznają jednak półroczną indemnizacyę, rozpatrzywszy poprzednio spór według słuszności i warunków, w jakich powstał. W Niemczech płacą za kwartał, od chwili kiedy współpracownik uwolnionym został od obowiązków. Najlepiej pod tym względem urządziły się Włochy, gdzie jest kilka wielkich Stowarzyszeń dziennikarzy i wiele gazet. „Associazione della Stampa“ (w Rzymie) i „Società Lombarda dei giornalisti“ w Medyolanie ustanowiły w tym celu specjalną kommissyę sądu polubownego, aby w razie potrzeby rozstrzygać spory w redakcyach i chlubią się wybornymi rezultatami. Wogóle powiedzieć można, iż wynagrodzenie w razie uwolnienia współpracownika, w rozmaitych państwach, o ile dotyczy dziennikarzy, chwieje się pomiędzy odszkodowaniem kwartalnym a półrocznym, i to od chwili, kiedy został uwolnionym, bez względu, czy wypowiedzenie nastąpiło, lub nie. Zarząd paryskiego biura wyda niebawem odnosny regulamin, aby ustalić normy ogólne dla wszystkich stowarzyszeń.

Brak miejsca nie pozwala mi skreślić obrazu uroczystości kongresu, bardzo pięknych i wybitnie artystycznych, jak się to samo przez się w Rzymie rozumie. Ośmiu polskich dziennikarzy (z tych p. J. Gadowski z Warszawy), biorących udział nie tylko w obradach, ale i bankietach i festynach, nabrało chyba przekonania, że nigdzie, tak jak w Rzymie, nie umieją przyjąć mowami, wieczorami, obiadami, wspólnie uraczyć i rozradować. Zresztą, gdzież znajdują się drugie podobne

ramy? Z Wiednia przybył p. Alfred Szczepański, Inländer, ze Lwowa Kaz. Skrzyński, A. d. Bienkowski, Nikorowicz, L. Masłowski. Do tego grona należał tu niżej podpisany.

Wszyscy razem, z kilku paniami i kilku osobami zaproszonymi, znaleźliśmy się na Kapitolu, w pałacu konserwatorów, przy popiersiu Adama Mickiewicza, aby go uczcić solennie zbiorowem złożeniem wieńca i kilku przemówieniami. Ale o tem w swoim czasie doniosły obszerniej nasze dzienniki.

Nie da się zaprzeczyć, że w Europie wieje teraz powiew międzynarodowości; kongres prasy był jednym z torujących ścieżki. Za rok kronikarz paryski będzie mógł wrócić do tego przedmiotu, gdyż następny kongres odbędzie się nad Sekwaną, w lipcu 1900 roku.

Jan Bovio, profesor prawa na wszechnicy w Neapolu, poseł skrajnej lewicy, znanym jest więcej z filozoficznych dramatów, jak „Chrystus na święcie Purym“, „S-ty Paweł“, niż ze swojej działalności profesorskiej. Jest to zapalona głowa, z przekonań demokracja republikański, człowiek może nie dość ściśle naukowy. Nie może się np. równać z Neapolitańczykiem także, Paskalem Villarim, profesorem historii we Florencyi, autorem „Historyi Hieronima Savonaroli itp.“ Bovio (który jest massonem) pozazdrościł wawrzynów (?) Cezaremu Lombroso, znanemu profesorowi medycyny prawnej i kliniki psychologicznej w Turynie i wydał dziełko p. t. „Geniusz. Rozdział z dziedziny psychochologii“ (Il Genio. Un capitolo di psicologia). Lombroso, oprócz dzieł swoich, jak „Człowiek zbrodniarz w stosunku do antropologii“, zastanawiał się nad geniuszem w stosunku do psychiatrii, gdzie starał się przyznać medycynie, a raczej fizjologii, to, co, według dotychczasowych mniemań, należało do zakresu prawa i sprawiedliwości. Nie udało się Cezaremu Lombroso ustalić „typu“ przestępcy, ale nie da się zaprzeczyć, że turyński psychiatra dał bodźca na polu fizjologii psychologicznej i społecznej. Chciał także określić naturę geniusza, w którym, straszno powiedzieć, dopatrywał się wady organicznej, zbliżającej go do zwyrodniałego, do przestępcy.

To, co my rozumiemy pod geniuszem, ściśle, naukowo, zbadaniem nie zostało; nad teorią Lombrosa wybuchły spory; we Włoszech zaś,

w ostatnich czasach, z powodu nowych badań nad Jakóbem Leopardim, zmarłym w r. 1837, lirycznym poetą pesymizmu, chorowitym garbuskiem, odżyły te spory, kiedy dwóch włoskich krytyków, Patrizi i Sergi, zaczęło doń stosować metodę głośnego autora dzieła „Geniusz i zwyrodnienie“.

Przybył więc nowy głos w tej sprawie, co prawda nie ściśle naukowy, ale, w gruncie rzeczy, któż potrafi określić istotę geniusza? Bovio zwraca się w pewnej mierze przeciw teorii Lombrosa, tylko, że jego wywody są mgliste. Aby zastąpić poglądy turyńskiego profesora i wykazać brak wszelkiego związku między geniuszem a obłąkaniem, wypadło-by przedewszystkiem określić naukowo, czym jest geniusz, a tego Bovio, pomimo dwustukilkudziesięciu stronic, nie dokonał. Zdaje nam się zresztą, że nie mógł dać tego określenia, bo geniusz jest pojęciem empirycznym, nieuchwytnym, które rozmaici myśliciele rozmaicie sobie tłumaczą. Ktoś np. powiedział, że „geniusz jest monologiem, w którym przemawia cały naród albo całe plemię, albo głos przyrody,“ My określenie tego rodzaju możemy nazwać wzniosłem, poetycznym, ale nam nie wystarczy. Bliższem zepewne celu jest określenie, dane przez Bovia: Geniusz jest tym najwyższym stopniem syntezy, który sprawia, że myśl, samodzielnie i w odległym stosunku, zdobywa prawdę...“ Trudność zdefiniowania leży także w tem, że niewiadomo, gdzie się kończą granice wysokiej zdolności, a gdzie się rozpoczyna Olimp geniusza. Dla narodu i dla siebie samych, geniusze nie są niczem innym, jeno superlatywem zdolności; próbując więc oznaczenia granicy, podlegamy wpływowi naszej własnej subiektywności, skąd wielka różnica w sądach o jednym i tym samym człowieku. Dla naszego autora np. Napoleon I nie był geniuszem, bo zrobił wiele złego.

Wracając jeszcze do Lombrosa, Bovio sądzi, że źle postąpił, stosując do geniusza te same dane, jakie otrzymał w badaniach swoich nad obłądem i zbrodnią, i dalej, że nie pochwycił dokładnie różnic pomiędzy geniuszem, a t. zw. genialoidem; odmawia też geniuszowi podstawy patologicznej, a widzi tylko fizyologiczną, „do geniusza idzie się pod górę, a zwyrodnienie idzie od geniusza na dół...“ W jednym miejscu zaś mówi nasz autor. „Choroba, jaka-by w nim (geniuszu) tkwiła, czy to dziedziczna, czy to nabyta, szkodzi mu, ale nie pomaga. Jak od zwyczajnych zdolności do geniusza jest wiele form przejściowych, tak jest ich wiele od waryata do człowieka rozumego. Ale geniusz jest szczytem mądrości i dlatego właśnie (?) udaje coś wprost przeciwnego, tak, jak ruch koła w najszybszym biegu wydaje się spokojem...“ (?)

Do utworzenia się geniusza potrzebne są nietylko czynniki naturalne, tworzące myśl, ale i czynnik dziejowy, w którym się będzie obracał. Dwie są cechy, wyróżniające geniusz i oryginalność odnośnie do potęgi i do odkrycia prawdy, odnośnie do celu. Stąd też i neapolitański filozof znalazł formułę: geniusz jest najwyższym stopniem syntezy, to jest, że myśl w sposób oryginalny i na daleką metę 'zdobywa prawdę'.

Różnica pomiędzy zdolnością a geniuszem jest w gatunku, a nie w ilości, gdyż tak jedna, jak drugi, są stopniami rozmaitych funkcji—analizy i syntezy.

Wywody swe prowadzi Bovio z wielkim nakładem erudycji, nawet i gadulstwa błyskotliwego, zdradzającego syna południa.

Geniusz jest więc twórczością. Ale czy się tworzy z niczego? Więc geniusz jest odkrywcą.

Ale zastosowania odkrycia są najrozmaitsze, skąd więc pochodzi, że wkoło każdego geniusza tworzy się serya, rodzina ludzi genialnych. Człowiek genialny ma się do człowieka-geniusza, jak Gariik do Szekspira, jak Vespucci do Kolumba, wogóle ci wszyscy, co się wstawili swojemi zastosowaniami—do pierwotnego odkrywcy.

Zebranie się sił w jednym miejscu jest nadmiarem, który mąci harmonię funkcji, wytwarza brak równowagi, gdyż jedna z władz umysłowych wypiera drugie i powoli je osłabia. Stąd pochodzą w geniuszu gwałtowne popędy, posunięte aż do szalu, czy to w dobrem, czy w złem. Ten nadmiar, który staje się nierównowagą, ta nierównowaga, która staje się wybrykiem, są chorobliwemi, sprowadzają wszystkie wady i słabości choroby. „Nadmiar sił, brak równowagi, chorobliwość, uważane czy to jako czynnik, czy też jako skutek, dają geniusz i towarzyszą mu“. Jak widzimy, Bovio przyjmuje w części poglądy Lombrosa.

Rzeczywiście nie spotyka się człowieka geniusza, który-by był zupełnie zdrowym lub podobnym do innych ludzi; już starożytni mówili: *nullum magnum ingenium sine dementia*. W mowie, w czynie, wykazują oni zawsze coś, co ich zbliża do domu obłąkanych. Jest to więc choroba systemu nerwowego: psychoza i newroza, ale rodzajów newrozy jest kilka: najczęściej objawia się w konwulsjach epileptycznych. Czyżby to była słabość właściwa, potrzebna geniuszowi? Smutny to przywilej, płynący z prawa kompensacji.

Przy tej sposobności B. robi uwagę, że przeciętny człowiek, który dla oka tłumów wydawał się najlepiej zrównoważonym, zaczyna powoli zanikać. Wszyscy dziś chorujemy na newrozę, oprócz apatycz-

nych, którzy znów są chorzy w innym kierunku. Pół wieku temu, człowiek miał do myślenia o połowę mniej, niż dzisiaj. Dziś człowiek zaledwie wyduła ciężarowi zdwojonych stosunków i upada pod niemi.

Dalej Bovio zastanawia się nad stosunkiem pomiędzy geniuszem a obłądem (i zbrodnią), tj. między dobrowolną i bierną assocjacyą myśli. Że zalety geniusza przybierają często wygląd obłądu—co już zauważyli starożytni—nie da się zaprzeczyć. Ale obłąd ten geniusza jest szczytnym i wględnym.

Geniusz, jeśli jest naukowym, szuka prawdy; jeśli jest artystycznym, w prawdzie szuka piękna; jeśli jest badawczym, w prawdzie i pięknie szuka dobrego.

Z książki jednak widać, że autor, pomimo całego jednego rozdziału, poświęconego hymnowi na cześć geniusza i jego przyszłości, nie bardzo jest spragnionym nowych geniuszów. Nie zapominajmy, że Bovio jest demokratą i ateuszem. Zdaniem jego, wtedy, kiedy wielu nie myślało i nie kierowało rozumnie własnymi myślami, wytłómaczonym był przymiot królewski, że jeden myślał i pracował za wielu; ale teraz wielu myśli i chce, należało-by się, aby ten jeden powoli się wycofał i wstąpił do chóru.

„Co nam dziś przy takim podziale pracy, przy takim rozskrzewieniu się królewskości, po Archimedesie, lub Cezarze?“ Nie chce ani Napoleona, ani Papieża.

Geniusz narodowy, geniusz rasy, tworzy się z przygotowania. Pełna uniwersalność (nauka, myśl, sztuka i czyn), która nie była nigdy udziałem jednego człowieka-geniusza, wchodzi cała w psychę zbiorową, tj. w duszę narodu. Dlatego, bez duszy narodowej, która natchnie, nie możliwe są ani reformy, ani rewolucye, ani geniusz. Rasy i narody zwyrodniałe nie dają myślicieli, ani bohaterów, tak, jak zepsute rodziny nie rodzą geniuszów.

Zapytuje się wreszcie nasz autor, czy rasa łacińska jest rzeczywiście, jak mówią, na zwyrodnieniu i stąd przeznaczoną do nowych najść ras młodych? Narody i rasy, kiedy są rzeczywiście zwyrodniałe, tracą swój geniusz, nie tworzą już wielkich myślicieli, artystów, działaczy. Tego zwyrodnienia Bovio nie widzi w dzisiejszych Włoszech, choć przyznaje, że jest zastój w produkcji geniuszów. Ostrzega więc naród przed pesymizmem, a zachęca do rozwiązania kwestyi społecznej... Nie podoba mu się dzisiejsza chwila, ale degeneracyi nie widzi. Toż samo powiada o Francyi i Hiszpanii. Upadek tej ostatniej przypisuje wszechwładzy katolicyzmu.. Sedan francuski, Adua włoska, Kuba hiszpańska, stanowią trzy klęski łacińskiej rasy, ale z tych

pogromów wyrość może liga łacińska, przedmurze przeciw wielkiej inwazji obcych ras. Wierzy on w odrodzenie latynizmu i marzy o lidze łacińskiej, tak, jak wielu na półwyspie.

Więcej o archeologię, niż o literaturę, zatraça wydanie w wiernej fototypijnej kopii sławnego kodeksu watykańskiego Wergilusza Marona, p. t. „*Codices e Vaticanis selecti, phototypice expressi, jussu Leonis XIII consilio et opera Curatorum Bibliothecae Vaticanae.*“ Vol I. Romae 1899. Każdy, kto zwiedzał Watykan i wielkie wspaniałe sale, zwane Biblioteką, a będące raczej muzeum osobnem, mógł choć bardzo pobieżnie przypatrzeć się drogocennym rękopisom, rozłożonym pod szybami pulpitów, najciekawszym ze zbiorów, gdyż wszystkie kodeksy, z wyjątkiem tych kilkunastu, zamknięte są w szafach i nie są na razie widoczne. Tutaj oglądać można sławny kodeks Septuaginta i Nowego Testamentu z V wieku, pisany kwadratowymi literami; Wergilusza, o którym obszerniej pomówimy; Terencyusza z IX wieku; Historię naturalną z biblioteki ks. Urbinu, z miniaturami, przypisywanymi Rafaelowi; zwój pergaminowy z obrazami z dziejów Jozuego, sięgający VII stulecia itd. Jak sam tytuł wskazuje, po Wergiluszu wydane będą inne drogocenne kodeksy, tak, że choćby tylko biblioteki publiczne będą mogły mieć podobizny skarbów literackich, przechowywanych w Watykanie, i nie będzie potrzeba jeździć umyślnie do Rzymu, aby zobaczyć sędziwych praojców dzisiejszych illustrowanych wydań poetów.

Ścisłejszy tytuł wydawnictwa brzmi: „*Fragmenta et picturae Vergiliana codicis Vaticani 3225.*“ Składa się ono ze 156 tablic fototypicznie oddanych, z których pięćdziesiąt zawiera miniatury, ubierające ułamki Georgików i Eneidy, reszta przeznaczoną jest do tekstu. Nadto, wydawcy, tj. zarząd biblioteki watykańskiej, dołączyli obszerny ustęp i objaśnienia po łacinie. Jak powiedziałem, wydawnictwo przeznaczone jest głównie dla bibliotek publicznych, gdzie nietylko archeolodzy, ale i artyści malarze, chcący przypatrzeć się najstarszym w świecie ilustracyom, sięgającym tradycją, ubiorami, wielu szczegółami życiowemi, świata klasycznego rzymskiego pierwszych wieków naszej ery, będą je mogli przejrzeć.

Watykan posiada cztery wspaniałe kodeksy Wergiliusza, który był tem dla świata łacińskiego, czem Homer dla greckiego, stąd i przepisany został tyle razy, w egzemplarzach nawet ozdobniejszych, że się ich siedem uratowało z zagłady świata klasycznego, sięgających od czwartego do dziesiątego stulecia. Najstarszym pono jest kodeks, zwany, niewiadomo dla czego, „augusteus“, chyba dla tego, żeby uchodził za pamiętający złote czasy cesarza Augusta, choć tak wcale nie jest. Cztery karty z tego pergaminu znajdują się w Bibliotece watykańskiej (Nr. 3256), a trzy w króleskiej bibliotece w Berlinie. Zdaje się, iż pochodzi z III wieku, ale co do piękności równać się z naszym nie może. Potem idą; kodeks w Saint Gallen (jedenaście kartek), bardzo podniszczony, pamiętający czwarte stulecie naszej ery. Najzupełniejsze są: egzemplarz medycejski w bibliotece Laurentiana we Florencyi (foliów 220), z V wieku; watykański (Nr. 3867) zawierający kart 309, z dziewiętnastu miniaturami, w końcu jeden watykański, zwany „palatinus“, gdyż złożonym jest w dziale Palatinów, z 571 kartami, noszącymi cechy VI wieku.

Z powyżej wyliczonych kodeksów Wergiliusza, dwa: egzemplarz Sangalleński i augusteus, pisane są kwadratowymi literami.

Paleografowie nie bardzo się zgadzają, co do daty powstania wydanego świeżo kodeksu watykańskiego; jedni odnoszą go do III lub IV wieku, drudzy do V nawet i VI stulecia. Spór trudnym jest do rozstrzygnięcia, bo niema z czem porównać miniatur. Ani zwęglone papyrusy Herkulańskie, przechowywane w muzeum neapolitańskim, ani malowidła ściennie pompejańskie nie dają nam klucza. Okoliczność, że malowidła ilustracyi Georgik i Eneidy zdradzają znaczne zepsucie się rysunku, co i o tekście poematu da się powiedzieć, wskazywała-by na czas późniejszy; mógł jednak rękopis być sporządzonym na prowincyi, gdzie, jak wszędzie, robota była późniejszą. Według przyjętego dziś zdania, zabytek sięga IV wieku, gdyż litery podobne są do egzemplarza medycejskiego, o którym jest pewność, że został sporządzonym przed r. 494.

Co atoli dodaje wielkiej wartości kodeksowi Nr 3225, to, że pięćdziesiąt ilustracyi miniaturowych, jakie się uratowały, zrobionych zostało, zdaniem uczonych, na podstawie starszych jeszcze, pochodzących z pierwszych czasów cesarstwa.

Jakie koleje przechodził? Kto to dzisiaj może zbadać? W XVI wieku zjawia się w Neapolu u Jana Joviana Pontana, potem jest własnością kardynała Piotra Bemby, po którym odziedziczył zbiory kanonik Bembo z Padwy. Ten ostatni sprzedał, jeszcze w XVI wieku (w r. 1579), Fulwiuszowi Orsiniemu najcenniejsze rękopisy kardyna-

ła, za stopiędziesiąt skudów: Wergiliusza, Terencyusza, Pindara i Dyonizjusza z Halikarnassu. Jak widzimy, nasz kodeks, o którym wiedział Rafael, a potem słynny rytownik Marek Ant. Rajmondi, który korzystał z miniatur, dostał się do Rzymu, a i reszta rękopisów znajduje się dziś w Watykanie. Była jednak chwila, kiedy Filip II, król hiszpański, starał się o nabycie tych skarbów do Madrytu, ale Grzegorz XIII ułożył się z Orsinim, dał mu dożywocie, pod warunkiem, aby ze śmiercią właściciela cały zbiór przeszedł na własność Stolicy Apostolskiej. W końcu r. 1583 stanęła ugoda, gdy zaś w roku 1600 Fulwusz Orsini umarł, oddał testamentem Papieżowi „omnes et singulos libros, tam graecos quam latinos, manuscriptos et impressos,” zastrzegając tylko, aby na rękopisach umieścić napis: „Fulvius Orsinus huic bibliothecae donavit“. Odtąd skarby te spoczywały spokojnie w zbiorach kuryi, póki burza francuskiej rewolucyi, łapczywość Napoleona i wojsk francuskich nie stały się powodem obawy o zrabowanie lub zaginięcie drogocennych pamiątek. W r. 1796 wojska francuskie wkroczyły do Państwa Kościelnego, a pomiędzy warunkami pokoju w Tolentynie położonem było, aby Papież, oprócz stu wielkich dzieł sztuki, posłał do Paryża pięćset sztuk kodeksów watykańskich. Niedosć tego: żołdactwo francuskie wpadło do Watykanu, zabrało zbiór monet i sto trzydzieści ksiąg, będących dziś ozdobą Bibliótheque Nationale w Paryżu. Uratowanie Wergiliusza i wielu innych rzadkości zawdzięczyć należy zarządzeniu Piusa VI. Z chwilą, kiedy austriackie wojska zostały pobite i kiedy Francuzi spodziewani byli w Romanii i Rzymie, rzeczy największej wartości, znajdujące się w pałacu Apostolskim, zebrano i wywieziono do Terraciny, miasteczka położonego na granicy królestwa Neapolitańskiego, aby je tam ukryć. Pięćset najcenniejszych kodeksów, kamee, medale, schowane zostały w Rzymie, w rozmaitych miejscach, pomiędzy innymi w skrytkach Biblioteki. Ucierpiał jeden tylko Terencyusz, zostawiony w szafie, zrabowany przez żołnierzy francuskich, sprzedany przez nich, następnie oddany do Watykanu. U Wergiliusza została była kosztowna oprawa, ze srebrnymi kłanrami, dana jeszcze przez Orsiniego, i ta padła ofiarą łupiestwa.

Kodeks Nr 3225 miał pierwotnie 75 kart tekstu pisanego; nie wiadomo kiedy dołączono siedemdziesiątą szóstą kartę z egzemplarza medycejskiego, przechowanego dziś w Laurencyanie, we Florencyi. W każdym razie stało się to po przekazaniu ksiąg przez Orsiniego i prawdopodobnie dopiero w wieku XVIII, całkiem ukradkiem, skutkiem czego były nawet korespondencje listowne między stolicami nad Arnem i Tybrem.

Niestety, kodeks dalekim jest od tworzenia tej całości, w jakiej istniał pierwotnie, w bardzo odległej starożytności; jest dziś takim, jakim go mieli Bembo i Orsini, ale z początkowego rękopisu, jakim był w IV wieku, została się zaledwie piąta część. Tak przynajmniej obliczył p. Piotr de Nolhac, paleograf francuski, który go najdokładniej zbadał.

Nolhac sądzi tedy, że było w nim początkowo 420 kart, a mniej więcej 205 miniatur. Skutkiem uszkodzeń, tylko dziesięć kart tworzy jeden ciąg, reszta jest poprzerrywana, zarówno w Georgikach, jak Eneidzie. Do pierwszych odnosi się dziewięć malowideł (do trzeciej Georgiki pięć, do czwartej cztery) reszta ubiera Eneidę. Niektóre z nich zajmują całą stronicę, niektóre wcielone są między tekstem, na początku lub na końcu wierszy.

Malarz, a raczej malarze—gdyż było ich widocznie dwóch—użyli kolorów: czerwonego, czarnego, złotego i białego, tj. tej samej gamy farb, jaką wykazuje niewielki fresk klasyczny, znajdujący się także w Watykanie: wesele Aldobrandyńskie. Powiedzieliśmy, że malarzy ilustratorów tekstu było dwóch. Jeden z nich, zręczniejszy, lepszy, malował do Georgików, drugi do Eneidy. Co jest oryginalnem i ciekawem, to sposób, w jaki malowali. I tak np. jeśli trzeba było przedstawić konia, przed nim stojącego żołnierza przed miastem, z okolicą w tyle, malarz malował nasamprzód całą okolicę, na niej całe miasto, potem na tle miasta konia, a na tle konia—żołnierza. Widać, że inaczej nie umiał, ale stąd poszło, że kładli farby na farby, i te, co były na wierzchu, ścierały się łatwo. W każdym razie, malowania te, nierównie ważniejsze od tekstu, są dla nas nadzwyczajcenne, gdyż dają nam wyobrażenie o ubiorach, uzbrojeniach, okrętach, domach, wnętrzach, tak, jak istniały w Rzymie, aż do V wieku, do najść barbarzyńców i zawalenia się cywilizacji.

Kilka z tablic są mocno podniszczone, ale jest wiele nie zostawiających prawie nic do życzenia, przypominających Pompejańskie freski. Sielskie krajobrazy Georgików, z zagrodą, sadem, bydłem, są naiwne, ale nie bez uroku; w Eneidzie malarz kładł nad postaciami napisy, jak: Laookon, Aeneas, Dido lub poprostu *vates* (wróżbita). Do rzędu ciekawszych należą tablice Nr. 40 i 41, przedstawiające wnętrza kobiecych mieszkań. Co do samego tekstu poematów Wergiliusza, to choć pisanym jest wlekkimi literami i występuje wyraźnie, jednakowoż z powodu rozmaitych skrótów, dziś całkiem nieużywanych, przedstawia niemałe trudności w odczytaniu.

O ile wiem, zarząd biblioteki watykańskiej zamierza ogłosić jeszcze pięć innych kodeksów, osobliwości tego jedyne w swoim rodzaju zbioru.

Groźna choroba Leona XIII, która zaniepokoiła świat katolicki, a dzisiaj, pomimo szczęśliwie przebytej operacji, późny wiek papieża, mającego już dziewięćdziesiąt lat życia, dały powód do wielu artykułów i dyskusji w sprawie przyszłego conclave. Zwłaszcza prasa włoska rozpisywała się o przypuszczeniach, przewidywaniach, prorocत्वach, co do przyszłego wyboru, choć wszelkie przewidywania w tej materii nie mogą być niczem innym, tylko mniej lub więcej szczęśliwymi przypuszczeniami. Mało jest nawet takich, którzy piszą z pewną już znajomością rzeczy. Watykan i wszystko, co się dzieje w Watykanie, otoczone jest ściśle tajemnicą, kardynałowie się prawie wcale nie udzielają, a jeśli się ukażą czasem na jakimś wieczorze, czy obiedzie dyplomatycznym, lub jeśli kogo przyjmą, zachowują się zawsze jak najostrożniej, tak, że w gruncie rzeczy, zarówno oni sami, jak i sprawy bieżące Stolicy Apotolskiej, pozostają dla szerszego ogółu niedostępne.

Ci Eminencye, którzy stoją na czele wielkich dygnitarzy włoskich, a więc nie mieszkają *in curia*, żyją i obracają się wyłącznie w kołach duchownych, jak im nakazuje położenie, wytworzone przez wypadki polityczne na półwyspie włoskim, z chwilą zaboru państwa papieskiego i Rzymu. Choć zachowują niezbędne stosunki z władzami rządowymi, żyją przecie na stronie, mało widzialni, jak najciszej zajęci zadaniami swego powołania. W sferach liberalnych, nietylko oni, ale nawet biskupi i proboszcze, podejrzewani bywają o spiski antypatryotyczne przeciw instytucjom i jedności Włoch, więc rozdział jest zupełny.

W Rzymie samym żyją, że się tak wyrażę, incognito, jeżdżą zasnuciami w głąb karet, pokazując się jak najmniej publicznie, bez żadnej styczności ze światem rządowym. Jeśli są jakie nieuniknione potrzeby zetknięcia się, dzieje się to przez trzecie osoby, nie należące do świata duchownego.

Pod tym względem istnieje zupełna sprzeczność między zamkniętym spokojem polityki duchownej sfer watykańskich, leżącej w tradycji kuryi, a niewłaściwą nieraz i hałaśliwą otwartością sfer politycznych rządowych.

Nowy porządek rzeczy, jaki nastąpił w Rzymie od r. 1870, tj. od wyłomu w bramie Pia, miał jeszcze ten skutek, że Włochy, najwięcej interesowane w wyborze papieża, nie tylko mniejszy wywrą wpływ na conclave, niż inne państwa, ale właściwie żadnego wpływu nie będą miały. Tak było w r. 1878, podczas conclave Leona XIII, tak będzie i teraz. Bezpośredniego wpływu Włochy więc wywrzeć nie mogą, mogą tylko, w porozumieniu z Austryą i Niemcami, przez trójprzymierze, zwłaszcza przez Austryę, próbować pewnej pressyi na kardynałów, choć powiadają, że Austria nie będzie korzystała z tak zwanego prawa *veto*, uważając dzisiejsze położenie za całkiem zmienione. Więc choć większa część świętego kolegium składa się z kardynałów włoskich, rządowi włoskiemu nie pozostanie nic innego, tylko czekać na rezultat obrad i głosowania w kaplicy Sykstyńskiej. Kto wie nawet, czy Austria nie dlatego z góry zrzeka się wszelkiej ingerencji w sprawie conclave, aby nie dać Włochom powodu do tego samego?

Zdaje mi się więc, że dzisiaj prawo *veto* zostanie zaniechanem, gdyż i kardynałowie, i wogóle Watykan, nie chcą już o niem słyszeć. Osobiste sympatye, wpływy, naciski, nie zrobiły-by wrażenia. Przypuśćmy nawet, że kilku kardynałów austriackich (jest ich obecnie pięciu) i czterech, czy też trzech niemieckich, zgodzi się na pewną, zaleconą im przez własne rządy osobę, życzliwą jakoby dla trójprzymierza – jakież nacisk mogą wywrzeć w łonie kardynałów, gdyby pomiędzy Włochami, którzy-by mieli niewątpliwie za sobą część innych cudzoziemców, utworzył się prąd przeciwny?

Więc wybór nowego papieża będzie jedynie wyrazem potrzeb czasu i potrzeb Kościoła; życzenia rozmaitych mocarstw, nie tylko Włoch, Austrii, Niemiec, ale i Francyi, i wreszcie, jeśli mamy ją uwzględnić, także i Hiszpanii, pozostaną platonicznemi dezyderatami, choć Francya pospieszyła w ostatnim miesiącu z posłaniem do Rzymu Eminencyi *in curia* w osobie kardynała Mathieu.

Nie można też porównywać conclave z zebraniem wyborczem politycznem, bo różnice są nadto wielkie. Przedewszystkiem liczba głosujących jest niewielką i składa się wyłącznie z żywiołów poważnych, ludzi wiekowych.

W przyszłym conclave weźmie udział nie więcej nad sześćdziesięciu kilku kardynałów. Obecnie jest ich ogółem sześćdziesięciu pięciu, z tego trzydziestu siedmiu Włochów i dwudziestu ośmiu obcokrajowców. Z tych ostatnich może kilku nie przybyć na conclave z powodu oddalenia i choroby, jak na przykład z Ameryki. Celem otrzymania przepisanej liczby trzech czwartych głosów, nowy elekt będzie potrzebował czterdziestu kilku głosów, tak, jak Leon XIII w roku 1878 otrzymał ich przy trzecim skrutynium 44.

Pozwolę sobie wyliczyć dzisiejszych kardynałów włoskich; Oreglia di S. Stefano, *camerlengo* (to jest sprawiający rządy w czasie interregnum) i dziekan *ś-go* kollegium; L. M. Parocchi, wice-dziekan i wikary Jego Świętobliwości; Serafin Vanutelli, Wincenty Vanutelli, Mocenni, Verga, Marrella, Di Canossa, Celesia, Capecelatro, Aloisi - Massella, Rampolla (sekretarz stanu), Galeati, Di Pietro, D. Svampa (arcybiskup boloński), Sarto, Ferrari, H. Gotti, Satolli, Manara, Jacobini, Agliardi, Ferrata, Cretoni, Prisco, Mertel (kardynał od roku 1858), Macchi, Segua, Pierrotti, Richelmy (arcybiskup Turynu), Respighi (arcybiskup Ferrary), Ciasca, Francica-Nava, Casali del Drago, Cassetta, Portanova (arcybiskup Reggio-Calabria) i Trombetta.

Zagranicznych Eminencyi jest obecnie dwudziestu dziewięciu: Ferreira, Ledóchowski (in curia), Netto, Morau, Langénieux, Gibbons (Ameryka), Richard (Paryż), Goesseus, Grusza (Wiedeń), Logue, Vaszary, Vaughan, Kopp, Perraud, Lecot, Schlauch, Saucha, Halter. Cascajares, Cassanas, Herrera, Coullié, Labouré, Steinhuber (in curia), Mathieu (in curia), Missia (arcybiskup Gorycyi) i vives da Llevaneras, Hiszpan (in curia).

Conclave, z którego wyszedł Leon XIII, miało 64-ech kardynałów, z tych 25 cudzoziemców; w roku 1846, kiedy został wybranym Pius IX, było tylko 8 Eminencyi.

Wątpliwem jest, czy w przyszłym conclave będą mogli wziąć udział dwaj włoscy purpuraci: Mertel, stojący w 73 roku życia i sędziwy dr Canossa, arcybiskup Weroniki. Oprócz tych dwóch, żyje jeszcze trzech innych, którzy głosowali w conclave roku 1878: Oreglia, Parocchi i Ledóchowski.

Kardynałowie, żyjący poza granicami Włoch, a nawet i stojący na czele diecezji włoskich, znają się mało między sobą i znają tylko powierzchownie kardynałów, mieszkających *in curia*, ale stosunków kościelnych Papiestwa, względnie do Włoch i całego świata, świadomi są mniej więcej dokładnie. Skoro Eminencye zjawią się na conclave — gdyż pierwej o porozumieniu się nie może być mowy — a więc w czasie

tych dziewięciu dni, jakie muszą upłynąć pomiędzy śmiercią Papieża, a zejściem się w odosobnieniu kaplicy Sykstyńskiej. podczas konferencji, jakie prawie codziennie wtedy się odbywają w Watykanie, następuje wymiana myśli co do przyszłej Głowy katolicyzmu, bo w samej kaplicy, wobec Sądu Ostatecznego Michała - Anioła, niema już dyskusyi, każdy przychodzi tam, że się tak wyrażę, z materiałem gotowym, ze zdaniem urobionem, czy to do oddania głosu przy pierwszym skrutynium, czy też, jeśli kandydat nie otrzymał trzech czwartych głosów, do *przystąpienia* do innego kandydata, tak zwanem *accessit*.

Ci kardynałowie, którzy zjadą do Rzymu na wieść telegraficzną o zgonie Leona XIII—któremu zresztą długich jeszcze lat pontyfikatu życzymy—będą przedewszystkiem zasięgać zdania kardynałów, którzy byli na nuncyaturach, jak najlepiej obeznanych z ogólnymi warunkami politycznemi Kościoła. Jest ich obecnie piętnastu na sześćdziesięciu siedmiu, to jest: Rampolla, Wincenty Vanutelli, Ledóchowski, Serafin Vanutelli, Fetrata, Agliardi, Cretoni, Segna (dziś kardynał - archiwaryusz), Di Pietro, Aloisi-Masella, Mocenni, Gotti, Satolli (nuncyusz w Ameryce) i wreszcie obleczony świeżo purpurą Francica-Nava, nuncyusz w Madrycie. Obok nich, są jeszcze powagi pierwszorzędne w sprawach kuryi: Sekretarz Stanu (b. nuncyusz) i Parocchi, wikary Jego Świętobliwości, obaj łączący w swoich osobach religię i politykę.

Jeśli oznaki nie mylą, dyskutowane będą kandydatury: Rampolli, Pkrocchiego, Svampy, Gottego i Serafina Vanutellego. Każdy z nich ma na swoje dobre zalety rozumu i religijności. Z tem wszyskiem, przewidzieć można, iż niektóre względy przechylą wybór raczej na tego, niżeli na innego. Kardynał Maryan Rampolla, najzdolniejszy może ze wszystkich dyplomata i człowiek głęboko religijny, był-by niemiłym dla trójprzymierza, gdyż manifestował bardzo wyraźnie swoje sympatyje dla Francyi; Parocchi był-by specjalnie niemiłym dla rządu włoskiego, gdyż organizuje i prowadzi propagandę katolicką we Włoszech, będącą solą w oku sferom liberalnym. Kandydaci, że użyję popularnego wyrażenia, skompromitowani, byliby: Svampa, arcybiskup boloński i Hieronim Gotti, karmelita bosy, mało znany, ale ceniony wysoko z powodu rozumu i cnót, przez Leona XIII. Wreszcie, został-by jeszcze Serafin Vanutelli. *Vox populi* chce widzieć w Dominiku Svampie osobistość, upatrzoną na przyszłego Papieża. Nie ulega wątpliwości, że Jego Eminencya Svampa jest człowiekiem bardzo rozumnym i świętobliwym, jest za to najmłodszym z kardynałów, gdyż liczy zaledwie 48 lat; podobno w sferach rządowych włoskich był-by milej od innych widzianym. Co jednak wpływa na głos publiczny, to okoliczność, że

Svampa jest tym *ignis ardens*, zapowiedzianym przez znane proroctwo Malachiasza, do którego, naturalnie, większej wagi przywiązywać nie trzeba. Ale boloński purpurat ma w herbie słońce — *ignis ardens*, podczas gdy inni jego koledzy, jak Gotti, Rampolla i t. d., nie mają w herbie nic, coby mogło być tłómaczonem w myśl popularnej przepowiedni.

Mogą być różnice zdań w łonie konklawistów, tak, jak zawsze były, ale secessye, rozdziały takie, jakie bywały dawniej, nie powtórzą się. Wobec pogorszenia się warunków, szeregi się ścisnęły. Nie masz już kardynałów Koron, nie masz stronnictw, grupujących się około jednej osoby, a nieprzyjaźnych drugiej. Głośne nazwiska Colonnów, Barberinich, Altierich, Sforzów, Odeschalchich znikły z listy purpuratów, Kościół zdemokratyzował się w nowej ewolucyi. Zresztą, zarówno Włosi, jak obcy, zgadzają się w głównych zarysach z polityką wewnętrzną i zewnętrzną Papiestwa, przedewszystkiem zgodnie sądzą, że Stolica Apostolska nie może zachować swego światowego stanowiska bez władzy doczesnej, gdyż w razie przeciwnym upadł-by jej urok. Wierzą więc jednomyślnie — w stosunku do Włoch — że Kościołowi brakuje dzisiaj w Rzymie i na półwyspie wolności, jakiej potrzebuje, i że stanowisko prawne, stworzone prawem gwarancyi z dnia 13 maja 1871 roku, jest niepewnem, gdyż podlega kaprysom parlamentu. W samej rzeczy, jak przyznają nawet umiarkowani liberalni, prawo to jest wadliwem, pośpiesznie zrobionem i, co najwyżej, ma na okubezpieczeństwo Papieża i jego dworu, w obrębie murów Watykanu.

Świeżo jeszcze widzieliśmy, iż, pomimo przyznania *souveraineté* Papieżowi, Włochy sprzeciwiły się najusilniej dopuszczeniu delegata apostolskiego do konferencji pokojowej w Hadze.

Z wyborem nowego Papieża nie zajdą chyba żadne ważniejsze zmiany. Wytyczna, wskazana przez Leona XIII, pozostanie wskazówką dla jego następcy.

Mało odkryć archeologicznych wzbudziło tyle interesu w Rzymie, ile ostatnie wykopaliska na Forum Romanum, i wiadomość o znalezieniu grobu Romulusa. To tak zupełnie, jak gdyby u nas, rozkopano mogiłę Wandy i znaleziono przedhistoryczne ślady po królowej - dziewicy. Rzucili się na Forum archeologowie, dziennikarze, wykształcona

publiczność, a nawet ludek, z gazetami w ręku, wystawał przy poręczy, okalającej Forum, od strony łuku Septyma Sewera, aby choć zdaleka — bez opłaty — zobaczyć miejsce, wyłożone czarnym kamieniem, gdzie, według podania, miał być pochowanym popularny przaszczur Rzymu, nieboszczyk Romulus. Ktoś nawet widział Angielki, sentymentalne turystki, składające kwiaty na *lapis niger*! Nad tym grobem, na szczęście już nie świeżym, nad tą prawą mogiłą, rozpoczęły się niezwłocznie kłótnie, spory archeologów: czy tu był grób Romulusa, czy też w innem miejscu? Przedewszystkiem najdziwniejszem jest to, że kiedy krytyka historyczna zaprzecza istnieniu Romulusa, archeologowie odnajdują jego grób, a przecież archeologia i topografia są tylko sługami krytyki dziejowej. Tym razem wydarza się jednak co innego. Romulus mógł nie istnieć, ale za to istniała legenda, historyczna legenda, że w tem a tem miejscu został pochowanym, choć, według najstarszego podania, miał być porwanym do nieba. Horacy mówi o jego grobie, a komentator Horacego, Porfiryon, przytacza Varrona i jego słowa, że Romulus pogrzebionym został „za mównicą publiczną“ (rostra). W każdym razie, było podanie, jakoby grób Romulusa był w bliskości tych *rostra*.

W styczniu r. b., minister Bacelli nakazał rozpocząć roboty na dawnem Forum Romanum, aby odkryć, o ile możności, bieg dawnej *via Sacra*, prowadzącej z Kapitolu przez Forum, na Palatyn. Kiedy zaczęto kopać w pobliżu łuku Septyma Sewera, stojącym koło drogi, przeznaczonej dla pogańskich processyi kościelnych, wyłożonej wielkimi płytami z tufu, — wyszły na jaw, z pod ziemi, czarne kamienie marmurowe, ułożone w kwadrat kilkunastołokciowy, odcinając się od reszty starożytnego bruku. Widząc ten *lapis niger*, archeologowie w tej chwili wpadli na myśl, że tu-by mogło być miejsce, opisywane jako grób Romulusa. Pompeius Festus, czerpiący wiadomości z Verriusa Flaccusa, mówi o tem, w ułamku, niestety, niezachowanym w całości: *Niger lapis in comitio locum funestum significat; ut alii, Romuli morti destinatum...* Tylko że archeologowie nie są dotąd pewni, gdzie było owe „comitium“, to jest miejsce zebrań ludowych. Wątpliwość więc spotyka się na każdym kroku. Może tutaj pochowanym był Faustulus, żywiciel Romulusa i Remusa, gdyż, według historyków, w miejscu jego grobu stał leżący lew, wyrzeźbiony z kamienia, jeden zaś ze starożytnych komentarzy wspomina o dwóch lwach, postawionych i poświęconych pamięci Romulusa. Inny znów dziejopis, Dyonizyusz z Halikarnasu, pisze, że Hostiliusz został pochowanym *w najświetniejszym miejscu Forum*, a więc w tak zwanem Comitium.

Comitium, historycznie tak ważne miejsce, było przedmiotem wielu badań. Teodor Mommsen, Jordan, Gilbert, Hülsen, Middleton sta-

rali się ustalić je topograficznie, gdyż na *comitium*, w epoce monarchii i rzeczypospolitej, w sąsiedztwie Forum, zgromadzały się stany, tutaj wykonywano sprawiedliwość, i tu składał ofiary *rex sacrorum* i odbywały się ceremonie kapłanów. Dzieje „*comitium*“ są więc dziejami Rzymu i z końcem patryarchalnych, wolnych urzędzeń, kończy się jego znaczenie. Wiadomem jest, iż kilka budynków i pomników stało na niem, pomiędzy innemi, także *Ficus Ruminalis*, figowe drzewo, odnawiające się z korzenia, do którego przywiązane było podanie o wilczycy i dwóch pacholętach, ssących ją w cieniu drzewa, cudem przeniesionego z Palatynu. W Kuryi *Hostiliusza* gromadził się Senat na posiedzenia. Z wysokości *rostrów*, podwyższeń, tak nazwanych od przodów okrętów, zabranych sąsiedniemu plemieniu *Antium*, przemawiano do ludu, zwołanego na zebranie. W *Graerostasis* przyjmowani byli obcy posłowie. Dziś już niema ani śladu rozmaitych posągów, jakie tam stały, i wogóle trzeba nadzwyczajnego wysiłku wyobraźni, aby, na mocy badań, odtworzyć sobie w umyśle, choćby w przybliżeniu, dawny stan rozwalisk.

Tutaj więc, prawie u stóp łuku *Septyma Sewera*, znalazł się czarny kamień. Jeden z głazów, wyszlifowany u kamieniarza, okazał się być bardzo pięknym i szerokim marmurem czarnym z białemi żyłami, sprowadzonym z przylądka *Tenarium* w *Lakonii*, jeśli sądzić z epizodów, jakie dają starożytni. W gruzach świątyni nie znajdowano go; jedynie w dzisiejszym kościele *s-go Hadryana* przy Forum, stojącym na tem miejscu, gdzie dawniej była *Curia Hostilia*, są dwie kolumnienki i trochę wkładek w jednym z ołtarzy. Musiał jednak być bardzo cennym w starożytności, kiedy *Tybullus*, chcąc podnieść skromność swego domu, powiada, iż nie jest zdobnym w kolumny *tenarie*. Całe miejsce, wyłożone *lapis niger*, obwiedzionem było z trzech stron niskim podmurowaniem z kamieni, służących widocznie za ochronę.

Zupełnej pewności, jakoby to było miejsce grobu *Romulusa*, dotąd niema: może przy dalszych poszukiwaniach wyjdą na jaw pewniejsze dowody, ale że miejsce było *uświęconem*, nie może ulegać wątpliwości. Takich uświęconych miejsc, według ówczesnych wyobrażeń, było kilka na Forum, do nich należały: *Figa Ruminalis*, *Iacus Curtius*, dom *Romulusa* i t. d.

Jeden z tutejszych archeologów, profesor *Maës*, upiera się nawet przy zdaniu, że miejsce, wyłożone czarnym marmurem, jest tym *locus fulguratus et saeptus*, gdzie *Marcus Curtius*, według podania, w roku 392, czy też 393 przed Chr., aby utatować Rzym przed klęskami, jakie, podług orzeczeń wyroczni, groziły, poświęcił własne życie,

i uzbrojony, razem z koniem, wskoczył do trzęsawiska, zwanego odąd *Lacus Curtius*. Zdaniem rzymskiego profesora, czarny kamień wskazywał miejsce bagna; w owej bowiem epoce, Forum, jako nisko położone pod Palatynem, było wilgotnem, błotnem miejscem, dopóki nie urządzono kloak i robót około Tybru, o czem Dyonizyusz z Halibarnassu nas objaśnia.

Tak stały rzeczy aż do połowy maja r. b., kiedy pewnego dnia świat rzymski dowiedział się, że około tak zwanego grobu Romulusa znalezione zostały nowe, bardzo ciekawe rzeczy. Minister Bacelli nakazał rozkopywać otoczenie domnianego grobu, a nawet przez ciekawość, bardzo tym razem szczęśliwą, dobierał się pod czarny bruk, aby, o ile możności, rozwiązać tajemnicę. Kości Romulusa nie znalazł, ale za to odkrył dużo kości zwierzęcych, pochodzących z całopalni, mnóstwo małych naczyń glinianych (jedno brązowe), w których, stosownie do ówczesnej wiary w życie pozagrobowe, składano ziarna, sól, kadzidło. Odkopano wiele szczerb, posążek brązowy bardzo archaiczny i dobrze zachowany, wyraźne ślady, że tutaj składano ofiary. Nadto, pod motyką robotników pokazały się dwie podstawy kamienne, nadające się wybornie do tych dwóch lwów, jakie, według klasycznych źródeł, otaczały tak zwany grób Romulusa. Tylko znowu zagadka: jedna z tych podstaw znajduje się pod czarnym kamieniem, co niejako obala dotychczasową orientację wykopaliska. O tych dwóch lwach mówi jeden ze scholiastów Horacego. Zawsze pod czarnym kamieniem znaleziono słupek stożkowy, a co najważniejsza, i co jest prawdziwym ciekawym w głowie dla tutejszych uczonych, odkryto obok tego ostatniego kwadratowy złom z tufu, opatrzony napisem na wszystkich czterech ścianach. Cała trudność leży w tem, aby odczytać napis łaciński, czy etruski, w każdym razie bardzo archaiczny, sięgający najstarszych czasów Rzymu, może Serwiusza Tulliusza. Jeden z tutejszych archeologów domyśla się w tym ułamku (gdyż cały napis nie został znalezionym) ustępu z prawa, wydanego przez Numę Pompiliusza (*lex terminalis*). Lanciani, Marucchi nie wyrzekli dotąd swego zdania co do kamienia—*cippo bustrafedico*—jak go nazywają. W każdym razie, odkrycie jest bodaj czy nie najważniejszym, jakie w ostatnich czasach zrobiono, nasamprzód jako najstarszy zabytek języka, a następnie, jeśli inskrypcya będzie odczytaną, jako dokument historyczny, bo napis musiał być publicznym, pamiątkowym i historycznym.

Przypuszczają dzisiaj, iż należy czytać go tak, że pierwszy wiersz odcyfrowanym być musi z lewej na prawą stronę, to jest tak, jak my czytamy, ale drugi wiersz czyta się z prawej na lewą, to jest tak, jak się orze pługiem, a więc według pojęcia bardzo patryarchalnego. Z nie-

których liter, rytych w kamieniu, poznaje się nasz alfabet, litery jak O, Y, N, ale niektóre ze znaków, a nawet ich większa część, wyglądają jak hieroglify. Podobne znaki, etruskie, dostrzeżono już na szczątkach murów rzymskich, z epoki Serwiusza Tulliusza. W tych dniach ukaze się broszura, wydana staraniem ministerym oświaty, z dokładnymi podobiznami ważnego zabytku dziejowego.

ADAM DAROWSKI.

Zaczarowane Koło.¹⁾

Baśń dramatyczna w pięciu aktach wierszem.

Uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie imienia
Paderewskiego.

Akt trzeci.

(*Wchodzi Jasiek, dwudziestoletni rosty parobek, o rysach ostrych, śniadej cerze—gęsta czarna czupryna spadająca na czoło. Ubrany w zgrzebną koszulę wypuszczoną na spodnie, na koszuli czerwona kamizela, na ramionach zarzucona biała sukmana; na głowie wysoki filcowy kapelusz z kolorowo haftowaną, szeroką wstążką. Cała przyodziewa wytarta, znożona i przyprószona mąką. Na nogach buty z cholewami—w ręku kij i zawiniątko. Idzie szybko—za nim słychać głos Młynarki, która po pierwszych słowach wbiega na scenę, dogania go i rzuca mu się na szyję).*

MŁYNARKA.

Jaśku! Jasieńku!—Kaj ciekasz?
Wróć się kochanie jedyne!

JASIEK (*wirywając się*).

Puść mię!

¹⁾ Patrz zeszyt czerwcowy.

MŁYNARKA.

Już mi tego nie każ;
Jak ułapiłam za szyję,
To nie puszczę! Pierwej zginę.

JASIEK.

Puszczaj Maryś! Bo ubiję!

MŁYNARKA.

A bij! Niech krew ze mnie pluszcze;
Ino się wróć, ostań ze mną,
Już cię nie puszczę! Nie puszczę!

JASIEK.

Po próżnicy! Na daremno!
Puszczaj głupia!

MŁYNARKA.

Moje złoto,
Moje ty życie kochane,
Kaj-że pójdziesz?..

JASIEK.

Co ci o to?!
Pójdę kaj chcę, nie ostanę,
Raz się skończy między nami...
Nie zastępuj mi na drodze!

MŁYNARKA.

A żebym iść miała boso
 Za tobą w jednej koszuli—
 Pójdę!.. Górami, lasami,
 Rzeki za tobą przebrodzą,
 Bez ogień skoczę— a duchem!
 Żeby mnie hawok przykuli
 Do ziemi siódmym łańcuchem,
 Urwę się, polecę ptakiem
 Za tobą—na koniec świata!
 Już ja cię wszędy dogonię,
 Leć ty nikiej wiać lata,
 A mnie się w miejscu nijakiem
 Nie skryjesz—w nijakiej stronie.
 Choćbyś się schował pod ziemię,
 Choćbyś poszedł na dno wody,
 Jak ta jaskółka skrzydlata,
 Co się na zimę pod lody
 Chowa. .

JASIEK *(przez zęby)*.

Maryś! Puszczaj-że mię!
 Jak się sama nie odpętasz
 Ode mnie, to ci tak zrobię,
 Że mnie puścisz po niewoli—
 Słyszysz! Puść! Bo popamiętasz!

(szarpie ją i odpycha pięściami).

MŁYNARKA.

Taka dziś moja zapłata!..
 Jaśku! adyć spomnij sobie
 Na ono kochanie swoje...
 Że cię też serce nie boli.

JASIEK.

Weź se inszego gamrata,
 Ja ta o ciebie nie stoję,
 Omierzło mi to kochanie!
 Co kiej było—to skonczone,
 Nie wróci się, nie odstanie;
 Już my się nie dogodziwa,
 Trza pójść każde w swoją stronę,
 Bo mnie tu nijaka siła
 Kole ciebie nie utrzyma.
 Puść mnie! Idź!

MŁYNARKA.

Co ja ci krzywa?!
 Nie dościam ci dobra była?!
 Oj, byłam ci, jak to lato,
 Jak ta ciepłenka pogoda;
 Za toś ty mi, jak ta zima,
 Jak ten mróz, kiej się ozeźli,
 Ino, że ja nie dbam na to,
 Bo mi ciebie i tak szkoda,
 Chociaś zły!.. My się oboje
 Na całym świecie naleźli
 Ku sobie, jak tych rąk dwoje,
 Dwoje rąk własnych człowieka ..
 Jasienku, złotości moje,
 Ja przez ciebie jak kaleka.

JASIEK.

Bodaj wprzód słońko w dzień biały
 Zagasło było na niebie,
 Nim się zgodziłem we młynie!
 Bodaj-że były oślepy
 Te oczy w onej godzinie,
 Kiedy ciebie uwidziały!
 Bodaj te ogniste zorze

Na węgiel były zgorzały
 I nikiel popiół zakrzepły,
 Nim ja ku twojej komercze
 Pierwszy raz skakał bez płoty!
 Bodaj siarczyste piorony!..

MŁYNARKA.

Cichaj! Mojeś-ty! Mój złoty!
 Com ja tobie, Jasiu, krzywa?!

JASIEK.

Coś krzywa?! A dyć od rana
 Zachodzisz mię z każdej strony,
 Lepniesz do mnie jak ta glina,
 A dopieczna, zazdrościwa
 Ona twoja przywiązałość—
 Niech się ino krokiem ruszę,
 To mię ślakujesz ze młyna!
 A te płacze, a ta żałość,
 Ino przy której dziewusze
 Stanę i słowo zagadnę.

MŁYNARKA.

Oj! wiem! Jagna Sekulonka
 Pachnie ci? Ślepia ma ładne?
 A w karczmie onej niedzieli
 Nie dałeś jej to pierścionka,
 Choć ode mnie darowany!?
 A dy cię ludzie widzieli,
 Ja też patrzyła od proga:
 Siedzieliśta wedle ściany,
 A tyś nim turnął po stole
 Prosto ku niej—o laboga!

JASIEK,

A czy ja to zaprzędany
Tobie na wieczną niewolę?
Skoro cię lichy urzekło,
To niech się ta w tobie pali
Ona zazdrość, ono piekło!
Co mi tam, kiej inszą wolę!
Zechcę, to się i ożenię,
Niechby ino Jagnę dali...

MŁYNARKA.

Śmierć moja i zatracenie!
Żeby się ziemia zapadła
Pod wami! Żeby nieszczęście
Rodziło się z tego stadła!
Bodaj-że wam...

JASIEK.

Co wyklinasz?!
Cóż mi w oczy pchasz te pięście?!
Masz swojego! Czym w kościele
Ślubował ci? Czy przysięgłem
Przed księdzem?.. Dyć żyje młynarz —
Co masz do mnie?

MŁYNARKA.

(stoi chwilę milcząca z oczyma wbitemi w ziemię —potem zbliża się ku niemu i mówi gardłowym, zdławionym szeptem).

Wróć się ino...
Stań se wieczorem za węglem...
Siekiera... będzie u płota...
...Miarkujesz?.. Wiesz?..

JASIEK.

Co mam wiedzieć?

MŁYNARKA.

Jakoż ci gadać inaczej?..
 ...Chciałbyś ty na groncie siedzieć?
 Mieć dom ze wszycką chudobą?
 Z całym naczyniem, z gadziną?..
 Oześmiel się ty ze sobą—
 Będziesz miał!

JASIEK.

Co się to znaczy?

MŁYNARKA.

Chudak-eś ty i biedota,
 A chciej—to w jednej godzinie
 Wszycko ci się przeinaczy...
 Ja się po temu przyczynię:
 Nie zaparte będą wrota...
 ...Stań za węglem... wieczór... ciemno...
 Żywe oko nie obaczy...
 Krwi się nie bój, bo krew spłynie
 Akuratnie jak ta woda...

JASIEK.

*(Zrozumiawszy, cofa się z przerażeniem i patrzy na nią, nie mogąc
 przemówić słowa—po chwili).*

Jezu, zmiłuj się nade mną!
 Strach słuchać... jaże okropal!..
 To mię ty na krwi przelanie
 I na śmierć swojego chłopca

Nawodzisz!?. Ty pokańnico!
 Nie stanie się to—nie staniel!
 Klnę ci się na Mękę Boską...
 Puść, bo jak mię złości chycą,
 To cię, piekielna kumoszko...

(odpycha ją gwałtownie i wychodzi).

MŁYNARKA.

(odepchnięta zatoczyła się i padła—zrywa się i wybiega za nim)

Stój! Stój! Jašku!..

(Słychać jeszcze długo za sceną jej płacz i wołanie i głos Jaśka podniesiony, niecierpliwy).

(Z przeciwnej strony wchodzi Boruta, wiodąc podpilego Drwala—za nimi w podrygach również trochę podpity Kusy).

BORUTA *(ciągnąc Drwala za połę).*

Jeno śmiało!

DRWAL.

Setny ślacheć z Waszmość Pana!
 Ukrzepiłem się gorzałą...
 Już się nikogo nie boję!

BORUTA.

(nalawszy czarłkę z oplatanej manierki).

Napijmy się, bo nalana:
 W ręce twoje, w gardło moje..

DRWAL (*śpiewa*).

Pije Kuba
Do Jakuba,
Jakub do Michała..

(*wypivszy*)

Czemu sługa wasz nie pije,
Panie ślachcic...

KUSY (*blagalnie do Boruty*).

Dwie kropelki.

(*oblizuje się*).

BORUTA.

Kiedy on i tak ma w czubie,
To łeb słaby...

DRWAL.

Ale wielki!
Dać mu kapkę, niech użyje...

(*Boruta nalewa*)

KUSY.

(*ściska Drwala rozczulony*).

Ja cię, drwalu, strasznie lubię!

DRWAL.

Ja cię też.

(*ściskają się*)

KUSY.

Ty! Twoje zdrowie.

DRWAL (*śpiewa*).

Pijesz ty—piję ja,
Kompanija cała...

(*Kusy wpada w śpiewkę—śpiewają razem*).

A kto nie wypije,
Tego we dwa kijel..

DRWAL.

(*podnosząc siekiere, która leżała na ziemi*).

Kto mi teraz słowo powie?
Aże dusza we mnie rada
W godnej kumpanii waszej!
Dać mi tu Leśnego Dziada,
Siekierą mu łeb rozbiję!
Prawda? On tak ino straszyl?

KUSY.

(*zatacza się, podrygując koło Drwala*).

A kto nie wypije,
Tego we dwa kije...

DRWAL.

(*odpycha go kulakiem i, wymachując siekiere, śpiewa*)

Pijany-ja! Pijany-ja,
Na bok z drogi kanalija!

Kanalija na bok z drogi,
Bo ci wnet podetnę nogi!

(rzuca się ku dębowi i zaczyna rąbać zawzięcie)

BORUTA *(do Kusygo)*.

Pędem Kusy, zaskocz drogę
Parobkowi i młynarce,
Wódź ich w kółko—w prawo, w lewo,
Aż ich tu po jakimś czasie
Znów przywiędą twoje harce...
Śmigaj...

KUSY *(zaturczając się)*.

Kiedy .. bo nie mogę..

BORUTA.

Śmigaj zaraz, bo cię skarcę!

KUSY.

Lecę! .

(wybiega chwiejnym krokiem).

BORUTA.

Drwal już rąbie drzewo,
Onych dwoje wnet mi zasię
Kusy napędzi do sieci...
Wszystko mi się jakoś kleci,
Bo i młynarz—widzę—leci!

(odchodzi w głąb i znika w gąszczach).

DRWAL (*rażając, podśpiewuje*).

Hej na babie ja nie stracę,
Bo ją przedam, kupię klacę,
A z tej klacy skórę złupię,
Za nią sobie dziewczkę kupię!

(*Wchodzi młynarz. Niemłody, niski, krzepki chłop—twarz okrągła o ry-
sach grubych i pospolitych. Włosy długie siwiejące, równo przycięte nad
brwiami i na karku. Ubrany w długą kamizelę granatową, w rodzaju
żupana, bez rękawów—podszewka i potrzeby amarantowe. Spodnie płó-
cienne upuszczone w buty—na głowie czapka okrągła, biała, nakształt
grzyba*).

DRWAL.

(*spostrzegłszy go staje groźnie*).

Tyś!..

MŁYNNARZ.

(*zaskoczony nagle, staje, nadrabiając miną*).

Nie siedł tu Jasiak tędy?

DRWAL (*groźnie*).

To masz ze mną do gadania?

MŁYNNARZ (*w strachu—słodko*).

Józuś! To ty skrós kolendy
Złość masz do mnie?

DRWAL.

Jużcić! Cóżby?!

MŁYNARZ.

Wiesz co? Jasiak lasem gania,
 Uciekł mi widno ze służby;
 Co ja mam lecieć w te pędy,
 Chcący go chwycić na drodze?
 Wiesz? Przystań nazad do młyna...

DRWAL.

Co tu gadać na darmoś?!
 Ja ci się do młyna zgodzę?
 Do takiego łapigrosa,
 Jakaś ty jest!

MŁYNARZ (*w strachu—prawie błagalnie*).

Pogódźwa się!

DRWAL (*biorąc go za ramię*).

Hę! Strach cię już trząść poczyna?
 Takiś miętki? Po niewczasie!
 Sprawiedziwość ci się znaczy,
 Nadeszła twoja godzina!

MŁYNARZ (*wymykając się*).

Józek! Puść mię po dobrości!

DRWAL (*chwytą go pod gardło*).

Mam cię!

MŁYNARZ (*broniąc się*).

Puść!

DRWAL (*zamierza się siekierą*).

Kutwo sobaczy!

MŁYNARZ (*chwytą go za ramię*).

Rety! Rety!

DRWAL (*szamocąc się z nim*).

A wciórności!

(*szamocąc się chwilę*).

MŁYNARZ (*uderza go pięścią w twarz*).

Masz! Naści!

DRWAL.

Jezul Maryjo!

Krew! Krew!

(*rzuca siekierę i zastania twarz*).

MŁYNARZ.

(puszcza go i woła za uciekającym).

Możesz do wieczora
 Jezuskować—Maryjkować!
 Co?! Wiesz jako po łbie biją!?
 Ozbijacu zatracony,
 Teraz lecisz do jeziora
 Pysk myć! Panie Boże prowadź!
 A porachuj one dzwony
 We wodzie!

(wybiegł parę kroków w głąb sceny za drwalem i chwilę patrzy za nim wygrażając pięściami).

BORUTA

(pędząc przed sobą Jaśka, wychodzi z lewej strony—za nim z pokorną miną lezie Kusy)

(do Jaśka).

Tędy niewolno!
 Panowie śniadają w lesie;
 Masz tam dołem ścieżkę polną—
 Droga zamknięta dla gminu!

(do Kusego)

Ordynans dałem wyraźnie,
 Tyś poszedł spać, durny biesie...

KUSY.

Bo ja... ten...

BORUTA (*biorąc go za kark*).

Sprawię ci łaźnię!

(*wlecze go za sobą*).

KUSY (*skomląc*).

A jaj!

(*wychodzą na lewo*).

MŁYNARZ.

(*zachodzi drogę Jaśkowi*).

Jasiek! Psi synu!
Kajże ciebie licho niesie?

JASIEK.

Idę, kaj chcę.

MŁYNARZ.

Toś ty, błażnie,
Na dobre uciek! Z tobołem!?

JASIEK.

A ino! Wzionem, co miałem,
Idę we świat!

MŁYNARZ.

Jakiem czołem?
We świat? Przed świętym Michałem!
Wracaj mi się do roboty;

We młynie czeka razówka,
Trza mleć..

JASIEK.

Jużci!— Jutro wrócę,
Ale nie dziś..

MŁYNARZ.

Zawrzyj zęby
I ruszaj!

JASIEK.

Nie mam ochoty,
Nie pójdę!

MŁYNARZ.

Jaka wymówka?
Jak cię po plecach wymłóczę,
To się wrócisz, powsinogol!

JASIEK.

Nie ozdierajcie se gęby,
Ja się nie boję nikogo,
Pójdę sobie, kaj chcę, wszędzie...

MŁYNARZ.

Wrócisz do młyna, ty włóko!?

JASIEK.

Nie wrócę i co mi będzie?

MŁYNARZ.

Wiesz, co jest kij? To, czem tłuką!

JASIEK.

Wiem, bo ja sam, kiej trza—tłukę,

MŁYNARZ.

Ty, odmopysku zuchwały!

JASIEK.

Kij na kij, štuka na štukę!
Wy z kamienia—ja ze skały...

MŁYNARZ.

(wyrzywa mu tobolek z ręki).

Oho! Twoja przyodziewa!

JASIEK *(chwytając go za rękaw).*

Oddasz?!!

MŁYNARZ.

Trzymam cię na haku,
Musisz wracać! —Pójdźwa oba...

JASIEK.

Nie pójdę, ty, wisielaku!
My się tu wnet rozsądziwa...

MŁYNARZ.

Racyję ma ten, kto trzyma,
Byle mocno, pod pazuchą...

JASIEK.

A żeby ciebie choroba!..
Mówię ci: oddaj, psiajucho!

MŁYNARZ (*odpychając go*).

Idź! Idź na złamanie karku!
We świat! Kaj ci się podoba.

JASIEK (*wściekły*).

Ze mną teraz śmiechu niema!
Wszystko we mnie wre, jak w garku,
Chcesz? to się wrócę do młyna!
Gwałtem chcesz? To dobrze! Zgoda!
Oj rada będzie Maryna...

MŁYNARZ.

Jak?! Co zaś?!

JASIEK.

Powiem ci, szelmo,
Powiem!—słuchaj, wiesz, co było?
To było, że ona młoda
I ze starym jej się cniło...
Widnoś miał na oczach bielmo,
Kiej my chodzili ku sobie?..

MŁYNARZ.

Łżesz!

JASIEK.

Prawda jest. Jak tu stoję!
Nie wierzysz? Co?—Ja się wróce!

MŁYNARZ.

Wścieknę się!

JASIEK.

Wściekaj się! Wściekaj!..

MŁYNARZ.

Ty!.. Ty!.. Psiakrew! Ja ci zrobię!..

*(Chce się na niego rzucić, spostrzega Młynarkę,
która weszła była właśnie).*

Tyś mi tu jest?!.. Ja tej suce!..
Maryśka!! Ja was oboje..

(rzuca się ku niej).

MŁYNARKA.

(uszkakując za Jasieką).

Jasiek! Nie daj ty mi!

MŁYNARZ.

Czekaj!

Prawda to jest, co on gada?

JASIEK (*odpycha go*).

Idź!

MŁYNARKA.

Nie prawda! Jasiek kłamie!

MŁYNARZ.

Ty łiesz!

(*chwytą ją*).

JASIEK.

Wara od niej! Stój!

MŁYNARZ.

(*powala Młynarkę na ziemię*).

Biada ci, fryjerko, biada!

Ja tobie kości połamię!...

(*przygniata leżącą kolanem*).

MŁYNARKA.

Rety!

JASIEK.

(*rzuca się na Młynarza z tyłu*).

Puść!

MŁYNARKA.

Bo mię zabije!..

(Jasiek odciąga Młynarza od niej—zmagają się, wodząc się z sobą po scenie).

MŁYNARZ.

Gardło twoje, albo moje!

MŁYNARKA.

zerwawszy się z ziemi, podniosła siekierę drwalową i podaje Jaškowi).

Bijże, Jasiu, bij co siły!

(wpija się Młynarzowi oburącz w długie włosy na karku i przechyla mu głowę w tył).

MŁYNARZ.

(ugodzony siekierą w czoło).

Jezu!

MŁYNARKA.

Jeszcze go! Bestyję!

JASIEK.

(stoi przerażony—z siekierą w ręku).

Com ja zrobił!

MŁYNARKA.

My oboje...
Ubiliśwa go!

JASIEK (*nachyla się nad trupem*).

Nie żyje?!
Ani dycha, ani zipie...

MŁYNARKA.

Co będziesz stał nadaremno?
Nie zacieraj mu w te ślepie
Ozwarte!.. Jaśku! Mój miły!
Słyszysz? Chodź ze mną, chodź ze mną!

JASIEK.

Com ja zrobił! Jezu Chryste!..
Od tej krwi w oczach mi ciemno.

MŁYNARKA.

Rzuć siekierę, rzuć o ziemię...
Po żelazie krew ocieka...
Tys mój—na wieki wieczyste!..

JASIEK.

Maryś...

MŁYNARKA.

Pójdź!

JASIEK.

Tam ktosi woła...

MŁYNARKA.

'To ino pies... słuchaj-że mię,
Nie bój się! - Chodź! to pies szczeka...
Rażno... Bo ludzie dokoła.

(biegną ku wsi, przez las).

JASIEK *(stając).*

Cichaj... Ktosi idzie drogą...
Słyszysz kroki z niedaleka?..

MŁYNARKA *(nasłuchując).*

Las dyszy... niema nikogo!..

(znikają w gąszczach).

(po chwili wchodzi Boruta, za nim Kusy).

BORUTA.

Trąb mi zaraz, a rozgłośnie,
Niechaj pobudkę powtarza
Dąb dębowi, sosna sośnie,
Niech zahuczą echem bory,
Niech rozbrzuiewa głos i rośnie.

KUSY.

Tu? Nad zewłokiem Młynarza?

BORUTA

Gdzieżeś ty chciał? Marny głąbie!

KUSY.

Skąd wziąć trąby?

(rozgląda się).

Muchomory!

Węzmę jeden i zatrąbię.

(zrywa dużego muchomora, przetyka go na wylot swą mosiężną laseczką i trąbi na nim sygnał myślowy długo i przeraźliwie).

BORUTA.

Jeden róg już odpowiada...

Teraz drugi, teraz trzeci...

Jeszcze! Jeszcze!— Niech się zbliżą!

(Kusy trąbi, potem obwącawwszy, nadgryza muchomora, wreszcie zaczyna go pożerać łapczywie).

BORUTA.

Cała szlachecka gromada
Od bigosu tutaj leci.
Umknijmy się teraz chyżo,
Aby najgrubszego zwierza
Nie spłoszyć, skoro do sieci
Zastawionej sam tu zmierza.

(Ochodzą spiesznie na prawo drogą—równocześnie z głębi nadchodzi Drwal. Cała koczula na piersiach zboczona, na rękach niedomyta krew. Z lewej strony sypie się Szlachta, wśród niej Wojewoda, Chojnacki, Brzechwa. Gromadzą się z boku—na przodzie sceny).

WOJEWODA.

Stąd gdzieś huczał odgłos rogu...
Pewnie ktoś na ślad niedźwiedzi
Wpadł i dał nam znać sygnałem.

SZLACHCIC.

Stąd szedł głos—przysięgam Bogu!

CHOJNACKI.

Nie wiedzieć gdy głos się cędzi
Przez gąszcz, ja stamtąd słyszałem.

WOJEWODA.

Może ślad najdziemy świeży.

CHOJNACKI

(z kilkoma myśliwymi rozgląda się po ziemi).

DRWAŁ.

*(doszedł tym czasem do dębu i podniósł siekierę, schylając się spostrzegł
Młynarza leżącego wśród paproci).*

A słowo stało się ciałem!..

(odskakuje wstecz przerażony, rzuca siekierę i ucieka).

BRZECHWA.

Kto tam przez gęstwą ucieka?

CHOJNACKI.

Krew! Krew! Na ziemi trup leży!

WOJEWODA.

Trup?! Gonić tego człowieka!!

(wszyscy gromadzą się nad zwłokami—kilku strzelców puszcza się w pogoń za drwalem).

BRZECHWA *(patrząc za scenę).*

Już on się im nie wywinie,
Próżno się przez chróst przedziera...
Dopadną go wnet w gęstwinie...

SZLACHCIC.

Co to? Skrwawiona siekiera?!

(ukazuje siekiere).

INNY SZLACHCIC.

(z grupy pochylonej nad ciałem).

Horror patrzeć, co za rana!
Co krwi, Mości Wojewodo!

CHOJNACKI.

(wracając z pościgu, woła)

Chwycili go, i już wiedą!

(Wchodzi Drwal pod strażą):

BRZECHWA.

Cała koszula zbluzgana.

TRZECI SZLACHCIC.

Patrzcie, jaka facies dzika!..

WOJEWODA.

Dać go tu! Przyznaj się, łotrze,
Zabiłeś! Twoja siekiera?..

DRWAL.

(przerażony nie może wymówić słowa tylko głową trzęsie).

WOJEWODA.

(wskazuje na zbroszoną koszulę).

A krew!

DRWAL *(po chwili — na pół z płaczem).*O rany najśłodsze!
Nie ja!, Nie ja!.. Jezu! Nie ja!..

CHOJNACKI.

Patrzcie! Jeszcze się wypierał

(wiąże drwalowi ręce w tył).

DRWAL.

Krew z nosa..

WOJEWODA.

Co!? Kto uwierzy!?
In flagranti złapan, knieja—
Trup we krwi skąpany leży,
Ten zbroczony w las ucieka...

BRZECHWA.

Krew z nosa!

DRWAL.

Nie ja!.. Mój Boże!

WOJEWODA.

Milczeć... Na zamek! Do wieży
Zamknąć mi tego człowieka!
Dziś jeszcze sąd nad nim złożę!

LUCYAN RYDEL.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

Pogadanka artystyczna.

Wystawa pośmiertna prac Juliusza Kossaka w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych.

Ciekawe są bardzo teraz salony Towarzystwa Sztuk Pięknych w Warszawie. W dwóch największych salach lokalu Towarzystwa otwartą została od paru tygodni specjalna Wystawa pośmiertna obrazów Juliusza Kossaka.

Czem był Kossak - ojciec w sztuce polskiej, wiadomo powszechnie. Pisano i mówiono o tem wiele i za życia w ciągu długiej jego karyery artystycznej, i ostatnimi czasy, z powodu śmierci tego znakomitego malarza polskiego.

Było więc rzeczą konieczną pokazać ogółowi to, co wywołało ten ogrom pochwał i uznania, pozwolić ludziom, miłującym sztukę, sprawdzić własnymi oczyma wartość sądu, głoszonego w niezliczonych artykułach krytycznych i nekrologach w całej prasie polskiej.

W Niemczech, gdzie zamiłowanie do sztuki, nie tyle może przez wrodzoną potrzebę piękna, ile przez zaszczerpione oddawna tradycye,

jest bardzo silne i prawie ogólne, wystawy takie są uroczystościami, w których cały naród bierze żywy udział, a rodzinne miasto święci je festynem, pochodami, kwiatami, odczytami itp.

Nawet skromny „biermann“ mieszczkański czuje się obowiązany w takich razach do przywdziania odświętnej kamizelki, uczestniczenia w „fakel-cugu“, i sumiennego obejrzenia całej wystawy obrazów przez swojego wielkiego „szadtsmanna“ malowanych.

Mniejsza o to, że nie bardzo on wie, dlaczego obrazy tego malarza są lepsze od innych, które również mu się podobają. Wierzy święcie w to, co przeczytał w „swojej“ gazecie, i szczerze dumny jest z zaszczytu, jaki spada na rodzinne miasto.

Tak wystąpił rodzinny Düsseldorf dla Achenbacha, Salzburg dla Makarta, Berlin dla Menzla, Bazylea dla Böcklina i wiele innych miast dla swoich sławnych obywateli.

Nam, ludziom, zgola rasowo od Niemców odrębnym, bardziej indywidualnym, a mniej uspołecznionym, wydać się może trochę śmieszną podobna forma kultu dla sztuki, która więcej manifestację patryotyczną, niż samą sztukę ma na celu.

Lepsze to jednak, niż obojętność, którą częstokroć w takich razach grzeszymy.

Niemiec, będąc z natury sentymentalnym pozytywistą, umie w swoim usposobieniu łączyć wprost przeciwne sobie uczucia. Zachwycać się Szyllerem i robić doskonałe piwo, lub kiełbasy, prowadzić zyskowne przedsiębiorstwo i być zapalonym Wagnerzystą, szyc niezgrabne buty niemieckie, a w wolnej chwili przykroić monstrialne *peddillae* na bosc stópki kilkopiętrowej „Germanii“ Schwantalera.

Nam tego brak. U nas, wśród całej masy społecznej, garstka tylko jest ludzi zapalonych, prawdziwych *miłośników* sztuk pięknych, którzy prawdziwie sztuki potrzebują. Reszta, albo zachowuje pozory amatorów i *udaje* znawców, bo zamiłowanie sztuki jest jedną z cech człowieka kulturalnego, albo też, a ta grupa tworzy większość naszej „intelligencji“, jawnie zupełnie okazuje całą swoją obojętność i tępotę na wszystko, co przekracza ciasny światek bulwarowej uciechy, w której z taką rozkoszą pławią się ich płytkie dusze.

Dziwić się temu nie można.

Nie każdy może być Peryklosem, Juliuszem II-gim, Medyceuszem lub wreszcie Russkinem. Złożyły się na nich całe pokolenia, i to nie pierwsze lepsze.

U nas sztuka, prawdziwa, narodowa sztuka, zjawiała się niespodziewanie, nieproszona i niedziękowana. Ogół nietylko wtedy, ale i dziś jeszcze nie uświadamia sobie jej potrzeby, jako zjawiska równie niezbędnego, jak oświata, prawo, moralność.

Chodzi o to, żeby tę potrzebę obudzić, żeby przeorać te tysiące dusz ludzkich, i na wierzch wydobyć owe drobne iskierki uczuć najlepszych i najwytworniejszych, które tam śpią pod gęstymi warstwami grubych instynktów i pożądań.

Lecz sztuka zdemokratyzować się nie da. Nie można jej ani tak zniżyć, by ją i najniżej osiadłe dusze dosięgły, ani tak rozcieńczyć, by ją i pospolite usta pić mogły.

Do niej trzeba się wznieść i pociągnąć te masy, ile tylko się da, jak najwyżej, ile lotu starczy.

Oto obowiązek tych, którzy w gromadzie są duchem najtężsi, którzy przeznaczeni są do przodowania.

Russkin odnawia Anglię. Walczy przez całe swoje długie życie w jednej sprawie, a walka ta zdaje się być jakimś mitycznym czynem tytana, o której śpiewać będzie epos przyszłych wieków. W istocie, to czyn Herkulesowy oczyszczenia stajni Augiasza, którą pokryły błotem całe wieki.

Oto człowiek, który z rozrzutnością Nababa położył na szalę swoje miliony, a potem cisnął wszystko, co najdroższego miał: wielki zapal, wielką duszę i geniusz. Pod tym olbrzymim ciężarem ugięła się szala i przeważyła wiekowy osad barbarzyństwa i materyalizmu.

Jest to przykład do naśladowania, lecz, zanim dojdziemy do tak powszechnej kultury, jaką posiada Anglia, gdzie dorobkiewiczze-milionerzy bywają zarazem arystokratami z ducha, musimy kroić płaszcz na miarę własnych pleców — a więc *chcieć* i *robić* jak najwięcej, lecz ze świadomością, która bronić będzie od zniechęcenia, że pragnienia nasze nie mogą wybiegać poza najszerzej rozciągnięte granice możliwości.

W uwagach powyższych miałem na myśli nasze Towarzystwo Sztuk Pięknych, które, jako jedyna instytucja społeczna, sztukom wyłącznie służąca, dźwiga na sobie podwójny obowiązek: względem ogółu i względem samej sztuki.

Jest tu ogromny ciężar, gdy się go chce dźwigać na prawdę, a przytem ciężar do dźwigania trudny.

Jest tu ogromnie dużo, nie dość powiedzieć do *zrobienia*, lecz do *robienia ciągle*, bez ustanku, z całym wysiłkiem. A mówiąc to, obok stawiam za przykład Russkina, nie na miarę jego kolosalnych środków duchowych i materyalnych, bo nie każdemu dane jest być takim potentatem, lecz na miarę używania przez niego tych środków do celu, któremu całkowicie się oddał.

W tej sprawie nietylko do zrobienia, ale i do powiedzenia jest dużo. Warto poświęcić temu osobny rozdział, który odkładam do przyszłego zeszytu, a tymczasem, zanim przejdę do samej Wystawy obrazów Kossaka, muszę wyrazić uznanie dla Komitetu Towarzystwa Sztuk Pięknych, iż, nie zrażając się wielkimi trudnościami, urządzenie tej wystawy przedsięwziął.

Wystawa taka wymaga wielkiego nakładu pracy, starań, poszukiwań i kosztów.

Każdy obraz, szkic, najmniejsza wreszcie notatka ołówkowa, staje się niezbędną, składową częścią takiej wystawy, a wszystko to, rozproszone po domach prywatnych, w różnych miastach, miasteczkach i dworach wiejskich, musiało być kolejno odszukane, wypożyczone (często z wielkim trudem) i sprowadzone oddzielnie na miejsce.

Pomimo to Wystawa zawiera imponującą liczbę dzieł, bo przeszło dwieście kilkadziesiąt obrazów olejnych, akwarel, gwaszów, szkiców i t. d.

Towarzystwo spełniło swój obowiązek względem Kossaka - ojca. Żałować należy, że w swoim czasie zaniedbało tego uczynić względem Grottgera, Gierymskiego Maksa, Matejki i innych.

Obecna Wystawa jest więc niewątpliwym zwrotem na lepsze. Jest zapowiedzią stanowczego wybrnięcia z długotrwałej rutyny i ospałości, która była znamioną cechą instytucji w ostatnich kilku latach.

Gdyby mnie kto zapytał, które ogólnie z wystawionych obecnie obrazów Juliusza Kossaka zaliczam do najlepszych, odpowiedział-bym bez wahania, że te, które Kossak namalował między rokiem 1880 a 90-tym.

Ze wszystkich innych są one najartystyczniejszymi dziełami sztuki, najlepszymi, jako malarstwo, najszczerzszymi, jako wyrazy prawdy i życia.

W nich już Kossak nie błąka się, nie szuka, doskonale zna swoje środki, swoją siłę i kierunek, w którym dążyć powinien.

Jest w obrazach tęga męzkość, bez śladów młodzieńczej drobiazgowości malowideł lat dawniejszych, ani też bez owego przytępienia starczego, którego piętno noszą obrazy z lat ostatnich.

Oto, na przykład mały obrazek, wodnemi farbami malowany, tak mały, że go prawie dłonią nakryć można.

Tytuł obrazu — „Lato“.

W letnie, gorące południe, u płotu, pod gęstem listowiem ogłowionej wierzby, stoi osiodłany ekonomski deresz, stary, zubożniały emeryt koński. Muchy i baki go tną, więc zawzięcie podcina się ogonem, i wstrząsa łbem, i przegubem zadniej nogi w wydęty brzuch się puka, gdy już natrętny owad do żywego na doje.

W tym koniu tkwi główna idea artystyczna obrazu, choć w głębi, za płotem z chróstu i przełazem widać cały przebieg żniwa, wybornego ekonomy, żniwiarki, i charakterystyczne linie naszego krajobrazu, z sylwetką dworu i kościołka.

Tu już koń nie jest w obrazie środkiem kompozycyjnym, ani ładnym w liniach ornamentem, jak to się widzi na poprzednich Kossaka obrazach. Jest on tu głównym i wyłącznym prawie motywem, z całą zewnętrzną i psychiczną charakterystyką, jak najsubtelniej wystudowaną, i wyrażoną z przepiękną prostotą i jasnością, która dostępna jest tylko mistrzom.

Lecz zanim Kossak do tego doszedł, namalował bardzo dużo, a zaczynał od takich, na których widok wierzyć się nie chce, że te i tamte jedną wykonane są ręką.

A zebrało się dużo tych ostatnich na obecnej wystawie. Ogromny czas przedział leży między powstawaniem pierwszych, z czasów młodzieńczych Kossaka, i tych, które już w dojrzałości zostały namalowane.

Na różnice te koniecznie trzeba zwrócić uwagę, gdy się chce o Kossaku właściwe wyrobić pojęcie, tem bardziej, że przy rozwieszaniu nie przestrzegano chronologicznego porządku, ani też nie umieszczono na kartach tytułowych wyraźnych dat kolejnego powstawania obrazów.

Każdy artysta ma w sobie zwykle rozwinięte silnie uczucie ambicji i niezależności duchowej, ale przytem zdarza się najczęściej, że Apollo, wyposażając tak hojnie ulubieńców swoich bogactwem ducha, przepomina o brzęczącym dodatku, który na tym świecie zawsze ludziom dodaje waloru.

I dzieje się tak, że jedni, ambitniejsi, którzy mają zbyt wielki wstręt do wszystkiego, co jest „popychaniem“ i protekcyją, nie są w stanie ustąpić nic ze swojej duchowej swobody, na rzecz swobody materialnej, którą daje pieniądź.

Prostostu są jak załoga twierdzy, która woli zginąć, niż poddać się, choćby jej odcięto wszelki dopływ środków żywnościowych.

Tacy często w następstwie zwyciężają, wybijają się, a wówczas ich potęga indywidualna ujarzma serca tłumów, lecz często także, zanim zwyciężą, giną.

U drugich zaś nieokiełznana żądza wrażeń, które bogata natura artysty pić pragnie wszystkimi porami, ze wszystkich źródeł życia, przemożów wewnętrzny opór, i twierdza poddaje się, przyjmując protektorat, bardzo wygodny, korzystny i nawet zaszczytny.

Jedynie własne „ja“ trochę się kureczy, bo nie trzeba myśleć, aby ów typowy protektor, figurujący (a często zmyślony) w wielu życiorysach sławnych artystów, zrzekał się swoich wymagań i wpływu osobistego, który uważa za zbawienny.

A przytem o ludzi takich dość łatwo.

Prawdziwy talent zawsze znajdzie, gdy chce, okazję, by na takiego natrafić, bo „czyż tytuł protektora sztuk pięknych, wpleciony w życiorys zmarłego, nie jest jednym z najwspanialszych liści wawrzynu w wieńcu jego społecznych zasług“, — mówi z wytworną ironią Witkiewicz w jednym ze swoich artykułów o stosunku ogółu do sztuki w naszym kraju.

Kossak, który, już w najpierwszych początkach swojej karyery, z taką łatwością i wytwornem poczuciem umiał szkicować konie, był tu nabytkiem nieocenionym. Dobrze płacone obstalunki sypały się jak z rogu obfitości, i w ten sposób pod pędzlem jego powstało owe mnóstwo urzędowych robót, które na Wystawie spotykamy, owe czerwone fraki, w których kołnierzach tkwią miniaturowo wypunktowane główki, zwrócone zawsze do widza; owe nudne faworyty-*paradiery*, z szablouowo udrapowaną kapą, zdobną zawsze w monogram i koronę hra-

biowską; owe portrety konne, damskie i męskie, wymęczone podług wymagań właścicieli; jednym słowem, cała owa rzemieślnicza robota człowieka bardzo utalentowanego, wykonana w celu zdobycia środków materialnych dla prawdziwej twórczości artystycznej.

Jakoż, obok tych wyżej wymienionych prac, pomieszczone są na wystawie obrazki z datą nieco późniejszą, jak: „Podróż do Bałty“, „Farys“, „Drużbowie“, „Sobieski tańczący z kowalicą na weselu w Jaworowie“, „Pożar wiatraka“ i kilka innych. Wszystko to są już obrazy, odróżniające się od poprzednich swobodą twórczości i silnie akcentowaną indywidualnością w sposobie obserwowania zjawisk natury. Gdy tamte za pierwowzór mają sztychy angielskie, lub obrazy modnych wówczas malarzy koni, gdy są tylko powtarzaniem konwencjonalnych środków, dawno już do sztuki wprowadzonych; te, przeciwnie, tryskają świeżością obserwacji i tysiącem odkryć, które artysta zrobił na swoją rękę, a wyraził je środkami, wytworzonymi przez własny talent i temperament.

Tu i owdzie widać jeszcze nieśmiałość ręki; tu i owdzie jeszcze, zamiast owych śmiałych i pewnych, a charakterystycznych linii, które mi Kossak-ojciec zwykł był osadzać w tle swoje niezrównane postaci ludzi i zwierząt, widać punktację, retuszerkę na stary poprzedni sposób, zwłaszcza w większych obrazach, jak na przykład: „Sobieski w Jaworowie“.

Nawet owa znana powszechnie akwarela: „Stanisław Rewera, otrzymujący od chłopcy wyoraną buławę“ (malowana w roku 1873 w Monachium), jeszcze nosi na sobie ślady leciutkie owego „testimonium paupertatis“, z których otrząsnął się następnie Kossak w znakomitych swoich obrazach, jak: „Chrzestna matka“, „Jan III, polujący na czaple“, lub w cyklu obrazów z historyi rodziny Fredrów, których, niestety, Wystawa warszawska zdobyć nie była w stanie.

Są to obrazy z najświetniejszej epoki twórczej Kossaka, a na szczęście dla naszej sztuki, i najplodniejszej. Malował on wtedy bardzo dużo, a bajeczna łatwość uplastyczniania sobie w wyobraźni każdego pojęcia, stanowiąca specjalną a cudowną cechę tego talentu, pozwalała mu brać tematy do obrazów jak najróżnorodniejsze.

Wówczas-to powstawały owe prawdziwe poematy rycerskie z dziejów naszych, owe typy niezrównane wojowników, którzy z bojowego siodła krwią i szablą pisali przyszlą historję.

Ulubiony swój motyw, konia, Kossak już w owym czasie nie tylko wszechstronnie poznał, ale i pojął, i czuł go tak w sobie, że kilku kreskami piórka, lub ołówka, potrafił wyrazić rasę, temperament, naj-

bardziej złożony ruch i psychiczny stan szkicowanego konia, jakimś nieznacznym pochyleniem linii, jakimś, prawie niedostrzegalnym, punktem w oku, wygięciem nozdrzy, pochyleniem uszu.

Koń rycerski, bojowy, koń,

...co szedł, jak fala, lekko pod siedzeniem,
I piasku weale pod sobą nie tłoczył,
Dumny szlachetnem swoim urodzeniem
I tą metryką, co go z Nezdów wiodła,
W złotym woreczku wiszącą u siodła...

Koń taki, który już dzisiaj nie istnieje, odżył na nowo, jako artystyczna kreacja w wyobraźni Kossaka, i jest, że tak powiem, jego wynalazkiem.

Koń taki w stajni, lub w tabunie, był sobie w owe czasy zwykłym rasowym arabszym, nieco odmiennym od dzisiejszego angielskiego wierzchowca.

Ale Kossak przedstawiać go zwykł właśnie w chwili, kiedy w nim wszystkie żyłki grają, kiedy ogarną go bojowe żądze.

Często mi zdarzało się słyszeć zarzut, czyniony Kossakowi, nawet przez znawców, że konie jego nie są prawdziwe, że są romantycznie przesadne. Nic dziwnego, przywykli oni widzieć je tylko w zwykłej robocie zaprzęgowej, a sądzę, że i dostawca strojów Józefiny, patrząc na Napoleona, targującego się o wygórowane rachunki, nie mógł go sobie wyobrazić takim, jakim był wówczas, gdy ze sztandarem w ręku biegł przez Pont Arcole.

Spójrzmy na mały obrazek, który wisi w drugiej sali przy oknie (№ 98), pod tytułem: „Luzak“, a malowany w roku 1880.

W głębi huczy burza i wre bitwa, a na tem ciemnym tle pachół trzyma w pyska dzianeta srebrno-białej maści, osiodlanego w rząd bojowy. Purpurowe chrapy wietrzą blizką bitwę, gibkie nogi depczą ziemię, a takie bije w nim życie i ogień, jakby mu w żyły malarz krwi własnej z siebie nalał.

To jeden z kilku najlepszych obrazów Kossaka, i sam jeden wart jest wszystkich Wouwermannów, a na Wystawie obecnej przoduje

w cyklu z najświetniejszej epoki twórczości autora. Szczęśliwym trafem cykl ten jest dość liczny, i prawdziwe czujemy zadowolenie artystyczne, mogąc przypatrzeć się im dowoli w takim doborze. Naprzykład: „Aleksander Morsztyn pod Chocimiem“, „Taniec tatarski“, „Pochód“, „Popis plana“, „Polowanie na wilka“, „Spotkanie Zagłoby z weselem ukraińskim“, „Banderya krakowska“, „Przygody Imci pana Benedykta Winnickiego“, „Manewra“. lub wyżej wspomniane „Lato“, są to wszystko przepyszne obrazy, dzieła sztuki, jakich w malarstwie niewiele wogóle znaleźć można.

Przedziwnym zwłaszcza jest u Kossaka świat zwierzęcy i znajomość, z jaką go w obrazach używa.

Czy to będzie koń, pies, wilk, wielbłąd, wrona, bocian, skowronek lub jakiegokolwiek inne stworzenie,—bo niema takiego, którego-by Kossak choć raz do swoich obrazów nie wprowadził,—będzie ono zawsze wyposażone we wszystkie charakterystyczne znamiona swego gatunku, rasy, wieku i warunków, w jakich pędzi życie.

Koń myśliwski inną ma sierść w zimie, a inną latem; innym jest chart, w podskokach biegnący na smyczy na polowanie, wesoły i wypoczęty, a inny, gdy wraca z wywieszonym ozorem i świecącym okiem. Jaki np. wyraz zacieklej rozpaczy ma wilk, gdy przysiadłszy na zadzie, grozi klami atakującej go sforze ogarów. A przecież, tak subtelnie narysowana głowa zwierzęcia, jest zaledwie wielkości laskowego orzecha.

Nawet w dwóch małych obrazkach, wielkości średniej karty wizytowej, typy końskie są rysowane z zadziwiającą finezyą.

Najślabszą stroną malarstwa Kossaka są twarze ludzkie. Człowieka brał on tylko ze strony malowniczej, lub charakterystycznej, a charakteru szukał w postaci, w ruchach, w kostiumie, najmniej zaś w twarzy. Jeszcze gdy chodziło o jaki typ marsowy, lub o wyraz tężyzny, męstwa, zapału, umiał to Kossak wyrazić w kilku pewnych, uogólnionych zarysach, które kładł zawsze kolorem sepia na zaściągniętym lokalną barwą policzku. Lecz już twarze młode, regularne, a zwłaszcza twarzyczki kobiece, nie mówią nic. Są zawsze jednakowe, zawsze banalne i płaskie. Talent to, który zgoła nie nadawał się do portretów, i wszystkie bez wyjątku jego obrazy tej kategorii są stanowczo pracami chybionemi.

Nie chciał on, czy nie umiał znaleźć w nich nic interesującego, i w rezultacie są one piętą achillesową jego działalności artystycznej.

Lecz trudno robić z tego zarzut, również, jak trudno zarzucać Rubensowi, że swoje przepyszne postaci na banalnych i lichych umieszczał krajobrazach.

Od tych, co dają tak ogromnie dużo, nie można wymagać więcej jeszcze, i dociekać, dlaczego więcej nie dali.

STEFAN POPOWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Pamiętnik Fizyograficzny“. Tom XV. Str. 592. Cztery mapy i trzy tablice.
1898. Wydany z zapomogi kasy imienia Mianowskiego.

Po paroletniej przerwie, spowodowanej niezależnymi od wydawców okolicznościami, ukazał się XV tom „Pamiętnika Fizyograficznego“. Nie częsty to fakt, ażeby wydawnictwo tak poważne przetrwało lat kilkanaście i dobiegło tej liczby tomów. Pierwszy tom „Pamiętnika“ wydany został w roku 1881, staraniem przedwcześnie zmarłego Eugeniusza Dziewulskiego i Br. Znatowicza, który wytrwale prowadzi dalej rozpoczęte dzieło.

Podobne wydawnictwa gdzieindziej prowadzone są staraniem stowarzyszeń naukowych, akademii, uniwersytetów, lub tym podobnych instytucji; u nas wydawnictwo podjęło szczupłe grono ludzi dobrej woli,

miłujących kraj i naukę. Znaleźli się pracownicy, którzy ze znajomością rzeczy, zamiłowaniem i poświęceniem, badają kraj i jego przyrodę. Utwory ich zbyt specjalne, aby znalazły wydawców, znajdują tu miejsce—a przekonanie, iż praca ta nie pójdzie na marne i nie zaginie, jest jedyną nagrodą dla autorów.

Jaki jest cel podobnego wydawnictwa? Poznanie kraju, jego przyrody i bogactw. Czuł potrzebę badań fizyograficznych Staszyc, kiedy w słowach, pełnych zapału, zwracał się do młodzieży: „Połóżcie na tem wszystkim, cokolwiek ziemia waszych ojców w najwyższych górach, w najgłębszych wnętrza zakopach, i w wodach, i w powietrzu, ciekawego, użytecznego zawiera, połóżcie, mówię na tem wszystkim pracy, dowcipu, wynalazku, umiejętności — pierwsze imię Polaka“.

I wezwaniu temu posłuszni młodzi i starzy, ludzie różnych zajęć i poglądów, pracują wedle sił i możliwości, a „Pamiętnik“ jest owocem tych starań. Niejednokrotnie słyszymy zdanie, iż „Pamiętnika“ nikt czytać nie będzie. Zapewne, nie jest on książką do czytania, szczególnie dla szerszych kół; rzadkie są tam artykuły, dostępne dla ludzi niefachowych; ale jest za to zawsze bogaty, choć czasem suchy, materiał, stanowiący cenne źródło dla ludzi, zajmujących się naukami przyrodzonymi i pragnących poznać przyrodę kraju. Znajdujemy tu dane o klimacie, florze, faunie, geologii i archeologii kraju naszego. W 15 tomach wzięło udział 85 przyrodników, a wyniki ich badań mieszczą się w 288 artykułach oddzielnych, do których wyjaśnienia służą drzeworyty w tekście i 283 tablice i mapy. Tom każdy mieści zwykle cztery działy: meteorologii z hydrografią, geologię z mineralogią, botanikę i zoologię, наконец antropologię — niektóre tomy zawierają nadto miscelanea.

W dziale pierwszym na szczególną uwagę zasługują prace nieżyjących dziś: d-ra Jędrzejewicza, dotyczące klimatu Polski wogóle, oraz wyniki badań meteorologicznych w Płońsku; Apolinarego Pietkiewicza, który z prawdziwie benedyktyńską cierpliwością opracował dane, tyczące się klimatu Warszawy, i wyprowadził stąd wnioski. Od VII-go tomu prof. Wł. Kwietniewski zamieszcza tu spostrzeżenia meteorologiczne, dokonywane na stacyi centralnej przy muzeum przemysłu i rolnictwa, oraz na 26 stacyach, założonych przy fabrykach cukru w Królestwie (15), jako też w gub. Podolskiej (7), Kijowskiej (2), Wołyńskiej i Mińskiej (w Pińsku). Spostrzeżenia te zajmują w ostatnim tomie 168 str. tablic, i zyskały dla tej sieci meteorologicznej uznanie nawet u obcych meteorologów. Dział hydrografii pomiędzy innymi zawiera artykuły o osuszeniu błót poleskich, o stanie wód na Niemnie i Wiśle, tudzież opis regulacyi tej rzeki i inne.

W dziale Geologii wymienimy cenne prace geologów i górników, pomiędzy którymi napotykamy nazwiska pp.: Choroszewskiego, Kątkiewicza, Siemiradzkiego, Trejdosiewicza, Michalskiego, Moroszewicza, E. Dunikowskiego, który w tomie XI-tym wraz z I. Siemiradzkim podał szkic geologiczny Królestwa polskiego, Galicyi i krajów przyległych, jako objaśnienie do mapy geologicznej. Wogóle prace geologiczne stosują się przeważnie do P.d. części Królestwa, tak urozmaiconej pod względem budowy. P. Moroszewicz podaje wyniki badania niektórych skal. W dziale tym napotykamy prace 19 autorów.

Najliczniejszy zastęp stanowią zoologowie, a szczerdólniej botanicy-floryści (razem 46). Z pośród tego grona poniósł „Pamiętnik“ najdotkliwsze straty; zmarli z pomiędzy zoologów: Taczanowski, Wałęcki, prof. Wrześniowski, Ślósarski; z botaników: T. Chałubiński (badacz mchów tatrzańskich) i nieodżałowany Kazimierz Łapczyński,—dostarczył on w ciągu 12 lat 20 artykułów, pomiędzy którymi na szczególną wzmiankę zasługują: „Półwysep Birszański“, „Wycieczka na Podole“, „Z puszczy Bialskiej“, „Z powiatu Trockiego do Szczawnic“ (tom XII). Był to nie tylko uczonego botanik, lecz także obywatel, miłujący i znający nasze ziemie, jak niewielu dziś żyjących, a dzieło jego: „Zasięgi roślin“, to jest granice niektórych gatunków, zwróciło uwagę nawet zagranicznych uczonych. Nad florystyką w dalszym ciągu pracują: p. Marya Twardowska, pp.: Eichler, K. Drymmer, I. Błoński, I. Paczowski, St. Chełchowski i inni. Nakoniec w dziale archeologii spotykamy prace pp.: Zawiszy, Z. Glogera, G. Osowskiego, T. Dowgirda, E. Majewskiego, J. Karłowicza (Imiona niektórych plemion i ziem dawnej Polski; o imionach własnych polskich miejsc i ludzi i in).

Świeżo wydany tom XV zawiera, jak zwykle: Spostrzeżenia meteorologiczne, dokonane w ciągu 1894 roku na stacyach meteorologicznych, urządzonych staraniem Sekcyi cukrowniczej, opracowane przez prof. Wł. Kwietniewskiego; Wykazy spostrzeżeń fenologicznych nad czasem kwitnienia i dojrzewania ważniejszych roślin; I. Siemiradzkiego: Zarys geologii Warszawy, w którym autor zebrał pewne dane, korzystając z robót kanalizacyjnych; L. Gorazdowskiego: O składzie chemicznym tatrzańskich minerałów skałotwórczych; St. Chełchowskiego: Grzyby podstawko-zarodnikowe Królestwa; nakoniec E. Majewskiego: Toporki kamienne z okolic górnego Bugu i Styru.

Do tego tomu, jako oddzielny bezpłatny dodatek, dołączono wydany przez p. K. Drymmera: „Spis roślin, zawartych w czternastu tomach „Pamiętnika“. Spis ten obejmuje 152 stronicę we dwie szpalaty. Pozwala on oryentować się w obfitym materyale botanicznym i ułatwia dalsze badania.

Krótki ten przegląd piętnastu tomów „Pamiętnika“ pozwala nam zestawić niejako bilans pracowników i ich działalności na polu przyrodoznawstwa naszego kraju. Jakkolwiek są to prace specjalne, ze względu jednak na swoje znaczenie, powinny interesować ogół i znaleźć z jego strony poparcie.

W.

Zygmunt Kramsztyk. „Szkice krytyczne z zakresu medycyny“. Warszawa, 1899 roku.

Książka Z. Kramsztyka, stanowiąca zbiór artykułów drukowanych w czasopismach lekarskich, rozpatruje zasadnicze zadanie medycyny, jako sztuki lekarskiej, i wykazuje błędy w poglądach lekarzy na owo zadanie.

W niniejszem sprawozdaniu zajmuje nas wyłącznie filozoficzna strona poglądów autora. Istoty nauki, jego zdaniem, nie stanowi wiedza, posiadanie prawdy, lecz i dążenie do niej. Ilość wiedzy, jaką umysł obejmuje, ma znaczenie podrzędne. Dopóki będziemy mieli na celu dorównać w erudycyi innym narodom, dopóki i samo posiadanie wiedzy i ostatnich jej wyników zadawałać nas będzie, dopóty nie postąpimy w nauce daleko i nie osiągniemy podniesienia ducha i potęgi, jakie ona dać może.

Erudycya występuje dzisiaj jako główne zadanie człowieka nauki. Wszelkie prace naukowe i podręczniki przeważnie erudycyi służą i erudycyę mają na celu. Nadaje to nauce jakąś barwę scholastyczną. Zbyt wiele znaczenia nadajemy faktom i spostrzeżeniom, gdy rozbiór pojęć zasadniczych, filozofia nauki, uważana jest za sprawę małej wagi dla rozwoju nauki, jeżeli nie wprost za szkodliwą.

Większość uczonych lubi obowiązek myślenia zwać na innych i gotowe przyjmować teorye. Głosimy często pewne poglądy, nie rozumiejąc ich w zupełności; czynimy zaś to dlatego, aby nie wzbudzić podejrzania, że nie posiadamy obowiązującej wszechwiedzy. Tymczasem główne zadanie ludzi nauki nie na tem polega, aby znać ostatnie jej wyniki, lecz, aby ściślej poddawać je krytyce; ostatnie bowiem

wyniki nie są ostatecznymi, świeżość zaś ich nie koniecznie przesądza o ich prawdziwości. Najważniejszą zaletą umysłu, do naukowych zwracającego się zagadnień, jest ciągła niewiara, ciągle sprawdzanie najponętniejszych nawet poglądów. W mocnem pragnieniu składowej systematycznej całości zadawałamy się cieniem prawdy, a umieszczając pojęcia w kształtnej budowie, myślimy, że samą ujeliśmy naturę, gdy panujemy tylko nad wytworami własnego umysłu. Nauka—to dążenie po nieskończenie długiej drodze; systemat—to jako budowa w środku tej drogi umieszczona, która przyjemne daje wytchnienie umysłowi, ale drogę dalszą zagradza. Iść naprzód można tylko przez gruzy systematu.—Jak w stopniowym rozwoju istot organicznych powstają twory do życia niezdolne, stanowiące jednak konieczną formę przejściową, tak też muszą istnieć w rozwoju nauki konieczne, choć błędne, hipotezy. Każda teoria nowa, prawdziwa czy błędna, otwiera drogę do dalszych badań, które choć obalą nieraz teorię, ale pożytek nauce przynoszą. I błąd może naukę na nowy, szeroki wyprowadzić gościniec. Postęp nauki wymaga koniecznie swobody myślenia; jest trudniej, zaszczytniej i pożyteczniej tworzyć błędy, niż je powtarzać, i stokroć więcej przyniosły nauce pożytku błędne teorie, niż zbyt twórcze unikanie błędów.

Istnieje bardzo wielu uczonych, których zagadka natury nigdy nie zaniepokoiła i snu nie pozbawiła, którzy obmyślają doświadczenia i dokonywają ich dla sztuki eksperymentowania jedynie. Samo dokonywanie doświadczeń wydaje im się pracą naukową człowieka. Eksperymentowanie zmienia się nieraz z pracy naukowej w mechaniczną, a przy doświadczeniach fizyologicznych w proste okrucieństwo.

Doświadczenia kliniczne nad działaniem środków lekarskich do wielu często prowadzą złudzeń. Lekarze zapominają, że natura sama leczy choroby i że działanie jej w tym kierunku potężniejszym jest z pewnością nieraz od ich usiłowań leczniczych.

Wtedy tylko lekarze nie będą się ludzi i błędzić, gdy będą mogli objąć w zupełności rozumem wszystkie zawite sprawy organizmu, kiedy leczenie na rachunku opierać się będzie i z rachunku wypływać. Nie będzie to jednak rachunek statystyków dzisiejszych, obliczających mozolnie cyfry dokonanych operacji chirurgicznych i uzdrawianych chorych. Myśl naukowa urodzić się może tylko z myślenia.

Zdania powyższe streszczają zasadnicze poglądy autora „Szkiców krytycznych.“ Myśli w nich zawarte stanowią podkład główniejszych rozdziałów książki. Są one rzeczywiście na dobre dzisiaj, gdy prawdziwy krytycyzm tak mało liczy u nas przedstawicieli, gdy wię-

kszość wykształconych nawet umysłów zadawała się bezkrytycznem przyswajaniem sobie cudzych poglądów. Poglądy autora uważamy wogóle za słuszne, nie podzielamy tylko zbyt daleko idącego sceptycyzmu, z jakim się zapatruje na sprawę leczenia społecznego.

DR. A. Z.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Coraz wolniej bije puls życia wielkomięjskiego, coraz sennie w upałach kanikuły pracuje myśl, coraz puściej w Warszawie, skąd przepracowana intelligencja wysypuje się na letnie obozowiska po odrobinę słońca i orzeźwienia dla nerwów, mdlejących i znużonych mózgów.

Właściwie, gdyby nie władza uświęconej tradycją rutyny, to za koniec roku, przynajmniej w życiu wielkomięjskiem, należało-by uważać tak zwany sezon ogórkowy, nie zaś grudzień. Zwłaszcza w życiu umysłowem i w sferze działalności publicznej jest pora ogórkowa prawdziwym ugorem po żniwie, czekającym nowego zasiewu. Prawdziwy początek życia społecznego przypada na jesieni. Wtedy-to, po wakacjach, napływa do miasta fala nowego życia i poczyną się gorączkowe wyładowywanie energii, którą nagromadził słoneczny wypoczynek lata. Wydawcy rozpoczynają kampanię wydawniczą, młodzież rozpoczyna rok szkolny, pisma, powypychawszy wszystkie zaległości tek redakcyjnych rozpoczynają druk prac „firmowych“, towarzystwa zagajają okres nowych posiedzeń i prowincya wpada „do Warszawki“ dla uży-

cia sezonowych rozkoszy. Tak będzie na jesieni, a teraz słychać tylko o zamykanych tu i owdzie bilansach całorocznej pracy.

Mamy oto przed sobą jeden z nich: ostateczny bilans pięknego epizodu pomnikowego. Nakładem Komitetu budowy pomnika przed kilku dniami wyszła książka, pod tytułem: „Pomnik Mickiewicza w Warszawie“. Trzeba przyznać, że książka ta godnie zamyka prace Komitetu, podając szczegółową historję inicjatywy i wykonania projektu w wydaniu wielce starannem, a ozdobionem pięknymi ilustracyami wszystkiego, co z rzeczy tyczących się sprawy dało się w rysunku odtworzyć.

Po raz ostatni przesuwają się tu przed nami daty, fakty i nazwiska, które w swoim czasie wiązały się tak ściśle z przyśpieszonym biciem serc w roku jubileuszowym.

P. Zygmunt Wasilewski, niestrudzony sekretarz Komitetu, opracował tę książkę w formie wytwornej, prostej i uczuciowej — słowem, w formie, dającej oficjalnemu sprawozdaniu wartość pamiątki, artystycznie zespolonej w nastroju z chwilą, którą odtwarza.

Nie będziemy tu powtarzali znanych zapewne wszystkim preliminaryów budowy pomnika od 1 stycznia 1897 r., kiedy „Gazeta Radomska“ pierwsza przypomniała o roku jubileuszowym, do 13 lutego, kiedy „Głos“ wystąpił z inicjatywą pomnika w Warszawie. Natomiast przytoczymy kilka cyfr i danych ze statystyki składek, oraz ostateczne zamknięcie rachunku z funduszu pomnikowego.

„Na dany znak—pisze p. Wasilewski—posypały się składki obficie... Obeszło się bez odezw dziennikarskich. Redakcye zaczęły ogłaszać składki nadesłane, i to było najlepszem wezwaniem do ofiar“. — „Do końca maja ofiarność publiczna nie zdążyła się jeszcze dostatecznie rozwinąć; w dniu 1 czerwca Komitet posiadał dopier 49,266 rubli. Jedno z pism wzięło to za symptom uczuć i zapatrywań ogółu na sprawę pomnika. „Sądząc z głosów prasy,—pisano tam—zdawać-by się mogło, że kraj od szczytów do głębin goreje pragnieniem stawianią pomnika Mickiewiczowi, tymczasem wszyscy się zgadzają, że składki płyną wolno, a małych datków od tłumów niema prawie wcale. Widocznie ogół ma własne zdanie o ważności sprawy pomnika w dobie dzisiejszej“ („Kraj“, № 21, 1897). Puls społeczeństwa co innego wtedy mówił: w dniu 16 czerwca Komitet posiadał już ofiar 112,214 rubli, a 14 lipca trzeba było przerwać zbieranie składek, kasa bowiem Komitetu była już wtedy w posiadaniu całkowitej summy, jaka na pomnik wydawała się potrzebną“. — „Gdyby nie zamknięcie nagłe kasy Komitetu,—pisze dalej p. W. — summa ofiar wzrosła-by w krótkim czasie niezawodnie w dwójnasób... Lecz i w tych rozmiarach składki na pomnik Mickiewicza w Warszawie stanowią zjawisko niezwykle w dziejach

onarności publicznej w ogólności, a w naszej jedyne. Szybkość, z jaką się fundusz zebrał, nie miała-by głębszego znaczenia, gdyby złożyli się na pomnik ludzie najbogatsi i dużemi ofiarami; tutaj stało się inaczej. .

„Wiele napływało ofiar zbiorowych, bez wymienienia nazwiska osób, gdzie ofiarodawca zbiorowy oznaczony był jako: Zarząd Towarzystwa, biuro, robotnicy z fabryki..., ziemianie z pod..., rzemieślnicy zakładu..., włościanie i t. d. Takich ofiar było 773. Poza tem wypada z obliczenia, że osobiście złożyło ofiarę 84,702; jeśli zaś policzymy, że na każdą z owych 773 ofiar zbiorowych złożyło się przeciętnie 20 osób; jeśli się uwzględni dalej, że większość składała ofiary w imieniu rodziny, to lekko licząc, ogólną liczbę osób, które sercem i szkatułą łączyły się ze sprawą pomnika, oznaczyć można cyfrą 300,000“.

Według obrachunku, który przeprowadził p. W., na 1000 ofiar 799 przypadało od ludzi mniej zamożnych (od 1 kopiejki do rubla), 199 od średnio-zamożnych (od 1 do 100 rubli) i 2 od ludzi majątnych (wyżej 100 rubli).

„Zdaje się więc,—kończy p. W. — że cyfry odpowiadają rzeczywistym stosunkom społeczeństwa, i dobrze świadczą o jego postawie względem sprawy pomnika miekiewiczowskiego“.

Następuje dalej w książce p. W. opis postępu robót około pomnika, począwszy od Cypryana Godebskiego, kończąc na dzielnych rzemieślnikach warszawskich, których fotografię zbiorową tu znajdujemy. Bardzo znaczną ilość pracy firmy miejscowe ofiarowały bezinteresownie—robotnicy przy budowie prześcigali się w gorliwości, którą jeden z nich nawet życiem przypłacił. Komitet pracował również nad pospiechem i porządkiem w całej sprawie. Wreszcie ukończono roboty, odsłonięto pomnik. Komitet jednak nie rozwiązał się odrazu, gdyż uprzednio chciał możliwie zabezpieczyć i ozdobić pomnik na przyszłość, oraz złożyć rachunki. Załatwiono się pomyślnie ze sprawą kwietnika za kratą, i tu praca Komitetu dobiegła kresu.

Ogólny rachunek z funduszu pomnikowego przedstawia się jak następuje:

Ogółem fundusz budowy pomnika wynosił 247.823 rub. 17 kop.

Wydatki rozkładają się jak następuje:

Roboty ziemne	21,404 rub.
kamieniarskie i brązownicze	52,029 „
Odlew figury i ozdób	18,397 „
Roboty ciesielskie	10,366 „
Honorarium p. Cypryana Godebskiego	50 000 „
Ogrodzenie skweru	37,656 „
Dozór	3,215 „
Transport i cło	20,284 „

Skwer	3,018 rub.
Utrzymanie służby	1,415 „
Koszta odsłonięcia	3,451 „
Koszta wydania książki pamiątkowej	937 „ 64 kop.
Wydatki ogółem	1,340 „

Pomijamy tu drobne pozycje. Ogólna summa wydatków wyniosła 225,987 rubli 89 kop. Pozostało więc 21,835 rubli 28 kop., co do których Komitet doszedł do wniosku, że najlepiej użyje tego funduszu, oddając go p. Władysławowi Mickiewiczowi“. Tak też uczyniono.

„Na wieczystą rzecz pamięć“ w podwalinach pomnika złożono dokument pergaminowy z podpisami czternastu członków Komitetu.

Na wieczystą rzecz pamięć my wszyscy w głębi swej świadomości zachowajmy tę wymowną statystykę serc wielotysięcznej rzeszy, której środkami dźwignięto podwaliny i koronę tego pięknego dzieła.

Są instytucje, dla których zbytek szacunku, żywionego dla nich przez ogół, staje się z biegiem czasu po prostu klęską. Ciekawą jest psychologia takiego szanowania powszechnego, które, z biegiem czasu, zamienia się często w jakieś bezkrytyczne, sztywne i martwe „tabu“.

Zdawało-by się, że z biegiem czasu instytucję powleka gruba warstwa „szacunku powszechnego“. I nie lada żywotności trzeba właśnie samej instytucji, ażeby w tej powłoce nie skostniała, nie zeszywniała, jak sztywnieją mumie w powłoce balsamów. Mijają całe lata, nawet długie szeregi lat—a instytucja, będąca przedmiotem takiego szacunku, działa, rozwija się, lub zamiera bez słówka krytyki ze strony społeczeństwa, bez żadnego przypływu z zewnątrz myśli i energii społecznej. Powaga instytucji, z natury rzeczy wielka, olbrzymieje w końcu do rozmiarów potwornych, i jeśli nawet jakiś śmiałek, często niesprawiedliwie, często zaś z całą słusznością, rzuci się na taką piramidę zasług, to marnyż los śmiałka: piramida zabije go po prostu swą wspaniałą nieruchomością, majestatem milczenia!..

Instytucja pracuje, rozwija się, czasem błądzi, czasem się zasklepia, aż wreszcie przychodzi czas, kiedy nagle i niespodziewanie społeczeństwo daje posłuch pierwszej z brzegu, przypadkowej krytyce działalności, i cofa raptem sympatyę i kredyt, jakimi przez lata darzyło instytucję.

Uwagi te nasunęło nam „Siedemnaste sprawozdanie z czynności Komitetu Zarządzającego Kasą Pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia d-ra J. Mianowskiego“.

Dalecy jesteśmy od myśli, że szacunek, którym ogół obdarza Kasę Mianowskiego, jest niezasłużony. Ale, wobec bardzo już dziś poważnego funduszu instytucyi, wobec różnostronnej jej działalności w społeczeństwie, poprostu w zdumienie nas wprawia brak przedmiotowej, lecz wyczerpującej krytyki tej działalności. Dość rzucić okiem na rachunki z roku ubiegłego, ażeby ocenić doniosłość wpływu Kasy na stosunki w naszej, tak bardzo niezasobnej, dziedzinie pracy naukowej:

W roku 1898 wypłaciła Kasa:

Zapomóg bezwrotnych	12,417 rub. 83 kop.
Zapomóg warunkowo zwrotnych.	5,256 „ 47 „
Pożyczek	2,250 „ — „
Zapomóg z funduszów specjalnych	5,340 „ 94 „
Razem	26,265 „ 24 „

Jest to, jak widzimy, summa bardzo znaczna, i takie, lub inne pokierowanie nią jest rzeczą dla społeczeństwa bardzo ważną. Ale nie koniec na tem. Kasa nietylko wypłaca zapomogi i pożyczki, lecz również corocznie umarza pewną ilość dawniej udzielonych summ, które w latach poprzednich sama uważała za zwrotne. Tak w roku sprawozdawczym Kasa umorzyła:

Zapomóg warunkowo zwrotnych	11,500 rub. 41 kop.
Pożyczek	1,350 „ 88 „
Razem	12,851 „ 29 „

Zachodzi więc teraz pytanie: czy i w jaki sposób ogół może wglądać w działalność Kasy? — Z góry wyłączamy tu stereotypową odpowiedź o zaufaniu, którem się obdarza kierowników instytucyi, i które rzekomo jest dla ogółu dyspensą od dalszej kontroli nad tą ostatnią. Przedewszystkiem komitet nie wychodzi z wyborów powszechnych, a nawet i w tym wypadku nie przestawał-by być tylko zgromadzeniem ludzi, nie zaś Olimpijczyków, wolnych od błędu.

Ogół powinien znać sprawy instytucji choćby dlatego, żeby znać swoich stypendystów, znać dokładnie swoje nędze w zakresie pracy naukowej, umieć ocenić, gdzie w danej chwili najpotrzebniejszą jest ofiarność, pomoc, zachęta.

Doroczne Sprawozdania Kasy dają pewien materiał do takiej znajomości potrzeb. Powiadamy „pewien“, gdyż, niestety, z łatwością możemy wyobrazić sobie układ sprawozdań o wiele przezroczystszy. Tak na przykład rok rocznie znajdujemy w sprawozdaniu spis imienny osób, które skorzystały w okresie sprawozdawczym z zasiłku. Na to jednak, aby orientować się wśród tych nazwisk, trzeba-by mieć i spisy z lat poprzednich.

Od instytucji tej miary i powagi, co kasa Mianowskiego, wymagamy nie tylko sprawozdania finansowego, na które zdobyć się potrafi lada buchalter każdej szanującej się firmy. Wymagamy bilansu jej pracy dla społeczeństwa w układzie takim, ażeby to społeczeństwo, przy pomocy swych naturalnych informatorów—pism—miało zawsze jej całkowity obraz przed oczyma. Temu zaś zaradzić można, uwzględniwszy w sprawozdaniu następujące pozycje:

- 1) Podział zapomóg według dziedzin wiedzy i działalności publicznej, dla których zostały przeznaczone.
- 2) W każdym takim dziale alfabetycznie ułożony spis osób, które z zasiłków korzystały.
- 3) Przy każdej osobie treściwą naturę jej prac, liczba zasiłków oraz ich summa ogólna.
- 4) Wreszcie zebranie ogólne tych pozycji z lat ubiegłych. Uważamy, że obrachunek taki powinien stanowić rodzaj wstępu do sprawozdania rocznego, które dopiero w tem świetle można będzie ocenić należycie.

Kasa w ostatnich czasach więcej się interesuje wydawnictwami i wogóle pracą na polu nauk humanistycznych. Tak na przykład p. Adamowi Szelańskiemu przyznano tu 800 rubli na studia historyczne; p. K. Krauzowi rubli 300 na studia w zakresie nauk społecznych, p. Wł. Weryże wypłacono rubli 1865 na „Przegląd Filozoficzny“ i inne wydawnictwa; pp. A. Hefflichowi i S. Michalskiemu 1800 rubli na kosztą wydania poradnika dla samouków; p. Waleryi Marrenowej rubli 2000 na wydanie „Historji ogólnej sztuk pięknych“ itd.—Jest to niewątpliwie postęp w stosunku do lat ubiegłych, kiedy kasa może zbyt „pozytywnie“ zapatrywała się na doniosłość pracy w tych dziedzinach.

Nie będziemy jednak wyliczali wszystkich zapomóg kasy. Powtarzamy: brak informacji, wadliwy układ sprawozdania nie pozwala

nam z tych cyfr i nazwisk wyciągnąć ich treści właściwej. Prawda, że w założeniu samem instytucji tego rodzaju leży niejako pozostawienie sądu o skuteczności jej zabiegów przyszłości. „Po owocach ich będziecie sędzili je.“

Przy końcu nie możemy zamilczeć nazwisk osób, które w ostatnich czasach ofiarnością swą przyczyniły się do rozwoju kasy.

Do długiego już spisu założycieli i protektorów instytucji sprawozdanie zeszłoroczne dodało następujące nazwiska: Julian Butrym, Edward Czaban, Katarzyna z Górskich Koronelli, St. Rotwand i H. Wawelberg, Kazimierz Szpecht, Feliks Wojciechowski. Bilans zeszłoroczny zamyka kasa cyfrą 348,556 r. 35 kop. — Członków założycieli liczy 84, honorowych 137, rzeczywistych 548.

Niektóre książki mają doniosłość zjawiska społecznego, i jakiegokolwiek jest ich znaczenie w piśmiennictwie, w kulturze społecznej znaczą one punkty zwrotne epok i okresów.

Mamy przed sobą jedną z tych książek p. t. „Poradnik dla samouków“. Książka ta powstała z inicjatywy pp. Aleksandra Hefflicha i Stanisława Michalskiego, wydana była przy pomocy kasy imienia Mianowskiego. Redagowali ją: Piotr Chmielowski, Ludwik Krzywicki i Adam Mahrburg, kilkudziesięciu uczonych i literatów złożyło się na jej treść, a tysiące łaknących wiedzy ludzi rzuciło się i formalnie rozchwytało wydawnictwo.

W roku zeszłym wydało tom I „Poradnika“, zawierający wskazówki do samokształcenia się w naukach przyrodniczych. Otóż tom ów, wydany w liczbie 2500 egzemplarzy, rozchwytno w ciągu niespełna dwóch miesięcy! Obecnie zaś do redakcyi wydawnictwa napływają ze wszystkich stron żądania nowe i nowe, wobec których drugie wydanie staje się koniecznem.

I nagle pesymistycznie patrzącym oczom wielu przysięgłych krytyków naszych stosunków społecznych przedstawił się widok całkiem niespodziewany. Tyle się mówiło o tem, że tylko powieść cieszy się u nas popularnością, że poważne książki nikogo nie interesują. Tymczasem okazuje się, że poważna, bardzo poważna książka, znała-

zła odrazu tłumy nabywców. Przerachowano się z krytycyzmem i społeczeństwo magło-by i w tym wypadku, jak w wielu innych, zawołać do swych wątpicieli: „Medice cura te ipsum“.

Nie —nie zachodzi u nas jeszcze potrzeba stosowania barbarzyńskich środków w rodzaju np. rzucenia kondemnaty na powieść, którą ktoś w tych czasach proponował. Nie jesteśmy żadnem dziwadłem kultury, zdatnem do eksperymentów lada amatora.—Żyjemy i rozwijamy się niewątpliwie mozolniej, lecz też niewątpliwie według tych samych praw, co cały zachód cywilizowany.

Okazało się po prostu, że ogółowi naszemu potrzebną jest informacja, zastosowana do jego potrzeb i poziomu, informacja słowem dobra i przedewszystkiem tania. Innemi słowy, wyszło na jaw to, co w całej Europie wyraziło się w ruchu uniwersytetów ludowych. Gdy bowiem za przykładem amerykańsko-angielskiego „Extention university movement“ powstał ruch ten na kontynencie — od Madrytu do Warszawy powtórzyło się to samo zjawisko. Oto wszędzie szeroki ogół chciwie począł się garnąć do wiedzy, którą mu we właściwej formie podano. Trzeba było tylko, żeby nauka z pałaców sterczących dumnie na akademickich wyżynach zstąpiła między zwykłych ludzi i przemówiła zwykłym językiem. Trzeba, żeby książka naukowa stosująca się dotychczas i w cenie, i formie, do warstw uprzywilejowanych, obniżyła cenę i uprościła formę. Reszty dokonała żądza wiedzy, która podobno tkwi w każdym mózgu ludzkim.

„Poradnik niniejszy—czytamy we wstępie dzieła—przeznaczamy dla samouków i dla tych, którzy-by samouctwem kierować chcieli. Mieliśmy również na względzie rodziców, nauczycieli, tych wszystkich wreszcie, którzy zakładają biblioteki lub kierują czytelnictwem w bibliotekach istniejących“; i dalej: „Najliczniejszy może zastęp czytelników wydawnictw podobnych rekrutuje się u nas z tych, którzy, ucząc się sami, pałają jednocześnie chęcią przelania swej wiedzy w innych, a w otoczeniu swoim nie mają dla tej pracy kompetentnych doradców“.

Nie wdając się tu w szczegółowy rozbiór wydawnictwa, co czynimy w swoim czasie na innem miejscu, słów parę chcemy powiedzieć o tych kilku, wymienionych w przytoczeniu, kategoriach samouków.

Przedewszystkiem nie podzielamy złudzenia autorów „poradnika“, kiedy twierdzą, że „zarówno rzemieślnik z elementarnem ukształceniem, jak i wychowaniec uniwersytetu“, będą mogli korzystać z wydawnictwa. Wcale nie „zarówno“. Było-by po prostu okrucień-

stwem żądać od „rzemieślnika z elementarnem kształceniem“, ażeby się sam oryentował wśród tych stopni, kręgów i kategorii, na które „Poradnik“ podzielono, lub żeby łamał sobie język na czytanie po polsku niemieckich i angielskich tytułów, które tu obficie podano, lub wreszcie, żeby na własną rękę czynił wybór między, dajmy na to, lingwistyką w opracowaniu p. Karłowicza, „Historią Filozofii“ p. Mahrburga lub „Filologią klasyczną p. Rowińskiego.

Na szczęście jest to rzecz zupełnie zbyteczna i, cokolwiek myślą o tem autorowie „Poradnika“, najniższe i nawet nieco wyższe kategorie samouków nie powinny i nie będą korzystały z poradnika. Ażeby to zrozumieć, należy sobie tylko jasno zdać sprawę z tego, czem jest ruch samokształcenia się w społeczeństwie.

„Wszyscy jesteście niedoukami“—czytamy w tymże wstępie.—Prawda: lekarz, pragnący poznać trochę głębiej medycynę, prawnik, przedsiębiorca głębsze studia nad prawem, przyrodnik, specjalizujący się w jednej gałęzi przyrody—wszystko to są niedoucy. Niedoukiem jest każdy i w każdej dziedzinie wiedzy, gdyż zadaniem nawet najwyższych zakładów naukowych nie jest dziś wyczerpanie wiadomości danej dziedziny, lecz raczej systematyka i metoda pracy w każdej z nich.

Wyczerpanie było możliwem ongi, gdy „wiedzę“ zamykano w 77 lub 99 „tezach“, niemożliwem jest dziś, gdy lada gałązka wiedzy ma swoje piśmiennictwo, bogatsze, niż zawartość całej biblioteki Aleksandryjskiej, prócz tego zaś materiał gromadzi w laboratoryach, gabinetach, muzeach.—Ale przyrodnik, będąc „niedoukiem“ po ukończeniu uniwersytetu, nie jest bynajmniej „samoukiem“ w swojej specjalności, gdyż posiadał metodę jej badania.

Wyobraźmy sobie, że tenże przyrodnik, zamiast studyów nad przyrodą, zamierza wziąć się do nauk humanistycznych—do ekonomii lub historii przypuśćmy. Tu niedouctwo jego wystąpi już w pełniejszym świetle, ponieważ te wiadomości, które wyniósł ze szkoły, mało mają wspólnego z właściwą nauką historii; jednakowóż, jeszcze i w tym wypadku nie mamy do czynienia z samoukiem w ścisłem znaczeniu wyrazu. Mózg uczonego, bądź co bądź, posiada także stopień wyrobienia, nałogu pracy, zdolności abstrakcyi, łatwości oryentowania się, wogóle posiada tyle wyświeczonych władz umysłowych, że z łatwością może przyswoić sobie metodę nowych dziedzin. Z drugiej strony ludzie tacy należą do sfery, która kształci ich i rozwija nieustannie i wszechstronnie od dzieciństwa, aż do czasu objęcia jakichś obowiązków obywatelskich.

I trzeba zauważyć, że sam cel samokształcenia się tych dwóch najwyższych i absolutnie powszechnej kategorii „niedouków“ bywa nieco arystokratyczny. Chodzi im zazwyczaj o jakieś „samodzielne, specjalne zgłębienie tej a tej dziedziny, tej a tej kwestyi.

Nie o to bynajmniej chodzi typowym samoukiem. Typowy samouk, samouk we właściwym znaczeniu wyrazu, jest to człowiek, który zdobywa t. zw. przeciętny, ogólny poziom ukształcenia, który z najniższych często warstw społecznych drapie się na poziom warstwy, uznanej za przeciętnie ukształconą, to jest tak zwanej inteligencji.

Tu się już ludzie nie dzielą na specjalistów i nie specjalistów, tu nikt nie ma w mózgu owych cennych pierwiastków metodycznego badania.

Tu stopniowanie „niedouctwa“ mierzy się ilością ukończonych klas szkół niższych i średnich: ludzie, umiejący czytać, pisać i rachować, ludzie którzy ukończyli cztery lub sześć klas gimnazjum, ludzie o średnim ukształceniu technicznym—oto są kategorie tych samouków we właściwym znaczeniu. Taki człowiek istotnie sam musi nauczyć się wszystkiego, co wychodzi poza obręb jego codziennego życia.

I tu jeszcze przeprowadzić należy podział na dwie zasadniczo różniące się kategorie: na samouków, tkwiących w sferze t. zw. inteligencji, i na samouków, należących do warstw najszerzych. Jest to różnica ważniejsza, niż ukończenie trzech czy sześciu klas gimnazjum. Pierwszych bowiem kształci sama sfera, drugich tylko własne zastanowienie.

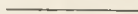
Tak się przedstawia nam społeczny układ samouctwa. Otóż książka, o której mówimy, bezpośrednio może zaspokoić potrzeby dwóch tylko kategorii: 1) potrzeby tych „niedouków“ z wyższem ukształceniem, którzy pragną na własną rękę poznać jakąś gałąź wiedzy poza swoją specjalnością; 2) potrzeby „samouków“, tj. ludzi, z kilkuklasowem ukształceniem, tkwiących w sferze t. zw. inteligencji. Język książki, układ, źródła, z których każe czerpać, są po prostu niedostępne dla samouków z najniższych warstw, niemających pierwszego warunku do korzystania z tego dzieła t. j. dyscypliny umysłowej.

I jest to zdaniem naszym rzecz zupełnie słuszna i naturalna—te bowiem dwie kategorie, kształcąc się same, przez wskazówki i obcowanie z innemi, w znacznej mierze zastąpią im podręcznik, stają się same „Poradnikiem“ żywego słowa przy pomocy „Poradnika“ pisanego.

Nie wątpimy, że część II i III „Poradnika“ będzie rozechwytaną, podobnie jak pierwsza—oczywiście przez tę samą klasę wyższych niedouków i uprzywilejowanych samouków.

Z czasem przyjdzie pora na zastanowienie się: czy wogóle potrzebnym jest jakiś ogólny poradnik i dla tych najniższych, najliczniejszych klas samouków, czy też poprostu trzeba już tylko popularnych dobrych tanich książek, które same wsiąkną tam, gdzie będą potrzebne, jak deszcz wsiąka w spaloną i spragnioną glebę?

Wydawnictwo Bibliograficzne



Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 29 kwietnia 1899 roku odbyło się posiedzenie Kommissyi historyi sztuki pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego.

Przewodniczący powitał naprzód przybyłego na posiedzenie członka Kommissyi, p. Wacława Fiedorowicza z Witebska.

Dr Stanisław Tomkowicz przedstawił referat wraz z nadesłaną przez p. Stanisława Ramułta z Wiednia fotografią pomnika Katarzyny Ramułtowej, znajdującego się w kościele parafialnym w Drohobyczu. Wspaniały ten pomnik grobowy, o szlachetnej kompozycji, ozdobiony leżącą figurą zmarłej, wykonany jest przeważnie z różnobarwnych alabastrów krajowych, a jeszcze większej wagi nabiera przez to, że, jak świadczy wyryty w górze napis, jest on dziełem Polaka, Stanisława Czeszka, Krakowianina, zamieszkałego we Lwowie, który dotąd, jako artysta, znany był tylko z jednej wzmianki archiwalnej, odkrytej przez Władysława Łozińskiego. Wbrew przypuszczeniu p. Ra-

multa, iż zabytek ten pochodzi z pierwszej połowy wieku XVI, referent wykazał, że może on jedynie należeć do drugiej połowy stulecia, i co najwcześniej powstał po roku 1570. Pomnik ten, mocno zniszczony, wymaga podobno szybkiego ratunku.

Z kolei p. Wacław Fiedorowicz z Witebska streścił komunikat o kościele klasztorным jezuitskim w Połocku, dziś cerkwią będącym, i o jego dzwonach. Za Stefana Batorego do Połocka sprowadzeni, wzniesli tam Jezuitci wielkie kollegium i wspaniałą kościół z wielu zabytkami artystycznymi. Posadzka w nim jest z lanego żelaza, za wielkim ołtarzem znajduje się obraz z wieku XIII, z podpisem nieznanego bliżej malarza „Rosa“, oraz piękna płaskorzeźbiona scena Narodzenia. W dzwonnicy wiszą trzy wspaniałe dzwony, lane sumptem Jezuitów w roku 1741 i 1742 przez Pawła Koplaka z Rygi, jak napisy na nich świadczą. Zdobne są one figurami wypukłemi świętego Antoniego z Padwy, św. Franciszka Ksawerego, św. Karola Boromeusza, św. Aloizego Gonzagi, św. Michała, św. Andrzeja Boboli i św. Józefata, i patrzono pięknymi łacińskimi wierszowanemi napisami.

Przewodniczący podał następnie streszczenia całego szeregu komunikatów, nadesłanych ponownie z Petersburga przez d-ra Feliksa Koperę, wraz z ilustrującemi je licznymi fotografiami omawianych zabytków. Są to naprzód podobizny wykopalisk srebrnych z Brączyna w powiecie Kaliskim z wieku XI; guzy to różnych kształtów, klamry i spinki. Hr. Bobrinskij udzielił z Kommissyi Archeologicznej w Petersburgu licznych fotografii polskich łyżek, o pięknych formach, z charakterystycznymi napisami, jak żeby wyjętemi z pism Reya; oraz metalowych pasów, tak zwanych przeworskich, a także prześlicznie cyzelowanej srebrnej czarki polskiego pochodzenia. Pierwszorządne znaczenie ma odnaleziony przez d-ra Koperę w Bibliotece publicznej w Petersburgu rękopis z wieku XII, bez miniatur i z jednym tylko inicjałem. Jest to Ewangieliarz księżnej Anastazyi, żony Bolesława Kędzierzawego, wedle Długosza, we wspaniałej srebrnej oprawie współczesnej z płaskorzeźbionym Chrystusem w majestacie i sceną Ukrzyżowania, oraz z klęczącą u stóp krzyża postacią ks. Anastazyi. Pochodzi ten wyjątkowy romański zabytek z lat 1150—1158, i znajdował się w skarbcu katedry plockiej, skąd ofarował go biskup plocki, Adam Prażmowski, do Biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Z tegoż samego do niedawna zbioru pochodzi piękny Ewangieliarz z XIV wieku, który był własnością katedry krakowskiej, zdobny miniaturami i pełnym charakteru rysunkiem piórowym, oraz kodeks wspaniały z końca wieku XIV, Izydora „De origine rerum“, też z nader licznymi miniaturami, w których widoczny jest wpływ współczesnego malarstwa czeskiego szkoły praskiej na polskie. Polskie też mi-

niaturowe malarstwo ilustruje całym szeregiem utworów. Biblia z roku 1433, z miniaturami, malowanemi przez Jędrzeja z Żarnowca dla Grzegorza, kanonika sandomierskiego. Wreszcie prawdziwym cackiem artystycznym jest pergaminowy kodeks, cały pisany piórkiem i zdobny liczuemi, a pełnemi wdzięku i delikatności, także rysowanemi piórkiem, ornamentami z początku wieku XVIII, a z przed roku 1719, którego autorami byli prawdziwi artyści kaligrafowie i rysownicy, Antoni Pawłowski i Jacek Bęczkowski. Wszystkie te referaty o polskich albo z Polską związanych zabytkach w Petersburgu opatrzył dr Kopera naukowemi wywodami i rezultatami własnych, na miejscu zrobionych, porównawczych studyów.

— Jakóba Zawiszy z Kroczeva: „Wskrócenie procesu koronnego, 1613“, wydał dr Aloizy Winiarz nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie, 1899.

— „Kampania polska“ księcia Paskiewicza w roku 1831, przekład z francuskiego. Skład główny w księgarni Fiszera w Warszawie.